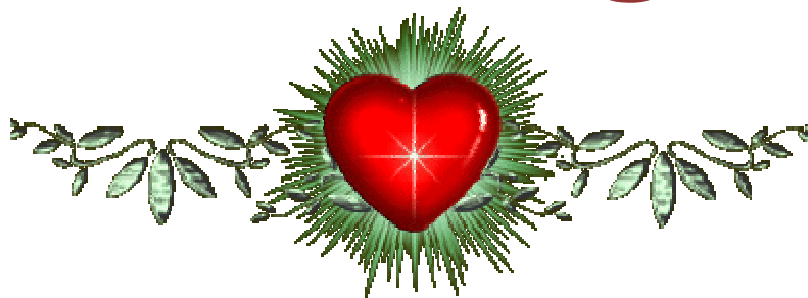




Adriana Trigiani



Pula marzeń

Rozdział pierwszy

Krople deszczu mocno uderzają o stary kamienny dom, zupełnie jakby setka tancerzy stepowała na dachu. Kiedy rankiem Etta wychodziła do szkoły, mżyło, a teraz, o drugiej, rozpętała się prawdziwa burza. Z okna kuchni ledwie widzę Powell Mountain; jeszcze wczoraj była migotliwą, złocistą piramidą liści w ich jesiennym przepychu. Oby ulewa zbyt prędko nie zmyła z nich barw. Mam całą zimę, by oglądać Cracker's Neck w szarościach. Kocham te góry w październiku: liście przypominają krynoliny, żółte oraz czerwone niczym wino, ich barwa zmienia się w słońcu, rosną jabłka, w powietrzu czuć słodki dym, a ja zaczynam rozpalać ogień w kominkach pani Mac. Kiedy klękam i wrzucam polano do pieca, myślę o swojej teściowej, która zaczynała ogrzewać dom tuż po pierwszych przymrozkach. „Należy mi się” - mawiała.

Na tablicy nad zlewem od co najmniej trzech miesięcy wisi kartka, na której Jack Mac napisał: „Kanapki z papryką?”. Nikt nie powinien czekać tak długo na ulubione kanapki, a już na pewno nie mój mąż. Czemu zwlekam ze spełnieniem tej prostej prośby? Dawniej po jego powrocie z pracy wszystko szło w odstawkę, ja zaś wymyślałam rozmaite sposoby na uszczęśliwianie swojego małżonka. Ciekawe, czy dostrzegł, że już nie jest najważniejszy. Nie omieszkały tego zauważyć zaprenumerowane przeze mnie czasopisma. Na okładce „Redbooka” napisano jaskraworóżowymi literami: *JAK OŻYWIĆ MAŁŻEŃSTWO!* Krok 4: Przyrządź jego ulubiony posiłek.

(Nie pytajcie o pozostałych dziewięć kroków). Pełna poczucia winy i gotowa się poprawić, opiekam papryki, obracając je, aż czernieją jak niebo za oknem.

Tego ranka upiekłam chleb. Wyciągam brytfankę z szafki pod oknem, smaruję kwadratowe puszyste kromki oliwą i odkładam je. Wyjmuję blachę z piekarnika i zaczynam obierać papryki. (To robota na siedząco). Moja mama jednym ruchem ściągała zwęgloną skórkę; muszę jeszcze udoskonalić technikę. Papryka pod spodem jest krwistoczerwona, gładka, przypomina aksamitną wyściółkę staroświeckiej szkatułki na biżuterię. Kroję i układam cienkie paski na miękkim pieczywie. Oliwa i słodki chleb pachną świeżo i kusząco. Posypuję kanapki solą; jej kryształki połyskują na czerwonych paprykach. Dobrze, że tyle napiekłam, będzie nas dziś w minibusie spora gromadka.

Szykuje się nam wielkie wydarzenie - Ettę pokażą w telewizji. Ona i dwójka jej kolegów występują w teleturnieju „Klassa z klasą”. Ettę, zagorzałą czytelniczkę, wybrano ze względu na wiedzę ogólną. Towarzyszą jej Jane Herd i Billy Skeens. Jane, pyzata specjalistka od matematyki, trafiła do drużyny, bo błyskawicznie dzieli i mnoży. Billy, mały, ale bystry Melanż, zasłynął z odwagi. Niedawno pomógł w ewakuacji stołówki w podstawówce w Big Stone Gap, kiedy jeden z parowarów stanął w ogniu. Nikt nie wiedział, jak uhonorować chłopaka (wręczenie medalu podczas apelu wydawało się głupie), szkoła postanowiła więc wystawić go do teleturnieju. Nauczyciele uznali zapewne, że sława sama w sobie jest nagrodą.

Jack Mac pożyczył minibus z kościoła Najświętszego Serca, bo przewozimy dzieci, poza tym obiecałam przejazdkę naszym przyjaciołom. Studio telewizyjne leży mniej więcej półtorej godziny od Gap, w Bristolu, tuż za Kingsport w Tennessee. Teleturniej na żywo rozpoczyna się dokładnie o szóstej po południu, więc wyjeżdżamy od razu po szkole. Etta starannie wybrała ubiór: granatową minispódniczkę i różowy sweterek (dziadek Mario przysłał go z Włoch i Etta uważa, że to jej najlepszy strój, a może i najszcześniejszy).

Włożyła czarne lakierki, od Mary Jones, chociaż napomknęłam, że rzadko widać buty w telewizji.

Przechodzę przez parter, zamykając za sobą drzwi. Skromnie umeblowane, kwadratowe pokoje i duża przestrzeń tego domu idealnie nadają się do wychowywania dzieci. Rzecz jasna, za życia pani Mac nawet nie przyszło mi do głowy, że tutaj zamieszkam. Przez parę lat po prostu dostarczałam tu lekarstwa. Pamiętam, jak lubiałam jeździć po wyboistej drodze i patrzeć na stary kamienny budynek na polanie u stóp góry. Wygląda jak z obrazka. Gdybym wiedziała, że pewnego dnia pani Mac zostanie moją teściową, może spróbowałabym zrobić na niej wrażenie. A tak - przywoziłam jej medykamenty, wypijałam kawę i odjeżdżałam. Nie sądziłam, że zakocham się w jej jedynym synu, że będę oglądała swoją twarz w tych starych lustrach, paliła w kominkach i wychowywała wnuczkę pani Mac w tych pokojach. Gdyby ktoś mi powiedział, że zadomowię się w górskiej kotlinie, roześmiałabym mu się w twarz. Dorastałam w miasteczku, nikt nie wyprowadza się z Big Stone Gap w góry. Życie jest dziwne.

Patrzę na siebie w lustrze. Etta wciąż błaga, żebym się mocniej malowała. Chce mieć młodą mamę, w tych stronach kobiety w moim wieku zostają babkami! Przystaję na moment w przedpokoju i wygrzebuję szminkę z torebki. Młody wygląd będę zawdzięczała mazidłu opakowanemu w kawałek plastiku. Można by pomyśleć, że ktoś, kto tak długo prowadził własną aptekę, dorobi się eleganckiego zestawu do makijażu. W aptece był obracany stojak z kosmetykami. Może Etta ma rację, może powinnam przykładac większą wagę do swojego wyglądu. (Tyle że tuszowanie cieni pod oczami nie jest moim życiowym powołaniem). Ludzie mówią, że od lat nic się nie zmieniam. To dobrze? Uważnie patrzę w upstrzone brązowymi plamami lustro. Osiem lat z Jackiem MacChesneyem minęło jak jedna chwila. Wygląda na to, że odkąd się w nim zakochałam, czas biegnie szybciej.

Ktoś wali w drzwi. Tak grzmiało, że nie słyszałam, jak przyjechał samochód. Doris Bentrup z kwaciarni wymachuje parasolem,

W drugiej ręce trzyma stos białych pudeł ozdobionych lawendowymi wstążkami. Na szyi zawiesiła dwie pary okularów. Krople deszczu pokrywają plastikowy kapturek, który włożyła na głowę.

- Proszę wejść!

- Nie mogę. Mam mnóstwo kwiatów w aucie, na pogrzeb w Pound. Zabiję się, jeśli ten deszcz zniszczy mi fryzurę.

- Wygląda nieźle. - Jestem o jakieś trzydzieści centymetrów wyższa od Doris, spoglądam więc z góry na jej drobne loczki. Każdy wygląda jak idealna rozetka z niebieskiego lukru pod namiotem z folii samoprzylepnej.

- Ja myślę. Sporo wycierpiałam, żeby tak wyglądać. W sobotę ze dwie godziny tkwiłam pod suszarką u Ethel, wszystko przez tę wilgoć. Tak mi nalakierowała głowę, że te loczki są twarde jak kamień. Dotknij.

- Są idealne - mówię szybko, bez dotykania.

- Etta gotowa do wielkiego występu?

- Tak, proszę pani.

- Mamy nadzieję, że wygrają, bo nikt z Big Stone nigdy nie wygrywa.

- Czy klub ogrodniczy „Dogwood” nie zwyciężył w „Quizie klubowym”?

- No tak, ale to było z dziesięć lat temu. Poza tym to dorośli, więc się nie liczy. Czeka, aż zobaczysz, od kogo to. Omal mi szczęka nie wypadła, a wiesz, że porządnie ją przyklejam.

Wyciągam z koperty biały kartonik obramowany różowymi stokrotkami. Czytam:

„Załatw ich, Etta. I pamiętaj, symbolem Wirginii jest ptak kardynał. Uściski, wuj Theodore”.

- Cały ten Tipton to był dopiero ktoś. Nikt go tu nie zastąpi - oznajmia Doris, przechylając głowę, żeby woda spłynęła z jej kapturka. - Czasem zjawia się jakiś niezwykley cudzoziemiec. Jak on sobie radzi w Utah?

- Podobno ma najlepszy zespół muzyczny w kraju.

- Żeby jeszcze wygrali jakiś mecz.

Doris wraca do furgonetki, a ja otwieram pudełko. W nim bukietek białych goździków, świeżych i pięknych. Między chłodnymi płatkami mieszczą się trzy małe literki ze złotej folii: ASY. Wdycham zapach świeżych kwiatów. Litery łaskoczą mnie w nos, przypominam sobie chryzantemy, które Theodore przynosił mi co roku podczas sezonu piłkarskiego. Przez niemal dziesięć lat był dyrygentem szkolnej orkiestry i opiekunem trzeciej klasy liceum w Powell Valley. Robił za przyzwoitkę na wszystkich tańcach, zawsze przychodził ze mną. (Rodzicom podobało się, że członkini Brygady Ratowniczej dyżuruje na szkolnych potańcówkach). Theodore nigdy nie zapominał przyczepić bukietu do mojego nadgarstka przed meczem. Niezależnie od wyniku, taniec był prawdziwą ucztą dla oczu, występy zespołu Theodore'a podczas przerwy zawsze robiły wrażenie. Poza niezapomnianym holdem dla Elizabeth Taylor, zanim zadławiła się kością kurczaka, najmilej wspominam uroczystość ku czci Wielkiego Amerykańskiego Musicalu, a właściwie Rodgersa i Hammersteina. Każda mażoretka była przebrana za którąś z bohaterek, w tym Marię z *Dźwięków muzyki* i Julie Jordan z *Karuzeli*. Romalinda Miranda, córka Filipińskiej Lekarki Z Zespołu, Który Uratował Liz Taylor, była pierwszą naiwną z *Flower Drum Song*. Theodore wybrał ją z grupy dziewczyn z chorągiewkami. W związku z tym zrobiło się zamieszanie: jak mógł wziąć mażoretkę do przedstawienia tylko dlatego, że wygląda jak aktorka z

oryginalnej obsady? Kiedy ucichły protesty, rodzina Mirandy pławiła się w chwale, dumna ze swych azjatyckich korzeni. (Dodatkowe punkty dla cudzoziemców w naszym miasteczku).

Ostrożnie wkładam pudełko z kwiatami do torby pełnej rzeczy, które mogą się przydać do występu w telewizji. Zapasowe podkolanówki. Balsam do ust. Grzebień. Wstążki. Moje życie polega na gromadzeniu rzeczy dla rodziny i odkładaniu ich na miejsce. Sporządzaniu list. Odwożeniu i przywożeniu. Żebym tylko o niczym nie zapomniała. Nawet Jack czeka, że dam mu chusteczki, kiedy ma katar, i drobne na gazetę. Czasem się zastanawiam, czy to wszystko ma jakiś sens.

Szkoła podstawowa Big Stone Gap to imponujący kompleks czterech pięknie wyposażonych budynków z beżowego piaskowca, zbudowany w 1908 roku. W górniczych miasteczkach, które prosperują, pieniądze przede wszystkim idą na szkoły; w Big Stone Gap też tak było. Dzieciaki mają boisko co najmniej o akr większe od normalnego, wspaniałą staroświecką aulę z oświetloną sceną i świeżo odnowioną stołówkę (dzięki Bohaterskiemu Billy'emu). Czekam przy bramie, jak przez wiele lat moja matka.

Słychać dzwonek, otwierają się zielone drzwi i uczniowie wypadają na mokre boisko niczym kulki do gry z woreczka. Etta stoi na szczycie schodów, przyglądając się ogrodzeniu. Na mój widok przeskakuje po dwa schodki naraz i biegnie ku mnie. Ciężko jej utrzymać parasol w czerwonej kratę na tak porywistym wietrze. Jej płaszcz przeciwdeszczowy łopocze. Całuję ją szybko, a ona wskakuje do jeepa.

- Pamiętałaś o podkolanówkach?

- Denerwujesz się?

Etta ściąga pochłapane błotem białe podkolanówki i wkłada świeże.

- Bardzo.

- Wuj Theodore przesyła ci prezent.

Etta rozdziera papier. Jej jasnobrązowe włosy przylepiły się do czaszki. (Dobrze, że Fleeta splecie je dzisiaj w warkocz). Małe dłonie Etty są takie same jak moje, stworzone do pracy. Ma twarz swojego ojca, jego prosty nos, usta o doskonałym kształcie, orzechowe oczy, bystre i okrągłe. Ma również piegi - nie wiadomo po kim. Kiedy była bardzo mała, Jack opowiadał jej bajkę o piegach, długo w nią wierzyła: Bóg ma wiadro piegów, a kiedy już stworzy dzieci w niebie, układa je w rzędzie i rozsypuje piegi na szczęście. Im więcej piegów, tym więcej szczęścia. Oby to była prawda, zwłaszcza dzisiaj. Etta wyjmuję kwiatki.

- Nie powinnam ich przypinać, skoro Jane nie ma bukietu.

- Nie martw się, wysłał też bukiet Jane i kwiatek do butonierki dla Billy'ego.

- Zupełnie jak na weselu - mówi Etta. - A ja nie ożenię się z Billym Skeensem. Mowy nie ma. Jest za niski.

- Pewnie urośnie - odpowiadam, zupełnie nie w swoim stylu. - I mówi się: „nie wyjdę za mąż”.

Słyszymy trąbienie klaksonu.

- Tatuś! - krzyczy Etta, zapominając o błędzie.

Kościelny minibus wjeżdża na parking. Mój mąż macha do nas radośnie. Etta gramoli się z jepepa i biegnie do szeroko otwartych drzwi minibusu. Pokazuje Jackowi bukiet, on patrzy z podziwem. Widzę przez okno, jak się śmieją. Wyglądają jak na starej, czarno-białej fotografii, srebrnej tam, gdzie odprysnęła emulsja.

Jack chyba wyczuwa, że patrzę na nich. Otwiera drzwi minibusu, a ja wskakuję i siadam na miejscu za kierowcą.

- Jak minął dzień? - pytam.

- W porządku.

- Tatusiu, pocałuj mamę. - Jack posłusznie całuje mnie w policzek. - Dlaczego wyraz „klasa” napisali przez dwa „s”?

- Nie wiem. - Jack zdaje się na mnie.

- Może dlatego, że tak się bardziej rzuca w oczy - mówię.

- Głupi powód. Skoro ktoś jest na tyle mądry, żeby się dostać do teleturnieju o nazwie „Klasa z klasą”, to wie, że klasa pisze się przez jedno „s”.

Jack patrzy na mnie w lusterku wstecznym. Widzę zmarszczki w kącikach jego orzechowych oczu, gdy się uśmiecha. Bawi go przemądrzały ton Etty; ja sądzę, że to nerwy przed teleturniejem, a może pewność siebie, sama nie wiem.

Wiwatują na wieść, że wzięłam kanapki z papryką. Idę do jeeпа po lodówkę, Jack wysiada, żeby mi pomóc. Pięknie wygląda, wziął prysznic po pracy w kopalni. Przystojnieje z wiekiem (mężczyźni mają pod tym względem sporo szczęścia, pod innymi też - nawet nie zaczęły ich wymieniać). Wciąż ma włosy, choć przed czterdziestką zaczęły rzednieć i wyglądało na to, że wypadną. Są siwe, ale przy jego orzechowych oczach wyglądają elegancko. Nieco schudł, nie chciał być tłustawym czterdziesto-parolatkiem. Przyglądam włosy, które skręciły się na deszczu.

- Ja wezmę - mówi Jack, przenosząc turystyczną lodówkę nad moją głowę.

- Co się dzieje? - pytam.

- Nic.

- Coś się stało. Czuję to.

- Nie. Nic się nie stało.

- Na pewno?

- Nie mogę o tym teraz rozmawiać. Później ci powiem.

- Powiedz teraz.

- Nie. Później. - Jack spogląda na mnie, a potem na naszą córkę. - Nie chcę, żeby Etta się de-nerwowała.

- Jasne - wzdycham niecierpliwie. - Ale mnie możesz powiedzieć. Dlaczego nie chce powiedzieć, co się stało? Przed czym mnie chroni?

- Zamknęli kopalnię.

- Nie!

- Tak - mruczy pod nosem ze złością.

- Przykro mi.

Tylko tyle mogę mu zaoferować? Dlaczego go nie przytulam? Czemu go nie pocieszam, tylko stoję w deszczu?

- Mnie też. - Jack rusza do furgonetki.

- Nie psujmy Etcie tego wieczoru - mówię do jego pleców. Jack się odwraca i patrzy na mnie jak na kogoś obcego; przeszywa mnie dreszcz.

- Jasne - mówi prawie szeptem.

Nadszedł dzień, którego tak się baliśmy. Mój mąż stracił pracę. Najgorsze, że całe życie Jacka jest głęboko związane z węglem. MacChesneyowie od niepamiętnych czasów pracują w górnictwie. Jack to szanowany górnik: związkowiec, który z operatora pompy awansował na głównego stropowego. Niektórzy twierdzą, że to najniebezpieczniejsze stanowisko w kopalni. Co teraz zrobimy? Jaką pracę znajdzie w tym wieku? Brak mu wykształcenia. Jak sobie poradzimy? Pracuję w aptece tylko przez trzy dni w tygodniu, żyjemy z jego zarobków. Pewnie, mamy dom, ale trzeba go utrzymać. Żałuję, że musimy jechać na teleturniej, że towarzyszy nam tyle osób. Po co zawsze robię ze wszystkiego wielkie wydarzenie? Po co załatwiłam furgonetkę, zaprosiłam przyjaciółki, przygotowałam kanapki? Dlaczego nie mogliśmy pojechać tylko we trójkę?

Iva Lou Wade Makin hamuje i staje po drugiej stronie ulicy. Jej wspaniałą natapirowaną blond fryzurę chroni biały kapturek w kropki, tak szpiczasty, że przypomina średniowieczne nakrycie głowy. Za to Iva Lou wygląda jak ptaszek, gdy przeskakuje kałuże na Shawnee Avenue. Jej usta, buty i płaszcz przeciwdeszczowy są rubinowoczerwone. Z uśmiechem Jean Harlow wsuwa się do auta (najpierw biodra). Złote bransolety pobrzękują, gdy ściąga z głowy kapturek.

- O rany. Co za cholerna burza. - Iva Lou odwraca się do Etty. - I nie używaj słowa „cholerny”, złotko. Jest zarezerwowane dla dorosłych.

- Dziękuję za wyjaśnienie. - Patrzę na nią wymownie.

- Nellie Goodloe nie przyjdzie. Będzie oglądała teleturniej z kółkiem krawieckim metodystów.

- A ciocia Fleeta? - pyta mała.

- Widziałam ją w aptece, kupiłam tam ostatni kapturek przeciwdeszczowy. Zaraz tu będzie.

Nauczycielka Etty (niegdyś moja), Grace White, drobna, blisko siedemdziesięcioletnia dama, trzyma parasol nad Jane i Billym, ubranymi do telewizji w najlepsze odświeżone stroje. Jack wysiada i pomaga im wejść do minibusu.

- Jane, mamy bukietki! - piszczy Etta. - A Billy ma goździk.

- Fajnie - bąka Billy, niezbyt rozentuzjzmowany.

Stary szary cadillac z wgniecionym bagażnikiem, własność Fleety Mullins, staje za moim je-
pem. Fleeta szybko wyskakuje i ciska niedopałek na chodnik. Jest mała, a do tego się kurczy: palenie
ją wyniszcza. Usiłuję przekonać Fleetę, żeby łykała wapno. Z pewnością ma osteoporozę, nie brak jej
jednak zwinności. Wsiada do furgonetki i mości się na fotelu obok pani White, przynosząc ze sobą
zapach tytoniu i wody Windsong.

- Była kolejka przy kasie, ruszali się jak muchy w smole. Pearl Grimes powinna zatrudnić po-
moc - oznajmia, przecierając zaparowane okulary.

Wzruszam ramionami. Nie jestem właścicielką apteki, i to od prawie dziesięciu lat. Trudno
jednak pozbyć się starych nawyków, zwłaszcza Fleecie.

- Nie ma problemu. Dojedziemy na czas - stwierdza pani White.

- Pearl zrobiła kulki z masła orzechowego. - Fleeta podaje mi puszkę.

Dzieciaki błagają o słodycze, ale jestem stanowcza:

- Po teleturnieju, dobrze? Nie chcemy, żeby zwyczajne odpowiedzi przykleiły się wam do pod-
niebienia.

Dzieci gadają, a Fleeta wtyka głowę między Jacka i mnie.

- Słyszałam, że Westmoreland się stąd wynosi.

- Nic nie mów, Fleeta. Dzieciaki - szepcze do niej Jack.

- Jasne. Jasne. Miałam ochotę wsiąść do autobusu do Pittsburgha, odwiedzić tych bossów i po-
wiedzieć im, żeby poszli do diabła. Po tym wszystkim, co dla nich zrobiliśmy? Sześćdziesiąt lat tłukli
kasę dzięki naszym chłopakom, a teraz po prostu się wynoszą - burczy Fleeta i siada z powrotem na
fotelu.

Kiedy wjeżdżamy na wzgórze wschodniego Tennessee, Billy popisuje się znajomością stolic
wszystkich pięćdziesięciu stanów, w porządku alfabetycznym. Jane głośno dzieli ułamki. Etta wciska
się na fotel obok mnie i zerka na ojca.

- Jesteście źli?

- Nie - odpowiadamy jednocześnie, patrząc przed siebie.

- To co się stało?

- Nic - mówi Jack, a Etta wyciąga przygotowane w domu plansze.

- Tatusiu, węgiel w południowo-zachodniej Wirginii jest...

- Bitumiczny.

- Właśnie! - uśmiecha się Etta. - Mam nadzieję, że nie każą mi tego przeliterować.

- Jeśli każą, zachowaj spokój i powiedz to głośno - mówię jej.

- A jeśli ci się nie uda, i tak będziemy cię kochać, skarbie - dodaje tata.

- Chcę wygrać. - Etta mruży oczy.
- Etta, wiesz, ile węgla jest w naszych górach?
- Ile, tato?
- Wystarczy na następnych siedemset lat.
- Aż tyle?
- Tak.
- Jeśli dostanę takie pytanie, będę wiedziała - zauważa z dumą.
- Wątpię, żeby cię zapytali - mówi Jack.
- Nigdy nie wiadomo. - Etta ściska go za szyję i wraca na miejsce.

Zerkam na Jacka, nie spuszcza wzroku z drogi. Mogłabym czymś wypełnić ciszę między nami, na przykład żartem. Kiedyś wiedziałam, co mówić mężowi; potrafiłam go pocieszyć albo rozłożyć problem na czynniki pierwsze. Zawsze czuł się przy mnie lepiej. Dziś jednak jest inaczej. Coś się zmieniło, ale była to zmiana tak subtelna i cicha, że właściwie jej nie zauważyliśmy. Teraz chyba działamy sobie na nerwy.

- Jack?
- Tak?
- Czy naprawdę węgla starczy na siedemset lat?
- Co najmniej. - Wciąż wpatruje się w drogę.

Budynek telewizji WCYB jest mały i kwadratowy, zbudowany z brązowej cegły. Stoi na wzgórzu nieopodal Bristolu, tuż obok autostrady.

- To tutaj? - pyta Etta, wpychając się między nas i patrząc przez okno.
- To tutaj? - powtarza po niej Jane.

Budynek sprawia nieco przygnębiające wrażenie, tak na uboczu drogi. Trudno nam uwierzyć, że to centrum telekomunikacyjne Appalachów. Dzieci spodziewały się, że WCYB będzie komiksowym drapaczem chmur o lustrzanych szybach i z ruchomą anteną satelitarną, wysyłającą w niebo groźne zielone fale.

- Widzicie, wcale nie jest straszny - mówi im Jack Mac.
- W ogóle. Wygląda jak garaż - dodaje rozczarowany Billy.
- Wielkość jest nieważna. Najważniejsze są kamery. Wystarczy kamera, trochę drutów i elektryczność, to cała telewizja - stwierdza stanowczo mała Jane. (Mam nadzieję, że nie trafi się jej pytanie o nowoczesny sprzęt. Jeśli tak, czekają nas kłopoty). Pani White prowadzi dzieci do studia.

Fleeta musi zapalić. Iva Lou wyłudza od niej papierosa, tak jest zdenerwowana po podróży. W Bristolu przestało padać, ale wciąż jest wilgotno, a świeży aromat okolicznych lasów sprawia, że czuję się tu jak w domu.

- Nie wiem, jak ludzie dają sobie radę z dziećmiakami. - Iva Lou się zaciąga, jedną rękę przyciska do talii, a drugą, z papierosem, zawiesza w powietrzu. Zawsze fascynowało mnie to odsuwanie się od papierosa podczas palenia, zupełnie jakby bezpieczniej było trzymać go w pewnej odległości od siebie.

- To niełatwe, poważnie. Dlatego zaczęłam palić. - Fleeta wskazuje na papierosa. - Miałam tak zszargane nerwy przez kłótnie z dziećmi, że zaprzyjaźniłam się z tytoniem. Dzięki, Jezu, i niech zdrowo rośnie.

- Nasze dzieciaki są dobrze przygotowane do występu. Tak myślę - mówi z nadzieją Iva.

- Chcę, żeby załatwili tych dupków z Kingsport - mówi Fleeta, przydeptyując niedopałek. - Oglądam to co tydzień, sprawdzam konkurencję. Poprosiłam Metcalfa Za Dziesięć Dwunasta, żeby opracował dla mnie statystyki. - Fleeta wydmuchuje dym. (Za Dziesięć Dwunasta to bukmacher z Jonesville. Swój przydomek zawdzięcza permanentnemu skrzywieniu szyi, przez które jego głowa jest ciągle odchyłona od pionu). - Postawiłam dwadzieścia dolców na nasz zespół i nie zamierzam przegrać.

Budynek telewizji strasznie nas zawiódł, a i wewnątrz nie robi lepszego wrażenia. Recepcja to stary drewniany stół i taboret na kółkach. Na ścianie z tyłu króluje fantazyjny paw NBC. Szeroki przewód elektryczny zwisa z niego jak pętla wisielca (pewnie paw jest podświetlany). Zerkam w małe prostokątne okienko na drzwiach z napisem STUDIO. Kamera wycelowana jest w znajomy plan „Klasy z klasą”, staroświecką salę szkolną z sześcioma biurkami dla zawodników. Przenośne trybuny dla widzów kryją się w cieniu. Stanowisko gospodarza, a także duże koło obrotowe pełne małych pozginianych plansz z pytaniami, oświetlają jaskrawe reflektory.

Na powitanie wychodzi żwawa dziewczyna o rudych włosach i małym, płaskim nosie.

- Jestem Kim Stallard - przedstawia się. - Witamy w studiu telewizji WCYB.

- Umiemy czytać, proszę pani. - Billy Skeens wskazuje na szyld.

- Ale z was bystrzaki - mówi szczerze Kim. - Pewnie jesteście z Big Stone Gap. Chcecie obejrzeć studio?

- Zróbcie coś z tymi przeklętymi dziećmiakami. Ciągłe się wiercą, jechały tu prawie dwie godziny - prychna Fleeta i wrzuca miętówkę do ust.

- Jasne. Dobrze. Chodźcie za mną. - Kim wpuszcza nas do pogrążonego w półmroku studia. Na plan prowadzi ścieżka, po obu jej stronach stoją pomalowane plansze, służą jako tło dla wiadomości.

- Ciekawe, prawda, dzieci? - pyta Jack.

- Straszny tu bałagan - stwierdza Etta.

- To plany do programów. - Mój ton ma jej przypomnieć, że tylko na chwilę zagościliśmy w krainie telewizji.

- Jesteśmy, jak to się mówi, filią koncernu. Prowadzimy wszechstronną działalność. Czy studio jest mniejsze, niż myśleliście? - pyta Kim.

- O wiele - odpowiada Jane Herd, wyciągając szyję, by popatrzeć na krokwie, pod którymi wiszą reflektory.

- Niestety, telewizja wcale nie jest taka niezwykła. - Kim uśmiecha się do nas.

- Patrzcie! - Etta pokazuje rower stojący poza zasięgiem kamery.

- To mój - słyszymy znajomy, głęboki głos Dana DeBoarda, czarującego pięćdziesięciolatka, gospodarza teleturnieju, prezentera pogody i spikera wiadomości o szóstej (dzieli te obowiązki z Johnnym „Dniem Bałwana” Woodem). Nie wydaje się ani trochę zdenerwowany, spokojnie przegląda notatki. Jest wysoki i szczupły; ma staranny przedziałek na czarnych, zaczesanych do tyłu włosach. „Bristol Herald Courier” nazwał go kiedyś „Burtem Reynoldsem wschodniego Tennessee”. Podobieństwo bez wątpienia istnieje, no i te baczki rodem z *Konwoju!*

- Jest pan szczuplejszy niż w telewizji - oznajmia Fleeta, mierząc go wzrokiem.

- Pani też - odpowiada pan DeBoard. (Pewnie często to słyszy).

- Miło mi pana poznać. - Iva Lou wyciąga rękę i jednocześnie wysuwa prawe biodro.

- O, była Miss Wirginii? - Oczy Dana wędrują po Ivie Lou, jakby umierał z głodu i ujrzał w ciemności świeże ciastka.

- Nie, zwykła panna Iva Lou. - Mocno ściska dłoń prezentera, nie spuszczając z niego wzroku.

- Jest mężatką - warczy Fleeta.

- Nie ona pierwsza i nie ostatnia. - Dan mruga do niej. Nasze dzieciaki biegają po całym planie.

- Niech się oswoją, program będzie lepszy - mówi Kim, sprawdzając listę. Dzieci dostrzegły się w ustawionym na podłodze telewizyjnym monitorze.

- Patrzcie! Jesteśmy w telewizji! - wrzeszczy Jane. Etta i Billy siadają obok niej i wymachują rękami.

Po chwili nadciągają przeciwnicy. Szkołę podstawową w Kingsport reprezentują trzej poważni, ostrzyżeni na jeża chłopcy w identycznych spodniach z kantem i wyjątkowo sztywnych, zielonych marynarkach, które wyglądają jak wyprasowane wprost na tych młodych ludziach.

- O mój Boże - szepcze Jack Mac.

- To chyba trojaczki - stwierdza Fleeta.

Pani White przygląda się rywalom, a następnie ściska naszą drużynę. Grupka się rozpada. Jane siada na swoim miejscu, grzecznie składając ręce na biurku. Etta przygląda włosy i poprawia plakietkę z imieniem, żeby dobrze się prezentowała przed kamerą. Billy wyciąga goździk z butonierki, a dziewczynki odkładają bukietki. Dzieciaki z gór zaczynają rozumieć, że to się dzieje naprawdę. Chcą wygrać, nie potrzeba im żadnych kwiatków, żadnych błyskotek.

Rozbrzmiewa temat przewodni (piosenka o alfabecie na swingującą modłę), Dan DeBoard upija łyk kawy i dyskretnie kręci się na taborecie. Skubie brzeg styropianowego kubka, szukając na widowni Ivy Lou. Znajduje ją, uśmiecha się i puszcza oko (bardzo frywolnie). Potem wstaje i niedbale opiera

stopę w lśniącym mokasynie z frędzlami o chromowany szczebel taboretu. Jest taki opanowany, jakby grał w rebusy u siebie w domu. Ja tak mocno ściskam dłoń Jacka, że mogłabym zgnieść puszkę coli.

- Powitajmy zawodników z Big Stone Gap w Wirginii! Wszyscy klaszczemy, Fleeta przeraźliwie gwizdże, jakby przywoływała krowę.

- To kapitan drużyny, Etta MacChesney - ciągnie Dan. - Etto, opowiedz mi o swojej rodzinie.

- Mój tata jest górnikiem, a mama sprzedaje pigułki.

- Jakie pigułki?

- Zależy. Co panu jest? Gospodarz tłumi śmiech.

- Rozumiem, że jesteś pilną czytelniczką.

- Tak, proszę pana.

- Co teraz czytasz?

- *Starożytną sztukę czytania z rysów twarzy*. Ciocia Iva Lou mi ją dała. Pracuje w bi...blotece. -

Etta pokazuje Iwę Lou, która natychmiast się prostuje i rozpromienia, jakby to ją pokazywały kamery.

- Interesujące. Czym jest starożytna sztuka czytania z rysów twarzy?

- Każda twarz mówi, kto jaki ma charakter i co go czeka w przyszłości.

- Małe hokus-pokus, tak? - Unosząc brew, Dan patrzy w kamerę.

- Niezupełnie. Na przykład pan - ma pan cienką górną wargę i grubą dolną.

- A co to znaczy? - Dan pociera brodę.

- Jest pan skąpy.

- Ktoś tu rozmawiał z moją żoną - stwierdza Dan.

- Przepraszam. - Etta uświadamia sobie, że chyba popełniła gafę.

- Chciałabym się wczłgać do mysiej dziury i umrzeć - mamrocę do Ivy Lou.

- Ja też bym się chciała wczłgać do dziury, koniecznie z Danem DeBoardem - odpowiada mi szeptem.

Drużyna gości rozpocznie grę. Gospodarz pyta Ettę o numer.

- Pięć, na cześć mojego kota Sio, który skończył pięć lat - mówi Etta.

- Jeśli masz dwa koszyki brzoskwiń i w jednym koszyku jest trzysta pięćdziesiąt sześć brzoskwiń, a w drugim dwieście dziewięćdziesiąt osiem, to ile masz brzoskwiń?

Etta zamyka oczy i usiłuje dodawać w myśli. Niebieskie tęczęwki Jane Herd poruszają się niczym obrazki na wyświetlaczu jednorękiego bandyty. Jane zaczyna drżeć, zna odpowiedź. Przerazenie i desperacja na twarzy Etty podpowiadają mi, że moja córka nie.

- Pięćset pięćdziesiąt cztery? - pyta słabo.

- Przykro mi. Sześćset pięćdziesiąt cztery. Teraz drużyna z Kingsport.

Etta nadyma policzki, jakby miała wybuchnąć płaczem. Jane jest tak rozczarowana, że z całej siły tłucze głową o blat biurka. Mistrzowie natychmiast się odwracają, żeby sprawdzić, co to za łomot.

Etta łapie Jane za kark i odrywa jej głowę od blatu - dzięki Bogu nie polała się krew, więc Dan zadaje następne pytanie przeciwnikom.

Chłopcy z Kingsport odpowiadają prawidłowo na trzy pytania, w tym na to o stolicę Vermontu.

- Patrzcie na dzieciaka Skeensów. Źle z nim - szepcze Fleeta. - Nie mruga.

Rzeczywiście, źle z Billym. Znieruchomiał, wpatruje się w przestrzeń, a jego oczy są okrągłe i nieobecne, wyglądają jak wypestkowane czarne oliwki. Nasza drużyna zupełnie nie może się skoncentrować. Jane zafascynował monitor, zatacza głową koła, patrzy na swoją twarz pod każdym możliwym kątem. Jest tak spocona, że spinka zsuwa się z jej włosów. Etta nie przestaje kręcić guzikiem swetra jak gałką radia; lada moment go urwie.

Do przerwy udaje się nam zdobyć zero punktów, a dzieciakom z Kingsport piętnaście.

- Ka-ta-stro-fa. Ka-ta-stro-fa - mamrocze Fleeta i wychodzi na papierosa. Spaceruje po korytarzu, na przemian zaciągając się i drapiąc po głowie ołówkiem, który znalazła w koku na czubku głowy. Przez całą przerwę pani White usiłuje dodać Billy'emu odwagi.

Gdy rozpoczyna się runda druga, liczymy na cud.

- Czy woda wypływa przez odpływ zgodnie w ruchem wskazówek zegara, czy odwrotnie? - pyta Dan Billy'ego. Dzieciak w skupieniu marszczy czoło.

- Na litość boską - mówi Fleeta tak głośno, że wszyscy w studiu patrzą wprost na nią. Dan otwiera usta i kołysze głową, zachęcając Billy'ego do odpowiedzi. W końcu chłopak otwiera usta.

- Uhhh - mówi, nawet nie udając, że to cokolwiek znaczy. Jego wargi przypominają rozpiętą kieszeń. Potem „uhhh” przechodzi w dziwne buczenie.

- Co się dzieje z tym dzieciakiem? - szepcze Fleeta.

Dan spogląda na operatora, który wzrusza ramionami. Jane odwraca się do kolegi.

- Mów, Billy. Powiedz coś! - Billy milczy, więc nim potrząsa.

- Zgaduj Billy! Strzelaj!

Billy ześlizguje się ze swojego miejsca jak mokra kluska. Jane próbuje go złapać, ale to on wczepia się w nią i ściąga ją z krzesła. Jej biurko przewraca się na biurko Billy'ego. Łomot jest taki, jakby zderzyły się co najmniej cztery samochody. Jane stara się uwolnić Billy'ego, ale zaczepia stopą o metalowy spód biurka i znów je wywraca. Chłopcy z Kingsport wstają, zaniepokojeni tym rwetesem. Dan biegnie ku dzieciom i wyciąga Jane z pobojuwiska. Jej sukienka wygląda jak parasol wywrócony na drugą stronę. Dan pomaga jej doprowadzić się do porządku, potem wyciąga Billy'ego i sadza go na miejscu. Etta siedzi z pełnym napięciem, upiornym uśmiechem, jej górne i dolne zęby tworzą jedną ścianę strachu (nie widziałam tego od czasów, gdy oglądałyśmy *Mr Sardonicus* w kinie Milion Dolarów). Spoglądam na panią White, osusza czoło chusteczką. Jesteśmy bardzo poruszeni, gdy na zakończenie gry włącza się brzęczyk.

Jako kapitan drużyny Etta odbiera nagrodę pocieszenia: skrzynkę pepsi na szkolne przyjęcie i czek na dziesięć dolarów.

- Etto, co twoja klasa robi z czekiem?

- Gdybyśmy wygrali dwadzieścia pięć dolarów, kupilibyśmy zestaw książek o Nancy Drew. Skoro mamy tylko dziesięć, pewnie zaprenumerujemy „Weekly Reader”. Ale pepsi jest fajna.

- No to powodzenia - mówi Dan i mruga do kamery. Słyszymy temat przewodni. - Żegna was „Klasa z klasą”. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu! - mówi nasz gospodarz tym samym tonem, którym kończy wiadomości o szóstej albo czyta reklamę komisji samochodowego Morgana Legga. Wkłada gigantyczną papierową czapkę z oślimi uszami na głowę Etty, kapitana przegranej drużyny - ta tradycja sięga pierwszego programu. Czapka jest tak duża, że spada Etcie na oczy. Billy wyraźnie się ożywił. Wbiega przed Dana i dzieciaki i wyszczekuje do kamery pozdrowienia dla swojej rodziny - osobno dla każdego Skeensa i Sizemore'a w Cumberland Gap. Billy i Jane wymachują tak energicznie, że przypomina to mycie auta. Roboty z Kingsport stoją przed kołem pytań (które moim zdaniem należy podpalić) i pozdrawiają tłumy niczym gwiazdy filmowe. Wszystkim nam łzej, kiedy operator przejeżdża palcem po gardle, żeby skończyć ten koszmar (przynajmniej ten wie, jak się czujemy).

- Świetnie sobie poradziliście! - mówię radośnie do dzieci.

- Przegraliśmy. - Jane spogląda w podłogę.

- Nie umiem dodawać w pamięci - oświadcza ze smutkiem Etta.

- Pani Mac, ma pani kulki z masła orzechowego? - pyta Billy.

Nareszcie dziecko, które dzięki łakomstwu jest w stanie wyrwać się z katatonii i zapomnieć o przegranej. Pamiętamy, jak wydostać się z budynku, i całe szczęście, bo żwawa Kim zniknęła. Nawet telewizyjna producentka z Bristolu w Tennessee wie, że należy uciekać jak najdalej od smrodu porażki.

Mimo że przegraliśmy, napięcie zniknęło. Granatowe wzgórza Tennessee w końcu ustępują naszym czarnym górcom, gdy pędzimy w ciemnościach w dużym zielonym minibusie z wymalowanym z boku Najświętszym Sercem Jezusa. Nic nam nie dała ta religijna tarcza. A medalik ze świętym Antonim, który ojciec Schmidt podarował Etcie na szczęście? Czyżby zapomniał go pobłogosławić? Gdzie był święty Antoni, patron rzeczy zagubionych, kiedy moja córka zapomniała, jak się dodaje?

Dzieci zebrały się wokół Fleety, opowiada im historię o duchach. Etta już zapomniała o „Klasie z klasą”, to dobrze. Przygotowania do tego głupiego programu były męką. Koniec z wkuwaniem pytań z cholernego koła. Koniec z planszami. Koniec z cotygodniowym oglądaniem teleturnieju, nigdy więcej notatek. Dzieciaki jedzą kanapki z papryką, żując powoli; Fleeta rechocze jak wiedźma. Co jakiś czas światła przejeżdżających aut rzucają na nią dziwne cienie, przez co wygląda jeszcze upiorniej. Pani White złożyła płaszcz przeciwdeszczowy w zgrabny prostokąt i śpi na nim, oparta o okno. Iva Lou nuci lecącą z radia piosenkę Janie Fricke. Wychylam się i masuję kark męża.

- Nie musisz - mówi.

- Ale chcę - informuję go.

- Poważnie, nic mi nie jest.

Zabieram rękę i kładę ją na kolanach. Wyglądam przez okno. Boję się, że lada moment wybuchnę płaczem. Jack dotyka mojej dłoni, tym razem ja ją cofam.

- Przepraszam - mówi cicho.

- To nie moja wina - szepczę, nie patrząc na niego. Sama jednak w to nie wierzę. Wszystko przeze mnie, również przeze mnie upadło górnictwo w południowo-zachodniej Wirginii. Ja jestem kobietą w tej rodzinie; dzięki mnie wszystko powinno się ułożyć. Najwyraźniej nie potrafię przyznać, że sobie nie radzę.

- Będzie dobrze - mówi Jack, co mnie jeszcze bardziej przygnębia. Nie cierpię, kiedy bagatelizuje ważne sprawy, najważniejsze sprawy! Jestem na niego wściekła, ale i zła na siebie. Czułam, że tak będzie. Tyle razy próbowałam z nim o tym porozmawiać, ale on nie chciał. Dlaczego nie błagałam Jacka, żeby rzucił kopalnię, kiedy zaczęły się zwolnienia, kompanie węglowe redukowały załogę i coraz rzadziej słyszeliśmy gwizd pociągów z węglem? Mam ochotę popatrzeć na niego i powiedzieć: „A nie mówiłam?”, ale nie mogę. W minibusie są dzieci, nauczycielka Etty i moje przyjaciółki. Tłumię gniew.

- Mogę dłużej pracować w aptece - oświadczam spokojnie.

Jack nie odpowiada. Zerka na mnie, a potem znowu skupia uwagę na drodze.

- Co o tym myślisz? - pytam, zdając sobie sprawę, że bardziej przypomina to oskarżenie niż ofertę pomocy.

Jack nie odpowiada. Wjeżdża w ciemną dolinę i raz po raz spogląda we wsteczne lusterko. Nic za nami nie jedzie, jesteśmy sami na drodze. Dzięki Bogu, piski i śmiechy dzieci zagłuszają ciszę.

Droga do naszego domu jest tak wyboista, że Etta, która spała, odkąd wjechaliśmy na wzgórze przed miasteczkiem, budzi się ze snu. Nawet nie pożegnała się z kolegami ani z naszymi gośćmi, których wysadziliśmy pod szkołą.

- Musimy naprawić drogę - mówię.

- Dopisz to do listy.

Jack bierze Ettę na rękę. Wyciągam koszyk z kanapkami, torbę i tornister. Jack niesie Ettę do jej pokoju, ja idę do kuchni. Kiedy zapalam światło, słyszę łomot. Kot Sio zeskoczył ze swojego miejsca i gapi się na mnie.

- Zapomniałam cię nakarmić! - Napelniam mu miskę i głaszczę jego sierść, pełna wyrzutów sumienia. Za dużo miałam dzisiaj na głowie. Jack wchodzi do kuchni i otwiera lodówkę.

- Został jeszcze makaron z serem - informuję go. Wyciąga zapiekanekę i wstawia ją do piekarnika. - Musimy porozmawiać - dodaję.

- Nie teraz. Jestem zmęczony. - Otwiera piwo i wygląda przez okno. Nie wiem, na co patrzy, jest ciemno choć oko wykol, dziś nie świeci księżyc.

- Musimy porozmawiać o kopalniach. - Staram się ukryć zniecierpliwienie.

- Co niby mam powiedzieć?

- Co planujesz?

- Planuję?

- Tak. Co zamierzasz robić?

- Zamierzam być bezrobotny.

- To wiem. Myślałeś o czymś, co mógłbyś robić? O jakiejś innej pracy?

- Nie.

- Jack, może pora coś zmienić.

- Może i tak. - Jack wzrusza ramionami. Wcale mnie nie słucha.

- Rozumiem, że jest ci ciężko...

- Niczego nie rozumiesz.

- Rozumiem.

- Nie rozumiesz.

- Rozumiem. Wiem, że masz górnictwo we krwi.

- Ave, dość. Nie mówmy o tym.

- Nie mówmy? Dlaczego się na mnie wściekasz? Co zrobiłam?

- Myślisz, że wstaję rano, znikam pod ziemią, a dziesięć godzin później wychodzę, zmywam wszystko z siebie i wracam do domu? Nie mówię ci nawet połowy rzeczy.

- A czyja to wina? Powinieneś ze mną rozmawiać. Dość mam wyciągania z ciebie każdego słowa. Umierałam ze strachu, kiedy szedłeś do pracy, zwłaszcza ostatnio. Gdy duże kompanie zaczęły wycofywać się z okolicy, nikt już nie dbał o bezpieczeństwo. Wpadałam w panikę za każdym razem, kiedy słyszałam, jak jakaś nieznana firma otwiera stare kopalnie, by zyskać szybki dostęp do węgla. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że te firmy nie przestrzegają przepisów. - Patrzę na męża, który studiuje etykietę na piwie. Podnoszę głos; teraz na mnie spogląda. - Zamartwiałam się. Oczywiście, nie masz pojęcia, co myślę, bo nigdy mnie nie pytasz.

- Pewnie dlatego, że wiem, co myślisz. - Upija łyk piwa.

- Posłuchaj, miałam bardzo... - Chcę powiedzieć „ciężki dzień”, ale się powstrzymuję. Patrzę na męża, jest urażony do szpiku kości.

- Ave, nie pochodzisz z górniczej rodziny - mówi rzeczowym tonem.

Ma rację. Nie pochodzę, choć urodziłam się i wychowałam w tej okolicy. Jestem obca. Mam inny punkt widzenia. Nie zgadzam się, żeby wielka firma decydowała o życiu i śmierci całego miasteczka. Denerwuje mnie czekanie, aż ostatnia bryłka węgla zniknie z tych gór, i dopiero potem my-

ślenie o przyszłości. Polegam wyłącznie na sobie. Jeśli sama na coś nie zapracuję, to nie będę tego miała.

- To niesprawiedliwe. - Tylko na to mnie stać?

- Kiedy dziadek pierwszy raz zabrał mnie do kopalni, chciał, żebym ją znienawidził. Wsiadłem z nim do wagonika. Światło zniknęło i znaleźliśmy się we wnętrzu góry, a ja poczułem, że to jest mój świat. Zapach ziemi, pył na ścianach tam, skąd wydobywano węgiel, i mężczyźni ogarnięci jedną myślą: jak pokonać górę. Jak ją przechytryć. Jak wydobyć węgiel i nie zrobić sobie krzywdy.

- Jack... - zaczynam, ale on się odwraca, by wyjąć zapiekankę, i wcale mnie nie słyszy.

- Krew mnie zalewa, kiedy traktują nas jak idiotów. Ci prości ludzie naprawdę znają się na robocie. Chciałem być taki jak oni, chciałem, żeby tak wyglądało i moje życie. - Jack siada. Ja też siadam i wyciągam do niego rękę.

- Nic straconego. Idź na studia i zostań inżynierem albo kimś takim.

Jack odrzuca głowę i wybucha śmiechem.

- Czy ty w ogóle wiesz, za kogo wysłaś? - Balansuje na tylnych nogach krzesła i spogląda na mnie wyzywająco, w oczekiwaniu na odpowiedź. Czemu mężczyźni to robią? Dlaczego udają siłaczy, kiedy cierpią? I dlaczego ja jestem zła, że on cierpi? Mam ochotę zepchnąć go z krzesła, z trudem się powstrzymuję.

- Pewnie nie.

- No widzisz? W końcu się w czymś zgadzamy. - Jack bierze widelec i zaczyna jeść.

Daję za wygraną. Wychodzę z kuchni i przystaję w połowie schodów. Nie chciałam wychodzić, zamierzałam zostać i wszystko wyjaśnić. Czemu wysłałam? Dlaczego zawsze wychodzę, gdy sprawy się komplikują? Siadam w ciemnościach, by to przemyśleć.

Znowu rozpętała się burza, wiatr smaga deszczem dom, zewsząd wałą pioruny. Błyskawice rozświetlają ciemności, rzucając na mnie zygzakowate cienie podobne do drapieźnych palców. Trzymając się poręczy, schodzę stopień niżej. Wrócę do kuchni! Muszę to dzisiaj wyjaśnić. Chcę mu powiedzieć, że w niego wierzę, coś mnie jednak powstrzymuje. Zawracam na górę, wolę iść do córki, zamiast pocieszać męża. Mam przecucie, że pożałuję tego, ale nie zmieniam zdania.

- Hej, powinnaś spać - mówię do Etty. Wygląda przez okno, obserwuje burzę.

- Grzmot mnie obudził. - Mała wraca do łóżka.

- Jest bardzo głośno - przytakuję; mam nadzieję, że dość głośno, by zagłuszyć kłótnię między jej ojcem i mną.

- Cieszę się, że pan DeBoard nie spytał mnie o rodzeństwo. Czasem pyta.

- Wiem. - Okrywam córkę kołdrą i siadam na łóżku. - Joe byłby dziś z ciebie bardzo dumny.

- Nieprawda. Przegraliśmy.

- No tak. Pewnie dokuczałby ci i nazywał cię fajtlapą przez całą drogę do domu.

Etta patrzy na mnie z uśmiechem.

- Byłby zachwycony, że biurka się wywaliły. - Kładzie głowę na poduszce. - Tak długo już go nie ma, że czasem o nim zapominam.

W życiu Etty dwa lata to szmat czasu, w moim zaledwie chwila. Joe miał cztery latka, kiedy umarł. Między nim i Ettą była tak mała różnica wieku, że często brano ich za bliźnięta, choć nie mogliby się bardziej różnić od siebie. Trzy miesiące po narodzinach Etty odkryłam, że znowu jestem w ciąży. Trzeba było słyszeć te żarty w miasteczku.

- Złotko, to chyba frajda po takiej posusze - powiedział do mnie jeden z kumpli Jacka na meczu.

Dawna stara panna zamieniona w maszynę do rodzenia dzieci - ale śmieszne! Pewnie uznali, że popróbowала miodu i zapragnęłam całego ula.

Kiedy urodził się Joe, Jack tylko na niego spojrział i krzyknął:

- Włoskie geny zaatakowały!

Nie mylił się. Joe miał kręcone czarne włosy i czekoladowe oczy, a także królewski nos mojego ojca oraz lekki przodozgryz. Jego szczeka była kwadratowa i wystająca, a podbródek zaokrąglony na dole, jakby w przyszłości należało się tam spodziewać dołka. W uśmiechu pokazywał dołeczki (nie wiadomo po kim) w policzkach. Bardzo się różnił od Etty. Joe był głośny, zabawny i doprowadzał nas do rozpacz. Oddałabym wszystko, co mam, żeby nadal to robił.

- Nie martw się, nigdy nie zapomnisz brata.

- Na pewno?

- Na pewno. Wiem to.

- Skąd wiesz?

- Bo go kochałaś, a miłość nigdy nie umiera.

Mówię do niej takim tonem, jakbym informowała ją o konieczności noszenia parasola w deszczu. Gdybym jeszcze wierzyła w swoje słowa. Gaszę lampkę i włączam światełko na noc.

- Mamusiu, zostań, dopóki nie zasnę.

Kładę się obok córeczki i przytulam się do niej. Jest ciepłutka, czuję się z nią bezpiecznie. Mam nadzieję, że tam, gdzie jest mój synek, też ktoś go przytula. Modliłam się do Mamy, by go odnalazła i się nim zajęła. Muszę ufać, że te modlitwy nie pozostają bez echa, ale wcale nie jestem tego pewna.

Rozdział drugi

Nagłówek na pierwszej stronie „The Post”, gazety Big Stone Gap, brzmi WESTMORELAND ZWALNIA, co wywołuje serię żartów, których nie da się powtórzyć. Przez tydzień od tego obwieszczenia „The Post” drukuje dla górników informacje o zasiłkach, ubezpieczeniu i opiece zdrowotnej.

Znajduję artykuł: *U progu sławy, z pustymi kieszeniami: MIEJSCOWE DZIECI ZAJMUJĄ DRUGIE MIEJSCE W „KLASSIE Z KLASSĄ”*. Łagodnie powiedziane. Może redaktor, Bill Hendrick, specjalnie umieścił ten tekst pod *MAXIE BELCHER I PEBBLE FIG PROSZĄ O MODLITWĘ*, żeby ludzie ujrzeni problem z właściwej perspektywy. Nienawidzimy przegrywać, nawet na poziomie szkoły podstawowej. Zdjęcie naszych zawodników jest jednak śliczne; dzięki Bogu, zrobili je przed teletur-niejem, w szczęśliwszych chwilach. Od koszmarnej porażki minął już tydzień. Etta niemal o niej za-pomniała, do chwili, kiedy jakiś staruszek wskazał na nią w supermarkecie i powiedział:

- To jedna z tych, którzy nas pogrążyli w „Klassie z klasą”!

Starannie zwijam gazetę i wkładam ją do kosza pełnego puszek, jaj i mleka.

Dziś moja kolej na zakupy dla bliźniaczek Tuckett. Edna i Ledna mają koło osiemdziesiątki i rzadko wychodzą z domu. Zostawiam im koszyk pod drzwiami. Wracając do jeepa, słyszę skrzypienie, i wiem, że go wzięły. Przez lata siostry piekły placki i ciasta dla wszystkich w mieście: od narodzin do śmierci i pomiędzy tymi dwoma wydarzeniami można było liczyć na bliźniaczki Tuckett i ich wypieki. Teraz ciężko im przyjąć, jak mówią, „jałmużnę”. To wcale nie jałmużna: ludzie tak spłacają dług.

Dziś miasteczko jest bardziej ożywione niż zwykle. Kiedy z kopalni nadchodzi zła nowina, w Gap pojawiają się ludzie, którzy mają długi. Wszyscy, od Zackiego Wakina do jubilera Gilleya, zmieniają warunki w chwilach kryzysu. Barney Gilley często powtarza klientom, że bez węgla nie byłoby diamentów, a bez górników nie miałyby pracy, więc chętnie udziela nowych kredytów bez konieczności spłaty wcześniejszych zobowiązań.

Moja szefowa, Pearl Grimes, zamiata chodnik, kiedy wjeżdżam na parking przed apteką. Pearl to bardzo dojrzała dwudziestopięciolatka; dalibyście głowę, że jest starsza. Wygląda elegancko i szczupło w skromnej brązowej spódnicy i białej bluzce. Jej fartuch jest wyprasowany i związany po bokach na kokardki. Fleeta i ja również nosimy fartuchy projektu Pearl, białe z wyhaftowaną z przodu sosną (hołd dla Johna Foksa juniora, autora *Szlaku samotnej sosny*). Pearl zrobiła trwałą na swoich brązowych włosach i używa teraz mnóstwo lakieru. Jej niegdyś okrągła, dziewczęca twarz jest bardziej wyrazista, Pearl do perfekcji opanowała sztukę nakładania różu, którym podkreśla kości policzkowe. W łagodnych brązowych oczach dziewczyny nadal widać smutek, ale i determinację, co wygląda bardzo atrakcyjnie.

Wraz z przemianą Pearl nastąpiła przemiana apteki. Pearl zdobyła dyplom MBA - magistra za-rządzania - z wyróżnieniem na Uniwersytecie Wirginii w Wise, a potem przekształciła aptekę w sklep

wielobranżowy. Wypytywała klientów, co zmienić, zmobilizowała personel (Fleeta pracuje tu na cały etat, ja od narodzin Etty na pół) i zaczęła wprowadzać reformy. Nosimy fartuchy (choć Fleeta się buntuje i go nie wiąże, powiewa więc na niej jak kamizelka na budowlańcu). Koniec z paleniem za ladą i lunchami na skrzynkach. Fleeta nie podjada już orzeszków ani nie popija coli podczas obsługi klientów. Nie wywieszamy tabliczki ZARAZ WRACAM, biegnąc na wyprzedaż rzeczy używanych.

Zanim Pearl zabrała się do zmian, rozważyła wszystko, nawet wystrój wnętrza. Usunęła jaśkrawe jarzeniówki zainstalowane przez Freda Mulligana (pierwszego właściciela i mojego ojczyma).

- Łagodne światło i muzyka przyciągają klientów - stwierdziła.

Miała rację. Czasem ludzie przychodzą tylko się pogapić. Pearl sprowadziła nawet kosmetyki Estée Lauder, co skusiło nowe klientki, które dotąd musiały jeździć aż do Kingsport po tak wyszukany towar.

W tym miesiącu Pearl przeszła samą siebie przy dekorowaniu wystawy. W hołdzie jesieni zrobiła z papier-mâché drzewko z pomalowanymi na złoto liśćmi. Obok drzewka stoi manekin przebrany za farmera (na gwiazdkę zmieni się w Świętego Mikołaja), w dłoniach trzyma grabie. Pomysł jest prosty: Pearl ukryła wentylator w sztucznym kopczyku ziemi, żeby liście wirowały po całym oknie. Co za widok! Wystawa wygląda tak realistycznie, że pełen podziwu dla sztuki wielebny Edmonds stuknął auto Nellie Goodloe, gdy przejeżdżał tędy pewnego ranka.

- Mam pomysł - mówi Pearl, zmiatając liście do kosza.

- Fleeta i ja nie będziemy dawać występów kabaretowych, żeby interesy szły lepiej.

- Nie jestem pewna, czy to faktycznie poprawiłoby sprzedaż.

- Dzięki.

- Mam coś lepszego. Wiedziałaś, że na zapleczu był kiedyś bufet?

- Fred Mulligan zamknął go, kiedy byłam mała. Mówił, że za dużo z tym zachodu.

- W ścianie są rury. Czynne. Wystarczy tylko wstawić kilka sprzętów i na nowo otworzyć kuchnię. Mogłybyśmy serwować śniadania i lunchy, zacząć od skromnego menu. W miasteczku ludzie chodzą tylko do Hardy'ego. Ile można zjeść bułek z kiełbasą?

Nie chciałabym sprawić przykrości szefowej, ale odpowiedź brzmi: sporo. Brownie Polly pobili rekord - pewnego niedzielnego ranka pochłonął czternaście.

- To byłaby rozrywka dla miasta i zysk dla nas - ciągnie Pearl. - Powinniśmy otworzyć bufet. - Wymienia zalety tego przedsięwzięcia z takim entuzjazmem, że nie mam najmniejszych wątpliwości: decyzja została podjęta.

- Widzę, że wybadałaś grunt.

Fleeta wystawia głowę za drzwi. I to jaką głowę! Brązowawe włosy skręcone na czubku w sterczące loczki i ciasny warkocz jak diadem. W usta Fleeta wetknęła papierosa. W świetle dziennym jej róz jest jaskrawy jak pomarańczowe kapsle.

- Witaj, Kleopatro. - Klepię się w policzki, Fleeta mnie naśladuje. Ściąga z loczków duże przytrzymujące je różowe kokardki. Pukle układają się na jej policzkach jak przecinki.

- Ktoś mi powie, co się dzieje, do cholery? - Fleeta wkłada fartuch przez głowę i jak zwykle go nie zawiązuje.

- Pearl chce uruchomić bufet.

- Nie będę pracowała w żadnej durnej jadłodajni. Wiecie, co wstępuje w głodnych ludzi? To bestie.

Pearl liczy się z opinią Fleety, bo ona najwięcej tu pracuje. Odkąd jej mąż, Portly, zmarł na pylicę dwa lata temu, Fleeta spędza sporo czasu w aptece. Jej dzieci są już dorosłe: syn Kyle wyjechał do Karoliny Północnej, bo tu nie mógł znaleźć pracy; Pavis wyniósł się na Florydę, bo w Karolinie Północnej płacił czekami bez pokrycia, kiedy pracował tam razem z Kyle'em. Córka Fleety, Dorinda, urodziła dziecko, ale Fleeta nie zamierzała wychowywać kolejnego „cholernego bachora”.

- Miałaś frajdę, teraz masz dziecko, jest twoje, zajmij się małą i odwiedźcie mnie na Dzień Matki - oświadczyła. Tak przynajmniej mówiono w miasteczku.

Oczywiście, wcale tak nie myśli. Rozpieszcza małą Jeanine przy każdej okazji. Dorinda podarowała matce wisiorek z napisem NAJLEPSZA BABCIA NA ŚWIECIE, kursywą na złotej tabliczce. Fleeta nigdy go nie zdejmuje.

- Fleeta, myślę, że to świetny pomysł. - Patrzę na Pearl.

- Jasne - rzędzi Fleeta. - Nie widzisz, ile trzeba będzie pozmieniać? Wkrótce zrobi się z nas centrum handlowe. Gdybym chciała pracować w centrum, tobym tam szukała roboty.

- Zamykają kopalnie, więc musimy poszerzać profil. Jeśli pomysł z bufetem wypali, Pearl będzie mogła zatrudnić ludzi. W miasteczku pojawią się nowe miejsca pracy.

Zza budynku wyłaniają się Otto i Worley, niosąc narzędzia i długą rurę (dowód, że Pearl podjęła decyzję na długo przed konsultacją ze mną). Otto kuleje: twierdzi, że z wiekiem kurczą mu się kości. Ma szeroki uśmiech, rzadkie siwe włosy i jasnoniebieskie oczy. Na drzwiach ich nowej ciężarówki widnieje napis OTTO OLINGER I SYN, gdyby ktoś zapomniał, że są synem i ojcem, nie zaś braćmi, w co Gap wierzyło przez długie lata. Worley wygląda dobrze, nawet porządnie się ubrał i wstawił sobie przednie zęby. Jego rudą czuprynę przetyka mnóstwo siwych włosów.

- I co panna Ave na otwarcie bufetu? - chce wiedzieć Otto.

- Pomysł bardzo mi się podoba.

- A czy kogoś obchodzi, co ja na to? - Fleeta obmacuje fartuch, usiłując znaleźć papierosy.

- Raczej nie. - Otto uśmiecha się do Worleya.

- Pocałuj mnie gdzieś, Otto - warczy Fleeta.

- No dobra, dosyć - łagodzi sytuację Pearl.

- Pamiętam bufet starego Freda Mulligana - wzdycha z tęsknotą w głosie Otto. - Były taborety obite zieloną skórą, na których się kręciliśmy, na ścianie z tyłu lustro. A wiśniowy napój z lodami! Jakie to było smaczne!

- Też je pamiętam. Teraz, kiedy mam ochotę na taki napój, jadę do Bessie w Appalachii. Idziemy, tato O. - mówi Worley. (Kiedy Otto wyznał Worleyowi, że jest jego ojcem, Worley przestał mówić mu po imieniu, nazywa go tatą Ottonem).

Zajmuję miejsce za ladą i spinam recepty na dzisiaj. Pearl zostawiła tu swój przepis na kulki z masła orzechowego. Etta często o nie błaga, dochodzę do wniosku, że będą dobrą kartą przetargową, kiedy zechcę czegoś od córki.

KULKI Z MASŁA ORZECHOWEGO KUZYNKI DEE Zmieszaj:

- paczkę cukru pudru

- półkilowy słoik masła orzechowego z kawałkami fistaszków

- 2 filiżanki pokruszonych pełnoziarnistych krakersów

- 2 opakowania rozpuszczonego masła

Uformuj masę w małe kulki. Rozpuść:

- 350 gramów deserowej czekolady w wiórkach

Zanurzaj kulki w rozpuszczonej czekoladzie i kładź na papier do pieczenia.

- Tak je robisz? - Macham przepisem do Pearl.

- Nic prostszego.

Fleeta łapie przepis i mu się przygląda.

- Ja nie używam pokruszonych krakersów, z nimi kulki są za suche. Biorę pokruszone orzeszki. Są wtedy cięższe i chrupią.

- Zapamiętam.

- Najpierw zrób z krakersami i sama zobacz, które lepsze. - Fleeta wzrusza ramionami. - Oczywiście, tutaj nikogo nie obchodzi, co ja myślę.

- Pearl, możemy porozmawiać? - pyta Worley.

- Pewnie.

Worley mówi poważnym tonem, Fleeta i ja spoglądamy na siebie. Ciągnę ją za fartuch i ruszam na zaplecze, żeby pogadali na osobności.

- Proszę nie wychodzić, panno Ave - prosi Worley. Nic nie mówi do Fleety, która traktuje to jak zgodę na pozostanie. Odwraca się do nas plecami, od niechcienia odkurzając koperty. Nadstawia ucha, wiem, że zamierza podsłuchiwać.

- Czy coś się stało? - pytam Worleya.

- Nie, panno Ave. Tylko serce mi mocno bije, i już.

- Ze smutku czy z radości? - Naprawdę nie wiem, uroczysty wyraz twarzy Worleya i zmarszczka między jego brwiami niepokoją mnie.

- O, z wielkiej radości, proszę pani.

- Czy to ma coś wspólnego z moją mamą? - pyta Pearl.

- Owszem. Chciałbym poślubić pannę Leę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Worley spogląda na Pearl, a potem, speszony, wbija wzrok w podłogę. Fleeta i ja spoglądamy na siebie. Zatkaną nas.

- Pytałeś ją? - chce wiedzieć Pearl.

- Rozmawialiśmy.

- Zgodziła się?

- Powiedziała, że wyjdzie za mnie, jeśli pani się zgodzi.

- No to absolutnie nie mam nic przeciwko temu.

- Zawsze chciałem mieć miłą dziewczynę z Melanżów, taką ja moja mama - uśmiecha się Worley. - Teraz mam.

Idzie do magazynu.

- Twoja mama i Worley umawiali się na randki? - pytam Pearl.

- Nie nazwałabym tego randkami. Same wiecie, jak to bywa w domu - ciągle psują się rury albo elektryka, a Otto i Worley wiedzą, gdzie co jest, więc przyjeżdżają naprawić usterkę. A potem wypadają ich zaprosić na obiad albo kolację.

- Nalej mleka, a nigdy nie pozbędziesz się kota - mruczy Fleeta pod nosem.

Ma rację. Zanim wyszłam za męża, wciąż coś się w domu psuło, a Otto i Worley praktycznie się tam zagnieździli. Odbierali moją pocztę, zamykali okna w czasie deszczu i czasem nawet jedli kolację, zanim wróciłam z pracy.

- To się rozwinęło samoistnie - wzdycha Pearl.

- Co takiego, na Boga, twoja mama w nim widzi? - dopytuje się Fleeta.

- Pragnie towarzystwa - mówi Pearl przez ramię, idąc do magazynu.

- Leah zobaczy, jak pragnie towarzystwa, kiedy będzie go miała przez cały czas na głowie. Mięgiem się zmęczy. Facet potrafi bardziej zdołować kobietę niż gromada dzieciaków. - Fleeta wrzuca do kasy rulon ćwierćdolarówek, który pęka jak skorupka jaja.

- Myślisz, że jeszcze kiedyś się zakochasz? - pytam.

- Miałam swojego Portly'ego. Nie zamierzam drugi raz wstępować do tej samej rzeki. Jestem stara, nie zauważyłaś?

- Miłość nie ma nic wspólnego z wiekiem.

- Owszem, ma. Gdybyś słyszała, jak kości skrzypią mi w nocy, nie próbowałabyś wepchnąć mi do łóżka jakiegoś starca, żeby skrzypiał razem ze mną. - Fleeta łapie papierosy i wychodzi na ulicę.

Zakochałam się w Jacku Macu jakoś przypadkiem, prawie przegapiłam ten moment. Miałam trzydzieści pięć lat i doszłam do wniosku, że już do końca życia będę sama, pani Mac postanowiła jednak inaczej. Wszystko zaaranżowała, wybrała mnie na swoją synową, wręcz zmusiła, żebym przyszła do nich pod jej nieobecność. Nie sprzeciwiłam się jej - poszłam tam i czekałam w tym starym kamiennym domu o czterech kominach. Często myślę o tej nocy, gdy Jack pierwszy raz wyznał mi miłość. Tak się bałam tego uczucia, Jacka i całej reszty. A gdybym uciekła do jeepa i odjechała, zanim wrócił? A gdyby tamtej nocy nie przyszedł? A gdyby nie dostrzegł we mnie tego, o czego istnieniu sama nie miałam pojęcia? Skąd wiedział, że odwzajemnię jego uczucie, skoro nigdy nie wysłałam mu żadnego sygnału? Jak krucha jest miłość, jak nieśmiało pączkuje, kiedy jest zaledwie myślą, marzeniem pełnym nadziei. Tak łatwo się od niej odwrócić i żyć samotnie, we własnym strachu. Ten nagły przypływ odwagi całkiem odmienił moje życie. Nie wybrałam miłości z lęku przed samotnością ani z rozpędu. Pozwoliłam, by miłość mnie zmieniła. Wiem, dlaczego Fleeta nie chce nowego mężczyzny. Nie chce się zmieniać.

Dzwonek w drzwiach radośnie brzęczy.

- Zobaczyłem jeepa przed apteką. - Speck Broadwater wkracza do apteki, opiera się o ladę i bawi brelokami na klucze, wiszącymi na drucie przy kasie.

Speck, już po sześćdziesiątce, przypomina drzewo, z wiekiem wydaje się coraz wyższy. Wszystko w nim jest przerośnięte, ma wielką głowę (głównie czoło, porane zmarszczkami od palenia), potężne dłonie; nawet złote oprawki okularów wyglądają jak przednie szyby auta. - Kiepsko z kopalniami.

- Kiedy Speck oddycha, przypomina chmurkę z kreskówek, która nadyma buzię i dmucha wiatrem. - Jak tam Jack Mac?

- W porządku.

- Śmierząca sprawa. - Speck rozdziera listek gumy i proponuje mi połówkę, ale odmawiam. Wrzuca gumę do ust, drugi kawałek chowa do kieszeni. - Wiesz, że sporo się zmieniło.

- Co?

- Mają nową technologię wydobywania. Zamiast kopać, zaczynasz na szczycie góry i wydobywasz węgiel od zewnątrz. Trochę to przypomina obieranie jabłka. Wydobywasz węgiel od zewnętrznej strony góry, a potem z jej środka.

- A co się dzieje z górą?

- W końcu znika. Na amen.

- To okropne.

- No tak, okropne. Jeśli przyjedzie tu gromada obcych i zrówna nam góry z ziemią, co z nas zostanie? Indiana? - Speck sięga przez ladę i potrząsa słojem na cele dobroczynne. - Ale praca to praca. Może ta nowa technologia to dla nas ratunek.

- Sama nie wiem. - Uśmiecham się do niego, choć oboje rozumiemy, że nowa technologia w niczym nam nie pomoże. Kompanie uznały, że pojedą sobie gdzie indziej i będą taniej wydobywały węgiel. Nic się nie da na to poradzić.

- Ja też nie. Może tutejsi politycy ruszą tyłki i wezmą się do turystyki.

- Może i tak.

- Mamy sporo do zaproponowania. Góry. Piękne widoki. Huff Rock. Dolinę. Jezioro Keokee. Jezioro Big Cherry. Byłaś tam? Piękne miejsce. Dickensonowie popłynęli tam żaglówką - nie ma żadnych motorówek, same łodzie. To dopiero coś. - Speck poprawia na regale krople na kaszel.

- Speck, chcesz czegoś?

Spogląda na mnie i wybucha śmiechem, który po chwili przechodzi w suchy kaszel. Speck odchrząkuje.

- Chcę, żebyś wróciła do Brygady Ratowniczej.

Chyba żartuje. Praca w brygadzie była w porządku, kiedy nie miałam rodziny: jako miejscowa farmaceutka znałam się na sztucznym oddychaniu i pierwszej pomocy, towarzyszyłam więc Speckowi podczas wyjazdów. Minęło jednak już prawie dziesięć lat, poza tym brak mi czasu.

- Wiesz, że nie mogę. Mam dzieci... To znaczy Ettę.

Speck patrzy w bok. Nie jestem urażona, to się często zdarza. Za każdym razem, gdy mówię o Joem (rzadko), ludzie szybko zmieniają temat. Nie z powodu złych manier czy braku wrażliwości, po prostu nie wiedzą, jak reagować. Może patrzenie w oczy matki, która straciła dziecko, jest dla nich zbyt bolesne, wolą więc udawać, że nic się nie stało. A może sądzą, że na wzmiankę o Joem znowu zaczną cierpieć. Życie mojego synka było bardzo krótkie, to tylko fragment krajobrazu naszego długiego istnienia w tych stronach. Dla wszystkich poza Speckiem. Sądzę, że on pamięta Joego tak jak ja.

Speck trzymał Joego do chrztu, choć nie jest katolikiem. Właściwie to poniewczasie odkryliśmy, że jego noga nie powstała w „kat-lickim” kościele, tak go wychowano. Katolicy byli dziwni, tajemniczy i niegodni zaufania. Jednak w dniu chrztu nabrał odwagi i wszedł do kościoła, chociaż ze zdenerwowania trząsł się tak okropnie, że niemal upuścił dziecko.

- Przykro mi, że muszę cię zawieść.

- To nie rób tego. Nikogo nie mogę namówić. Przez jakiś czas jeździła ze mną Trudy Quails, ale nic z tego nie wyszło. Usiłowała rozstawiać mnie po kątach. Wiesz, jaki jestem: mogę mieszkać z władczą kobietą, ale nie zamierzam z kimś takim pracować.

Chciałabym pomóc Speckowi, naprawdę. Był przy mnie w najgorszych chwilach mojego życia.

- No już, Ave. Przez wzgląd na dawne dobre czasy.

Sporo dobrego wydarzyło się, kiedy pracowaliśmy w brygadzie: spieszyliśmy na ratunek kotom, odpalaliśmy skonfiskowane dzieciakom fajerwerki, bo tylko tak mogliśmy je zniszczyć, upiękaszaliśmy wóz Brygady Ratowniczej na paradę w stolicy stanu, kiedy Linwood Holton z Big Stone Gap został gubernatorem. Poza tym Speck zrobiłby wszystko dla Etty i Joego. Jeździł z Joem w karetce z włączoną syreną i błyskającymi światłami.

Po raz pierwszy zabrałam syna do szpitala w ponury styczniowy ranek. Wyszliśmy z windy i wpadliśmy wprost na Specka. Był Dzień Bałwana, Etta wcześniej wróciła ze szkoły. Speck natychmiast zaczął się bawić z dziećmi: podrzucał oboje do góry, a potem je odesłał, żeby popatrzyły na noworodki za szklaną ścianą.

- Co tu robicie, do cholery? - spytał z uśmiechem.

- Joe ma strasznego siniaka.

- Bił się?

- Nie.

- Wiesz, jacy są chłopcy, często się przewracają. Kto go leczy?

- Doktor Bakagese.

- Hindus? To dobrze. Któregoś dnia przywiozłem tu Myrę Poff, a on od razu rozpoznał początki zapalenia płuc.

- Dobrze wiedzieć.

Speck objął mnie ramieniem, czego nigdy w życiu nie zrobił. Pracowałam z nim w Brygadzie Ratowniczej przez jedenaście lat; nawet okiem nie mrugnęłam w obliczu choroby i wypadków. Wypełniałam jego polecenia, nigdy nie wpadłam w panikę. Zapewne doceniał to, że potrafię działać bez emocji.

- Po co się tak denerwujesz?

- A jeśli to coś poważnego?

- Dobry Boże, Ave. Nie możesz wpadać w panikę za każdym razem, gdy fuknie kozła. Chłopcy łobuzują. Ja mam dwóch: jeden tłuł głową w pręty łóżeczka, a drugi podkładał ogień. Tak już mają.

Myśl o synach Specka, masochiście i piromanie, uspokoiła mnie. Od miesięcy walczyłam ze złymi przeczuciami; może dopadła mnie zimowa depresja. Przecież czytałam, że ludzie popadają w przygnębienie o tej porze roku, ze względu na krótkie dni i zasnute chmurami niebo zmienia się chemia mózgu. W drodze do szpitala zauważyłam, że góry otaczają nas jak mur z brązowego metalu, a niebo, ponura plama spłowiałej niebieskiej flaneli, sprawia, że świat wygląda jeszcze gorzej niż w rzeczywistości. Speck patrzył na mnie jak na wariatkę, a ja pomyślałam, że może to wszystko nieprawda.

Tak bardzo chciałam wierzyć, że Joe jest zdrowy, i przez kilka chwil wierzyłam. Mocno uścisnęłam Specka. Zawstydzony, szybko uwolnił się z moich objęć i powiedział:

- Do zobaczenia. - A potem zniknął.

Wtedy, jeden jedyny raz podczas choroby Joego, czułam nadzieję. Mam dług wobec Specka, on to wie i ja to wiem. Jak mogłabym mu teraz odmówić?

- No dobrze, Speck.

- Wrócisz?

- Tak jest. Ale na jeden tydzień w miesiącu, jestem matką. Nie mogę włączyć się z tobą po całym Wise County.

- Biorę cię, choćby na tydzień w miesiącu. To lepsze niż nic. Na razie.

Pogwizdując, idzie do drzwi.

- Głupek z ciebie - cmoka Fleeta i kładzie ciasteczka na wystawie.

- Wiem.

- I tak masz za dużo na głowie.

Wkładam insulinę Mary Lipp do plastikowego pojemnika i jestem pewna, że Fleeta się nie myli.

- Nie powinnaś najpierw spytać Jacka Maca? On nie ma nic do powiedzenia?

- Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek konsultowała cokolwiek z Portlym, więc daruj sobie - mówię do niej grzecznie.

- Może o tym nie gadałam, ale to robiłam - odpowiada Fleeta, wrzucając nadwyżkę ciastek Gu-gu do koszyka. - Ano właśnie.

W kotlinie Cracker's Neck jest ciemno, kiedy wracam do domu. Wstąpiłam do spożywczego po mleko i zagadałam się z Faith Cox, która zapisuje chętnych na wycieczkę w przyszłym miesiącu na wznowienie *Karuzeli* z Johnem Rattem (Etta byłaby zachwycona, więc wzięłam ulotkę).

Powoli pokonuję zakręty. Można by pomyśleć, że w ogóle nie chcę wracać do domu. Tak naprawdę jestem bardzo zmęczona, boję się, że niechcący zjadę z drogi. Nie pędzę tak jak kiedyś. (Wielu rzeczy nie robię, odkąd zostałam matką). Uwielbiam samotnie jeździć do pracy i z niej wracać, mam czas na uporządkowanie myśli. Teraz odtwarzam wszystkie swoje decyzje, które doprowadziły do obecnej sytuacji. Zawsze to robię, kiedy stoję w obliczu poważnego problemu i czuję się zbita z tropu. Odkąd Jack powiedział mi o zamknięciu kopalni, zdarza się to jeszcze częściej. Zastanawiam się, czy wszystko wyglądałoby inaczej, gdybym nie oddała Pearl apteki i domu Mulliganów na Topolowym Wzgórzu.

Wiele lat temu sprzedałam Pearl interes za dolara (dzięki czemu transakcja stała się legalna), nie tylko po to, by nie wpadł w ręce ciotki Alice Lambert. Wtedy przyszła pora, abym zaczęła nowe życie i pozbyła się etykiety miejscowej starej panny. Nie wiedziałam, co ją zastąpi, ale to miało być naprawdę coś! Snułam wielkie plany. Zamierzałam podróżować po świecie i znaleźć dla siebie odpo-

wiednie miejsce. Dotąd ciągle zajmowałam się rodzicami; w wieku trzydziestu pięciu lat czułam, że pół życia za mną, a nawet jednego dnia nie przeżyłam dla siebie. Miasteczko trzęsło się od plotek, kiedy pozbyłam się auta mamy, a potem przekazałam Pearl aptekę i dom. Byłam pewna, że przenosząc się do miasta, Pearl i Leah zyskają nową szansę, dokładnie to, czego i ja szukałam. Ludziom wydawało się to szaleństwem, ale dostrzegłam potencjał w Pearl i czułam, że zrobi coś porządnego z apteki, którą ja ledwie utrzymywałam. Nigdy nie traktowałam jej jak swojej własności mimo zapisu w testamencie mamy. Zawsze myślałam o sobie tylko jako o pracownicy apteki. Kiedy okazało się, że Fred Mulligan nie jest moim ojcem, nie musiałam już kontynuować dzieła jego życia i nie chciałam.

Tak jak nigdy nie chciałam zostać farmaceutką. Po ukończeniu college'u Saint Mary's wróciłam do domu, bo Fred Mulligan zachorował i nie był w stanie prowadzić interesu, a gdyby go stracił, jaki los czekałby Mamę? Po jego śmierci ona zachorowała. Nie żałuję, że zostałam w domu, by się nią zająć. Umarła w spokoju, ze świadomością, że jestem finansowo niezależna. Ciekawe, co pomyślała w niebie, kiedy sprzedawałam aptekę Pearl.

Pewnie, dobrze byłoby mieć teraz jakieś dodatkowe zabezpieczenie. Nie podoba mi się, że tak myślę. Dodatkowe zabezpieczenie to tylko namiastka tego, czego naprawdę nam trzeba. Czy nie marzymy wszyscy o większych pieniądzach? Czy kiedykolwiek przychodzi moment, że przestajemy o nich marzyć? Suma na czarną godzinę, z którą wchodziłam w małżeństwo, stopniowo topniała. Potrzebowaliśmy pieniędzy na utrzymanie, zdarzały się nieprzewidziane wydatki: dwie zimy temu potężna sosna uszkodziła tył domu; zepsuła się stara furgonetka Jacka, leczenie Joego też było kosztowne.

Kiedy Joe poszedł do zerówki, znów zaczęłam pracować w aptece. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jak mi jej brakowało. Może faktycznie zostałam farmaceutką z konieczności, ale wróciłam do apteki już z wyboru. Odkryłam, że kocham to, co robię, precyzję swojej pracy, uwielbiam poznawać nowe leki i pomagać mieszkańcom miasteczka dbać o zdrowie. Tęskniłam za dostawami i rozmową z ludźmi w ich domach. Brakowało mi zapachów tak różnych: cynamonu u sióstr Tuckett, lilii w domu Bledsoe'ów i świeżej wanilii u Sturgillów. Potrzebowali mnie ze względu na moje umiejętności i znajomość leków, i to mi się podobało. Praca dopełniała mnie w sposób, o którego istnieniu nie miałam pojęcia, dopóki nie opuściłam apteki.

Mam wrażenie, że pokonałam piętnastominutową drogę w dziesięć sekund. Wjeżdżam na polanę. Czy to na pewno mój dom? Wszędzie palą się światła, dookoła parkują samochody osobowe i furgonetki. Nie przypominam sobie, żebyśmy planowali przyjęcie.

Wspinając się po schodach, spoglądałam w okna okiem gościa. W salonie widzę swojego męża w otoczeniu innych mężczyzn, piją piwo, śmieją się i rozmawiają. Chyba długo tak stoję, gdyż papierowa torba z mlekiem robi się wilgotna. Na mój widok przestają się śmiać.

- Myślałam, że wieczór pokera jest we wtorek - mówię z szerokim uśmiechem.

- Nie gramy, Ave. - Rick Harmon puszcza do mnie oko. Trzyma nogi na starym stoliku do kawy mojej mamy. Spycham je; mężczyźni wybuchają śmiechem. Jack bierze torbę z mlekiem i prowadzi mnie do kuchni. Sio rusza za nami.

- Gdzie Etta?

- Ogląda telewizję. - Jack wstawia mleko do lodówki, patrzy na mnie z uśmiechem. Widzę, że chce podzielić się nowinami, w oczach znów ma nadzieję. Od wielu dni nie widziałam jego uśmiechu.

Zamiast się cieszyć, pytam szorstko:

- Jadła?

- Podgrzałem spaghetti.

- Ugotowałaś brokuły?

- Nie.

- Nie jadła nic zielonego?

- Dostała zielonego banana na deser. ,

- Mało śmieszne. Jestem zmęczona. Pracowałam przez cały dzień i jestem bardzo, bardzo zmęczona.

- Zrozumiałem. Jesteś zmęczona.

- Dokąd idziesz?

- Mamy zebranie.

- Macie imprezę. - Dlaczego to robię? Przecież chcę, żeby się dobrze bawił z przyjaciółmi, prawda? Jack wpatruje się we mnie z niedowierzaniem.

- Trochę odeszliśmy od tematu.

- Przykro mi, że przerwałam wam zabawę.

Wychodząc, Jack spogląda na mnie. Ja na niego nie patrzę. Siadam przy kuchennym stole i płaczę. Mam ochotę rozryczeć się tak od serca i porozczulać nad sobą. Wracam do domu i zastaję bałagan, dziecko nakarmione makaronem bez warzyw, hałas, piwo i ludzi, których wcale nie chcę oglądać.

Sprawdzam, co z Ettą, nawet nie odrywa oczu od kreskówki. Całuję ją i przez kuchnię wychodzę na werandę z tyłu, a stamtąd na ciemne pole za naszym domem. Jest zimno, ale nie idę po płaszcz.

Księżyc wisi nad górami jak reflektor, przedziera się przez cienkie chmury. Oddycham głęboko. Chłód ciemnej nocy napędza mnie spokojem. Góry, pozszywane bez śladu szwów, tworzą nade mną fortecę z czarnego aksamitu. Ciemne niebo pobłyskuje srebrzyście na szczycie góry, jak roleta, która nie sięga ramy okna, by skutecznie odciąć drogę światłu. Szczegóły są bardzo wyraźne - nagie, poskręcane gałęzie, mocne czarne żyły na pniach i konarach potężnych sosen. Jestem taka mała.

Na polu od strony Powell Mountain tkwi pniak po starej wiśni. Siadam na nim i jestem niemal na skraju naszego urwiska, które przechodzi w wąwóz i dolinę poniżej. To dzika, ciemna płatanina krzaków, gałęzi i zarośniętych ścieżek. Kiedy tu zamieszkałam, samotne wyprawy budziły we mnie

strach. Z biegiem czasu jednak lęk minął i zaczęłam badać lasy MacChesneyów. Już się nie boję, że spadnę z góry (przynajmniej nie podczas spaceru). Poza tym w tych wzgórzach jest coś krzepiącego.

Nie wiem, ile czasu tak siedzę; z pewnością dość długo, bo ręce zdrętwiały mi z zimna. Słyszę warkot silników aut ruszających sprzed domu. Zebranie Jacka zapewne dobiegło końca. Nie wiem dlaczego, ale ten dźwięk wypełnia mnie przerażeniem. Czuję, że zbliża się wielka kłótnia z mężem, a nie mam siły na walkę. Wchodzę do domu i idę prosto do pokoju Etty. Kończy drugi rozdział *Heidi*, sięga ręką do lampki, żeby ją wyłączyć, i posłusznie kładzie głowę na poduszce. Ciężko oddycha - ma zapchany nos, pewnie po pierwszym ataku zimy. Muszę pamiętać, żeby jutro coś jej podać. Całuję ją i przykrywam.

Zamiast iść do salonu, by pozbierać butelki po piwie (świetnie), wychodzę na oszkloną werandę i składam pranie. Kończę, sprzątam kuchnię i zaglądam do lodówki. Brakuje sałaty. Dość zwlekania. Goście wyszli już ponad pół godziny temu, dom pogrążony jest w ciszy. Pora spać. Lampka na nocnym stoliku rzuca ciepłe światło na ściany naszej sypialni obok kuchni. Na pozór wszystko wydaje się bezpieczne i normalne. Obchodzę łóżko i widzę, że drzwi od łazienki są otwarte, ale nigdzie nie ma śladu Jacka.

Sio śpi na ławie w przedpokoju, w pustym pudełku, w którym Etta urządziła szkołę dla Barbie. Wyglądam przez okno. Furgonetka Jacka stoi na swoim miejscu. To dobrze. Nie pojechał z kumplami. Idę zamknąć drzwi frontowe i przez szybkę widzę go na schodach, siedzi, podpierając się łokciami. Skrzyżowane nogi wyciągnął przed siebie.

- Zamykam.

- Ja się tym zajmę.

- Jest zimno.

- Nie szkodzi.

Już się odwracam, żeby iść do łóżka, ale coś popycha mnie ku Jackowi. Wychodzę na werandę i siadam obok niego. Nie przesuwam się, żeby zrobić mi miejsce.

- Bardzo mi przykro, że tak wyszło. Po prostu jestem zmęczona - mówię mu.

- To cię nie usprawiedliwia.

- Owszem. Kiedy ludzie są zmęczeni, robią się trochę drażliwi.

- U ciebie to coś więcej.

- Nieprawda.

- Nie będę się z tobą kłócił - stwierdza ze znużeniem.

- Ja też nie chcę się kłócić. - Nie kłamię. Nienawidzę kłótni.

- Jack. Błagam. Co się stało? - Mój mąż nie odpowiada, nic nadzwyczajnego. Wszystko muszę z niego wyciągać, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi uczucia. - Po prostu mi to powiedz. No już.

- Dlaczego nie rozmawiałaś ze mną o zamknięciu kopalni? - pyta cicho Jack.

- Dyskutowaliśmy o tym, skarbie. Wiedzieliśmy, że do tego dojdzie.

- Tak, wiedzieliśmy, co?

- O co ci chodzi?

- Zachowujesz się tak, jakby to była moja wina. Jakbym chciał, po dwudziestu dwóch latach, stracić pracę, jedyny fach, na którym się znam.

- To nie jest twoja wina.

- Żebyś wiedziała, cholera.

- I co to da? Ta złość? Westmoreland i tak nie zmieni zdania. Musimy się z tym pogodzić.

- My? To ty się z tym nie pogodziłaś.

- Jak to?

- Myślisz, że wystarczy, jeśli o wszystko zadbasz, to rozwiąże problem.

- A co w tym złego?

- Nie wierzysz we mnie. Potrzebuję twojego wsparcia.

O mój Boże, on uważa, że go nie wspieram? Że nie podziwiałam go każdego dnia, kiedy ryzykował w niebezpiecznej pracy? Że lekceważę jego fizyczną siłę i zdolności przywódcze? Jasne, że go wspieram.

- Nie ufasz mi? - Jack patrzy na mnie. Zadał sporo pytań, ale widzę, że chciałby przede wszystkim usłyszeć odpowiedź na ostatnie.

- Jasne, że ci ufam - odpowiadam bez przekonania. Czy tak jest naprawdę? Czy mu ufam?

- Myślisz, że znajdę nową pracę?

- Tak. Jasne.

- Ja też się martwię, ale nie zamierzam siedzieć i czekać, aż coś się wydarzy. Sam będę szukał.

- Nigdy nie twierdziłam, że jest inaczej.

- Powiedziałaś, że to ty weźmiesz dodatkowe godziny. Zupełnie, jakby chodziło tylko o pieniądze. Wiesz, jak się poczułem?

- Powinieneś poczuć, że masz żonę, na którą możesz liczyć.

- Przecież wiem. Nie o tym mówimy. Ave, mam swoją dumę. Rozumiesz? Myślałem, że jesteśmy partnerami. Myślałem, że mnie rozumiesz, wiesz, że cokolwiek się zdarzy, znajdę jakiś sposób, żeby nas z tego wyciągnąć. Przez ciebie poczułem się jak jakaś niedoróbka. Nie potrzebujesz mnie, skoro sama zamierzasz wszystkim się zająć. Po co braliśmy ślub, skoro działasz na własną rękę?

- Wcale nie chcę działać na własną rękę! - Czuję, że moje małżeństwo spada z tej góry jak kamień, a ja biegnę za nim, usiłując je złapać i uratować.

- Nie ty jesteś mężczyzną w tej rodzinie. - Jack Mac wstaje, żeby wejść do domu.

Łapię męża za kostkę, a potem zrywam się i obejmuję go mocno.

- Przepraszam. Czasem nie umiem przestać się zamartwiać. Nadal myślę, że wszystko muszę robić sama.

To wyznanie wydobywa się z głębi mojej duszy i Jack to rozumie. Wie, jak ciężko mi odpuścić. Sama to wiem, tylko dlaczego wciąż popełniam identyczne błędy? Dlaczego go odpycham, kiedy jest mi potrzebny? Czuję, że jego serce nie bije już szybko, że złością, ale zwalnia, uspokaja się. Jack obejmuje mnie czule. Jego szerokie ramiona chronią mnie przed chłodem; poddaję się temu uściskowi, już dawno tego nie robiłam.

- Wierzę w ciebie - mówię mężowi i czuję to każdą komórką ciała.

- Mam nadzieję, Ave.

- Nie. Nie. Naprawdę. Chodź, usiądź. Opowiedz mi o swoich planach. - Zmuszam Jacka, by usiadł na schodku. Twarz mojego męża oświetlona jest złotym blaskiem lampki padającym z okna salonu. Widzę tę samą minę co wcześniej w kuchni. Jack jest ożywiony, pełen nadziei i nowych pomysłów, może nawet gotowych rozwiązań.

- Rick i Mousey chcą założyć firmę budowlaną, wchodzę w to. Sądzymy, że w okolicy sporo się będzie budować. Mówią o nowym więzieniu, a to oznacza autostradę, no i na pewno nowe domy. Pomysłeliśmy, że pierwsi na tym skorzystamy.

- Doskonały pomysł. Świetnie znasz się na ciesielce.

- Tak, a Mousey na elektryce i hydraulice.

- Czy Rick rezygnuje z pracy w komisie?

- Uważa, że da radę pogodzić jedno z drugim. Chyba że będziemy mieli dużo roboty, wtedy rzuci komis.

- Jasne. Świetnie! Kiedy zaczynacie?

Mąż przytula mnie do siebie i całuje, raz za razem, szybko, słodko i z wdzięcznością. To najbardziej kocham w małżeństwie: lata mijają, a my wciąż potrafimy czuć coś całkiem nowego, to jest jak niespodzianka, której człowiek wcale nie oczekiwał; ukradkiem wraca namiętność. Spodziewasz się, że czeka cię niezła walka, a tymczasem wszystko znów jest w najlepszym porządku; zamiast skakać sobie do gardeł, całujecie się serdecznie. Uczysz się wykorzystywać takie chwile, bo przychodzą i odchodzą, i mogą przez bardzo długi czas nie wrócić.

Światło księżycy zalewa werandę. Przechylamy się, teraz wyraźnie widzę twarz swojego męża, każdy szczegół. Mocny, prosty nos, idealnie wykrojone usta i orzechowe oczy, w których jednocześnie można dostrzec cierpienie i miłość. Przytulamy się do siebie, ale tym razem nie jest tak jak zawsze. Ze śmiechem dotykamy swoich guzików, suwaków, ust. Jack mnie ucisza, szepcze, żebym nie obudziła Etty, pocałunkami tłumi mój śmiech. Jaki cud się zdarzył? Dlaczego teraz jest zupełnie inaczej? Romantycznie, owszem, i wręcz ryzykownie (przed domem, na litość boską), ale również tak jak kiedyś, gdy dopiero zakochaliśmy się w sobie. Dlaczego tamto odeszło, dlaczego nie umiałam tego przywró-

cię? Rozmawiamy zbyt dużo albo zbyt mało, tak rzadko okazujemy sobie uczucie. Trzeba to zmienić. Dlaczego zapominam o tej prostej prawdzie, kiedy wracam zmęczona po pracy albo zajmuję się Etą? Przecież właśnie nasza miłość jest najważniejsza. Bez niej to tylko dom z Etą, duchami tych, którzy przeminęli, i mnóstwem kłopotów. Liczymy się my, a nie nasze problemy, prawda? Całuję Jacka i przypominam sobie, dlaczego to mnie wybrał. Zawsze musimy o tym pamiętać, nawet kiedy sprawiamy sobie zawód. Zwłaszcza wtedy. Jack przytula mnie z czułością, wieczorny wiatr owiewa nam twarz. Drzę.

- Wejźmy do środka, skarbie - szepcze Jack.

- Kocham cię, wiesz? - mówię mu.

- Wiem. - Znowu mnie całuje.

W ciepłe naszego łóżka Jack przytula mnie mocno, od dawna tego nie robił. Znow jesteśmy jednością pod tymi starymi kołdrami, uwielbiam to uczucie.

- Skarbie?

- Tak?

- Speck pytał mnie, czy mogę na kilka dni w miesiącu wrócić do Brygady Ratowniczej. Co o tym myślisz?

- Powiedziałem mu, że nie ma sprawy.

- Pytał ciebie? - Siadam.

- Speck to stara szkoła. Postępuje jak należy i najpierw pyta o zgodę męża, a dopiero potem żonę.

Zanim zdołam coś powiedzieć, Jack wybucha śmiechem. Biorę poduszkę i tłukę go nią. Łapie poduszkę, a potem mnie.

- Masz problem? Porozmawiaj o tym ze Spekiem. - Całuje mnie z uśmiechem.

Na ladzie czeka karmelowe ciastko ozdobione maleńkimi cukierkami ślazowymi i chrupkami orzeszkami pekan, schludnie owinięte papierem śniadaniowym. Tego ranka potrzebuję cukru. (Zapomniałam, ile energii pochłania seks; całkiem jak aerobik po długiej przerwie).

- Hej, dzięki za prezent - mówię do Fleety, kiedy wyciska na przedramię dużą porcję kremu do rąk Estée Lauder. (Nieważne, że to nie tester).

- Słodka ze mnie staruszka, co nie? - Fleeta spogląda na mnie znad okularów, odstawia krem na półkę i pociera nadgarstki. - Nikt nie zauważy. Z czego się śmiejesz? - pyta podejrzliwie.

- Z niczego. - Wzruszam ramionami.

Wchodzi Pearl z dwiema torbami ze sklepu żelaznego.

- Co to? - dopytuje się Fleeta.

- Okładzina samoprzylepna do półek w bufecie. - Pearl idzie na zaplecze.

- Ja ci nie będę pomagać! - woła za nią Fleeta.

- Bez łaski! - wrzeszczy Pearl. Łapię nożyczki i podchodzę do niej.

- Pearl, muszę cię o coś prosić.

- Jasne.

- Nie robiłabym tego, gdybym nie musiała.

- Ave, daj spokój, o co chodzi?

- Muszę więcej pracować.

Najpierw patrzy na mnie ze zdumieniem; wciąż dziwnie się czuje w roli mojej szefowej.

- Nie ma sprawy - odpowiada.

- Na pewno? Masz wydatki związane z bufetem...

- Żartujesz sobie? Jesteś mi potrzebna.

- Świetnie. - Wracam na swoje miejsce.

- Ave Maria?

- Tak?

- Chcę, żebyś coś wiedziała. To raczej świeża sprawa, nic pewnego. Widuję się z kimś.

- Z mężczyzną? Pearl potakuje.

- Na randkach?

Pearl znowu kiwa głową, tym razem z uśmiechem.

- Świetnie! Kto to taki?

- Jeszcze nie powiem. Na wypadek, gdyby rozeszło się po kościach.

- Dobrze.

- Bardzo go lubię.

- Fantastycznie!

- Raczej późno zaczynam. Dlatego trochę się denerwuję. - Pearl patrzy na mnie. Przeżyłam w tym mieście wiele lat bez chłopaka. Wiem wszystko o późnym zaczynaniu. Tak długo byłam sama... Czasem zapominam, że teraz stanowią połówkę pary.

- Bądź cierpliwa i się nie zadręczaj.

- Za bardzo się cieszę, żeby się zadręczać - mówi radośnie Pearl.

- Grzeczna dziewczynka.

- Ave Maria! Pat Bean chce zrealizować receptę! Nie będzie tu czekała przez cały cholerny dzień! - wrzeszczy Fleeta. (Oto próbka słynnej przyjaznej atmosfery w aptece).

- Już idę - odpowiadam.

- Ave? Dzięki. - Twarz Pearl przybiera różowy odcień.

Pearl Grimes zakochana? Wszystko zmienia się tak szybko, że nie wiem, czy nadażę.

Bilety na halloweenową imprezę w podstawówce w Big Stone Gap rozeszły się błyskawicznie. Nellie Goodloe uznała, że warto by urządzać okręgowy bal, żeby zebrać pieniądze dla fundacji Johna Foksa juniora, która finansuje nasz Teatr pod Chmurką.

- Nellie ma do tego smykałkę. - Wciąż to słyszę, wędrując wśród niesamowitych dekoracji.

Białe duchy z czarnymi oczami z guzików tłoczą się przy poręczy balkonu nad naszymi głowami; tablice do koszykówki to teraz wielkie czarne sagany, nad trybunami lata rodzina nietoperzy z czarnego kartonu. Nellie oplotła cały sufit pajęczą siecią z grubego sznura, a na środku przymocowała olbrzymiego pająka z papier-mâché, zwisa niczym dziwaczny żyrandol. Jak ona to robi?

Stolik recepcji jest zastawiony lampami z dyni najrozmaitszych rozmiarów, pełno na nim słomy. Panie z Towarzystwa imienia June Tolliver występują jako czarownice. Panienki, które rozdają programy Teatru pod Chmurką, też przebrały się za wiedźmy, ale zamiast obszernych czarnych sukien mają na sobie mini (na pewno po to, żeby pokazać kabaretki).

Nellie wypożyczyła z muzeum obraz olejny przedstawiający najsłynniejszego obywatela Big Stone Gap, Johna Foksa juniora, autora *Szlaku samotnej sosny*. Fleeta uważa, że Nellie się w nim podkochuje, chociaż zmarł jeszcze w latach czterdziestych.

- Przy każdej okazji wystawia jego głowę - narzeka.

Olejny portret pisarza idealnie pasuje do Halloween: pan Fox siedzi bokiem w gabinecie pełnym mebli z ciemnego drewna; na długim spiczastym nosie ma staroświeckie okulary. Wygląda jak męska wersja *Matki Whistlera*. Nellie ustroiła go pajęczynami z białego papieru, pasują.

Miejscowi kupcy i komitet rodzicielski wypożyczyli stoiska. Jako fanty na loterię Nellie wystawiła sześć darmowych kuponów (mycie plus woskowanie) w myjni Gilliama i miesiąc darmowego prania w Magic Mart. Zebrane pieniądze pójdą na nowe oświetlenie w miasteczku (Nellie zamarzyła sobie staroświeckie latarnie). Będą murzyńskie tańce i widowisko kostiumowe. Etcie nieszczęśliwie zależy na kostiumie. Co roku przebiera się za szkielet, czyli w czarny kombinezon ze srebrnymi kośćmi i maskę przedstawiającą trupa czaszkę. Uwielbia ryzyko: niemal przez cały wieczór strzela do kaczek na kręcącym się kole.

Teraz biegnie do mnie z lśniącym karmelowym jabłkiem pokrytym pomarańczową posypką.

- Mamo, schowasz to na później do torebki? Będziemy musiały je pokroić.

- Nigdy jeszcze nie widziałam tak wielkiego jabłka - mówię córce. Podaje mi dwa ładne porcelanowe spodki, które wygrała w orła i reszkę. Kiedy pytam, gdzie są filiżanki do kompletu, słyszę:

- Spudłowałam.

Koleżanki Etty - Tammy Pleasant, drobna, ale krzepka blondynka, ciągle w ruchu, i Tara Kilgore, wysoka, poważna brunetka o ciemnych oczach z ciężkimi powiekami - łapią ją za rękę.

- Musisz z nami iść, Etta. - Tammy ciągnie ją za sobą.

- W Domu Strachów mają faceta, który naprawdę krwawi - mówi bez emocji Tara. - Nic a nic się nie bałam.

- A ja tak! - Tammy szeroko otwiera oczy. Dziewczynki ustawiają się w kolejce do Domu Strachów. Wiem o nim całkiem sporo, bo przez większość poranka obierałam winogrona, by imitowały gałki oczne, które dzieci macają przy wejściu. Nellie przekonała Ottona i Worleya do odegrania potworów: Otto z niebieską breją na twarzy leży w trumnie, podczas gdy Worley gania dzieciaki między szafkami, z plastikową siekierą przymocowaną do głowy.

- Juhu, Ave! - wrzeszczy Iva Lou. Sprzedaje używane książki z biblioteki w stoisku urządzone jak gabinet w historycznym domostwie. Ubrała się w seksowną, turkusową, rozkloszowaną spódnicę i falbaniastą bluzkę, która odsłania jej mleczone ramiona. Rowek między piersiami Ivy wygląda jak wykrzyknik.

- Dobry pomysł?

- Chodzi ci o bluzkę czy o stoisko?

- O stoisko, głuptasie. Sprzedaję stare książki, robię miejsce dla nowych. Co ty na to? - Iva Lou kręci się jak talerz na patyku.

- Ale okazja! - Łapię cztery książki Lee Smith związane sznurkiem i wycenione na dwa dolary.

- Wstrzymaj się. Za godzinę urządzam totalną wyprzedaż: wszystko musi zejść.

Iva Lou zostawia stoisko pod opieką Jamesa Varnera, który w rzeczywistości jest o wiele wyższy, niż się wydaje za kierownicą bibliobusu. Iva Lou nadal przyciąga wszystkie spojrzenia. (Niektóre kobiety nigdy nie tracą wdzięku). Lyle Makin stoi z boku z grupą kumpli. Kiwa nam głową z uśmiechem.

- Jak tam twój mąż? - pytam Iwę Lou, pozdrawiając go gestem ręki.

- W tym miesiącu jeszcze się nie zalał. No tak, ale nie było pełni.

- Co to ma do rzeczy?

- Upija się zgodnie z fazami księżyca. To bardzo dziwno. Tygodniami nie tyka alkoholu i nagle bum, wpada w czterodniowy ciąg.

Nie da się tego uniknąć. Mogę chować butelki, odwracać jego uwagę, narzekać - wszystko na nic. Kiedy chce się napić, znajdzie sposób, żeby to zrobić, i tyle. Nauczyłam się z tym żyć. Wiele tygodni z rzędu dobrze się zachowuje, większość kobiet nie ma nawet tego. - Iva Lou odwija z opakowania czarownicę z czekoladowej pianki i odgryza kęs. - Co u was?

- Dobrze. Lepiej niż dobrze. Jack nieźle sobie radzi.

- Niedobrze, kiedy mężczyzna traci pracę.

- Wiem.

- Oni żyją swoją pracą. Musisz uważać. Teraz jest podatny.

- Na co?

- Na choroby. Na więcej piwa, na kobiety. Sama wiesz.

- Mój mąż? - Iva Lou chyba żartuje.

- To mężczyzna, prawda? Skończył czterdziestkę, zmienia się. Jacka wkrótce dopadnie kryzys wieku średniego.

- Chyba jak wszystkich?

- Z kobietami jest inaczej. Mężczyźni nie zawsze są świadomi, że się starzeją. Nie tak jak my. Matka Natura bierze kobiety za rękę i powoli prowadzi ku starości. Masz okres, by zrozumieć, że z dziewczynki stajesz się młodą kobietą; rodzisz dziecko, gdy jesteś w pełni sił witalnych; potem przychodzi wielka zmiana, żeby ci oznajmić, że wkrótce będzie po wszystkim. A co mają mężczyźni? Tracą włosy? Pracę? Brzuch im rośnie? No co?

- Nie wiem.

- Zmusz go, żeby z tobą pogadał. Niełatwo skłonić mężczyznę do rozmowy o uczuciach, najchętniej by milczeli. To my musimy wyciągać z nich informacje.

- Iva Lou? - wrzeszczy Lyle, stojąc obok Orła i Reszki.

- Oho, Lyle zgłodniał.

- Potrafisz rozpoznać, czego chce, po jego głosie?

- Wszędzie poznam ten dziki okrzyk. Nawet nie musi nic mówić. Wystarczy to zniecierpliwienie. - Iva Lou ścisła mnie szybko i idzie do Orła i Reszki.

Jack strzela do kaczek przed Domem Strachów. Przeciskając się przez zatłoczoną salę, myślę o tym, że dobra kobieta potrafi rozpoznać potrzeby swojego męża, a dobry mężczyzna potrzeby swojej żony. Czasem Jack czyta w moich myślach. A ja? Czy on wie, co do niego czuję? Czy nadal pociągam go tak, jak on mnie? Mój mąż ma wspaniałe ciało, poważnie: szerokie ramiona i silne ręce. Jego nogi są potężne i muskularne po latach dźwigania, rąbania drewna i pracy w kopalni. I choć nie cierpię broń, myślę, że Jack wygląda seksownie, kiedy tak stoi, przykładając strzelbę do oka. Trochę przypomina mi Johna Wayne'a w *Dyliżansie*. (Jim Roy Honeycutt niedawno puszczał to w kinie Na Szlaku. Czarno-białe filmy zawsze robią większe wrażenie na dużym ekranie).

Tłum nieco się przesuwają, zasłaniając mi męża. Zanim do niego docieram, zatrzymuje mnie Leah Grimes. Ledwie ją rozpoznaję. Schudła (pewnie z gorączki przedślubnej), ufarbowała włosy na piękny odcień mahoni, a jej fryzura to czysta Dottie West, schludny paż z grzywką.

- Leah, ślicznie wyglądasz!

- Miłość czyni cuda.

- Gratuluję zaręczyn. Worley to porządny człowiek.

- Wiem. - Leah oblewa się rumieńcem. Spoglądam przez jej ramię i widzę, że mój mąż odkłada strzelbę na półkę. Kobieta, której nigdy nie widziałam, dotyka jego ramienia. Jack odwraca się do niej z uśmiechem.

- Bierzecie ślub kościelny? - Staję z boku, żeby lepiej widzieć nieznaną rozmawiającą z moim mężem.

- Nie. Uciekamy stąd. I to już wkrótce. Gdy tylko Worley naprawi rury w aptece.

- Co w domu? - pytam Leę. Jack i kobieta się śmieją.

- Dobrze. Dobrze. Chcę, żebyś wiedziała, że jeśli czegoś potrzebujesz, chętnie to dla ciebie zrobię. Popilnuję Etty. Uszyję ci, co zechcesz.

- Dziękuję, Leah, ale myślę, że i tak będziesz miała mnóstwo zajęć przy nowym mężu.

Leah z uśmiechem kiwa głową. Podchodzą jej przyjaciółki, razem idą do stoiska pań ze Stowarzyszenia Sztuk i Rzemiosła. Zamiast do nich dołączyć i popróbować jabłkowego musu albo przepychać się do Jacka i przedstawić nieznaną, wchodzę po schodach na balkon. Okrążam górny poziom, żeby móc na nich patrzeć, nie będąc zauważona. Mam wyrzuty sumienia, że to robię. (Niewielkie). Siadam za rodziną przebraną za słoneczniki, zajadając się popcornem. Nie zwracają na mnie uwagi, oglądają ludzi na dole. Zajmuję miejsce i już doskonale widzę Jacka Maca i kobietę.

Stąd, z góry, wygląda na wysportowaną. Jest nieduża i dobrze zbudowana. Mimo że kończy się październik, nadal ma brązowy odcień skóry, pozostałość po letniej opaleniznie. Dziękuję Bogu za starożytną sztukę czytania z rysów twarzy i jarzeniówki na sali, mogę się jej dobrze przyjrzeć. Jest zdecydowanie atrakcyjna. Głęboko osadzone brązowe oczy (skryta natura, świetnie) błyskają w sposób świadczący o poczuciu humoru i inteligencji. Ma pociągłą, owalną twarz i dużą głowę (co oznacza, że nie zależy jej na pieniądzu). Jej krótkie blond włosy są obcięte na pazia, z pazurkami. (Wygląda na czterdziestkę, ale może to skutek nadmiernego opalania się). Jest schludnie ubrana; nawet wyprasowała obcisłe, spłowiałe dzinsy. Postawiła kołnierz jasnoróżowej bluzki, mankiety też odstają. Trzy górne guziki rozpięła, odsłaniając piegowatą klatkę piersiową i jędrny, niewielki biust. (Szybko odpinam drugi guzik swojej dzinsowej koszuli i siadam wyprostowana).

Kobieta coś mówi; mój mąż odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem. Ona przyciska do piersi używane książki (dobrze, spytam o nią Ivę Lou) i rozgląda się wokół, demonstrując Jackowi swoje wdzięki. Nie jest trochę za stara na zgrywanie kokietki? Nieważne, mojemu mężowi niesłychanie to odpowiada! Kobieta się kołysze, opiera ciężar ciała raz na jednej, raz na drugiej nodze. Głównie to ona mówi (no jasne, nie wyszłam za gadułę). Nagle wyciąga szyję i szepcze coś do ucha mojego męża. Widząc jej usta blisko jego małżowiny, czuję bolesny ucisk w żołądku. Kusi mnie, żeby przeskoczyć przez barierkę, uczepić się jednego z prześcieradłowych duchów, wylądować na podłodze i wywalić babę jak kręgiel. Ale przecież jestem jego żoną, najchętniej więc trzasnęłabym jego, a nią zajęła się później. Nic jednak nie robię. Siedzę całkiem nieruchomo.

Dlaczego on wciąż z nią rozmawia? Co takiego w niej widzi? Chyba wiem. Kobieta śmieje się po raz ostatni i klepie go po krzyżu. (O wiele za nisko, jakby się kto pytał, w końcu jest żonaty). Odwraca się i odchodzi. Mój mąż nie spuszcza z niej oka. Ona balansuje na piętach i palcach, żeby roz-

kołysać biodra. Jack Mac patrzy jak zahipnotyzowany. Robi mi się niedobrze. Nagle, jakby sumienie ugryzło go w zadek za to, że się na nią gapił, Jack przenosi spojrzenie na zawodników w stoisku z kaczkami.

Pożeracze prażonej kukurydzy zniknęli. Pochyłam się i opieram o fotel z przodu, zupełnie jakbym oberwała kulkę i samotnie wykrwawiała się tu na śmierć. (W świetle tego, co mówiła Iva Lou, wcale nie uważam swojego zachowania za przesadnie dramatyczne!). Nagle, jakby włączyły mu się małżeńskie radary, Jack Mac wyczuwa nad sobą moją obecność i patrzy na mnie. Uśmiecha się z zakłopotaniem. A może wcale nie z zakłopotaniem: cokolwiek by to było, nie widziałam tego uśmiechu na jego twarzy od bardzo, bardzo dawna. To taki sam uśmiech, jak w Wieczór Jabłkowego Musu, kiedy poprosił mnie o rękę. Odchylam głowę i powoli wypuszczam powietrze z płuc. (Chyba przez ten cały czas wstrzymywałam oddech!). Wielki czarny pająk kołysze się pod sufitem, jego zakrzywione nogi uwięzły w pajęczynie ze sznurów.

Wolałabym umrzeć niż zdradzić mężowi, że widziałam, jak flirtuje z Tajemniczą Blondyną, więc macham do niego ze swojego punktu obserwacyjnego i omiatam wzrokiem podłogę, jakbym kogoś szukała. Jack patrzy na mnie ze zdumieniem. Mam ochotę wstać i wrzasnąć na oczach wszystkich: „Tak! Tak! Tak! Szpieguję cię!”. Zamiast tego z uśmiechem podnoszę kciuki, wskazując dekoracje. Podchodzi do niego Speck, Jack wyciąga rękę w moim kierunku. Speck macha i postukuje w czerwony krzyż na pomarańczowej kamizelce. Biegnę na dół. Mam nadzieję, że nie chodzi o dzieci w Domu Strachów; terakota czasem bywa śliska.

- Mamy wezwanie do kotliny Wampler. Jedziemy.

- Co się stało?

- Nie bardzo wiem. Policja się ze mną skontaktowała. - Speck wręcza mi strój do pracy.

- Skarbie, zajmij się Ettą - mówię do Jacka i idę ze Speckiem. Oglądam się, gdy wychodzimy. Rany, Jack nagle wydaje mi się bardzo atrakcyjny w białej bawełnianej koszuli i sfatygowanych dżinsach. (Czy wszyscy mężczyźni nagle przystojnieją, gdy pragną ich inne kobiety?).

Speck jedzie drogą, której nigdy dotąd nie widziałam.

- Co się dzieje?

- Jedziemy na skróty przez farmę Dona Waksa, do starego domu Mullinsów.

Większość rodziny Mullinsów (niespokrewnionych z Fleetą) wyniosła się z tych okolic; część do Kingsport, inni do Ohio (nie wiem, jaki przemysł kwitnie w Ohio, ale wielu mieszkańców naszego miasteczka pojechało na północ). Została tylko matka rodu, Naomi, nadal mieszka w Wampler. Uwielbiam tę kotlinę: wcina się w górę w najwyższym punkcie klifu, jest stąd wspaniały widok na East Stone Gap i mleczarnie po tej stronie Powell Valley. Speck gna po grzbiecie góry, a ja zastanawiam się, czy to poważna sprawa - Naomi musi mieć pod dziewięćdziesiątkę. Nadal każdego pierwszego dnia

miesiąca przyjeżdża do miasta z towarem; wciąż ma kruczoczarne włosy i żadnych zmarszczek na twarzy - pewnie dzięki krwi Indian Cherokee.

- Nic się nie stało Naomi?

- Nie znam szczegółów, Ave, więc mnie nie pytaj. Chłopak Fraleyów z sąsiedztwa akurat wynosił drzewo z jej stodoły, coś zobaczył i do nas zadzwonił.

- Jasne, złośniku.

Speck się uśmiecha, nie odrywając wzroku od drogi. Jest jak dawniej, Speck narzeka, ja się z nim drażnię. Kiedy dojeżdżamy do domku Mullinsów (który niedawno rozbudowano i obito aluminiowym sidingiem), zatrzymuje nas krzepki Tozz Ball, zastępca komendanta posterunku w Big Stone Gap. Każe nam zaparkować na polanie obok sąsiadów Naomi, wyłączyć silnik i dalej iść piechotą. Pokonujemy krótką ścieżkę, która prowadzi na werandę Naomi. Widzę grupkę mężczyzn, głównie z Brygady Ratowniczej Norton, gapią się w okna z boku domku. Gdy podchodzimy, jeden z nich odwraca się do nas, gestem dając do zrozumienia, żebyśmy zachowali milczenie.

- Matko Boska. - Speck zagląda w okno. (Jest tak wysoki, że patrzy ponad głowami reszty).

- Co się dzieje?

- Nie uwierzysz. - Przepuszcza mnie. W pokoju gościnnym widzę Naomi w długiej, jasnozielonej koszuli nocnej z flaneli, stoi całkiem nieruchomo i patrzy w oczy szóstakowi. Jeleń wydaje się ze dwa razy większy od konia i chyba nie jest rozdrażniony, po prostu odwzajemnia spojrzenie starszej pani. Ta ani drgnie; przyszpila zwierzę wzrokiem.

- Czekamy już prawie pół godziny, ale ten jeleń ani mrugnie, Naomi zresztą też nie - mówi do mnie mężczyzna z paralizatorem.

- Co zamierzacie zrobić? - szepczę do niego.

- Postawiłem dychę na Naomi - odszeptuje.

- Chłopaki, lepiej bierzmy się do roboty - mamrocze Speck. Nikt jednak się nie rusza; paraliżuje nas mieszanina podziwu i strachu.

Naomi robi krok do tyłu, nie spuszczając wzroku z jelenia. Zwierzę przekrzywia łeb. My, za oknem, wstrzymujemy oddech. Naomi wyciąga palec.

- Muszę iść, Ben - mówi do jelenia. - Ty też wracaj, skąd przyszedłeś. No. Już. - Naomi znika w sieni, słyszymy odgłos zamykanych drzwi.

- Kto to jest Ben, do cholery? - pyta Tozz.

Nagle jeleń staje dęba. Wygląda na to, że podobnie jak Naomi wycofa się przez otwarte drzwi. Zamiast tego w panice atakuje okno wykuszowe po drugiej stronie pokoju i skacze przez nie, niszcząc ramę rogami. Wydaje z siebie głęboki skowyt, kiedy pęka szkło i rozsypuje się po drewnianej podłodze jak pokruszony lód. W kilka sekund - choć wydają się rozciągać w czasie - TOZZ prowadzi ludzi

ku wejściu, żeby sprawdzić, dokąd zmierza jelen. Wchodząc na schodki werandy, widzimy jego srebrno-brązowy zad, gdy zwierzę majestatycznie wraca do ciemnego lasu.

Speck i ja biegniemy do domu, do Naomi. Jeleń całkiem zniszczył okno. Skromne zasłony z woalu są podarte tam, gdzie zaplątały się w nie rogi zwierzęcia; na szybie jest świeża krew jelenia. Robi mi się niedobrze. Speck otwiera przede mną drzwi sypialni.

- Naomi, skarbie, nic ci nie jest? - pytam.

Siedzi na brzegu łóżka, spokojna, z dłońmi grzecznie złożonymi na kolanach.

- Naomi?

- Sprawdź, czy oddycha - warczy do mnie Speck.

- Co się stało?

- Och, Ava Marie - wzdycha Naomi. Jej blada skóra ma różowawy odcień, czoło jest delikatnie zroszone potem (bez wątpienia od długiego stania). Długie włosy, zwykle ściągnięte w koczek, opadają jej na ramiona. Sypialnia jest mała, łóżko nakryte czerwono-białą kołdrą we wzór zwany irlandzkim łańcuchem, obok nocny stolik i lampka. W tym otoczeniu Naomi wygląda jak laleczka. - Przyszedł do mnie. Śniłam o tym, a on to zrobił.

- Kto?

- Ben.

- Ben?

- Mój mąż. Przecież wiesz.

- Naomi, zawsze nazywaliśmy twojego męża Mułem. Mułem Mullinsem.

- Miał na imię Ben.

- Nie wiedziałam.

- Benjamin Ezra Mullins. Tak się nazywał. Jakiś czas temu śniło mi się, że jest jeleniem, ja łanią, i rozmawiamy ze sobą jak ludzie. - Każę Naomi trzykrotnie zakasłać, kiedy słucham jej serca. - Czułam niepokój, dużo myślałam. Modliłam się, żebym mogła z nim porozmawiać oko w oko, bo czułam jego obecność. Postanowiłam sprzedać farmę, ale nie chciałam sama zdecydować, więc pomodliłam się do Jezusa, a potem, rzecz jasna, do mojego Bena.

- Jak ten jelen, to znaczy Ben, wszedł do domu?

- Po prostu wszedł. Zostawiłam otwarte drzwi, żeby się wywietrzyło.

- Skąd wiesz, że to on?

- Oczywiście. - Naomi uśmiecha się do mnie.

- I co ci powiedział?

- Żebym tu została.

- No cóż, skoro mu na tym zależy, nie wiem, po co rozwalił to okno.

- Nigdy go nie lubił - chichocze Naomi. - Mówił, że mamy dość światła dzięki oknom od frontu. Ale ja się uparłam, postanowiłam zawiesić tu piękne zasłony, jak w filmach. Zawsze chciałam mieć wielkie okna, przez które wpada wiatr, a zasłony wydymają się jak balowe sukienki.

- Skarbie, chyba nic ci nie jest. Serce bije jak zawsze, ciśnienie jest w normie...

- Nie bałam się tego starego jelenia.

- Wiem. Ale podniecenie mogło ci zaszkodzić.

- O, nic mi nie jest - mówi Naomi i wstaje.

Speck pozbił szkło, dwaj mężczyźni przymocowują tekturę na miejscu szyby.

- Zaparzę kawy, chłopaki. Są chętni? - proponuje Naomi. Mężczyźni chrząkają z aprobatą. Speck zostawia swój numer staruszce.

- To ty do mnie zadzwoń, młody byczku, jeśli będziesz miał interes.

- Jasne.

Jazda przez wąskie drogi East Stone Gap przebiega w ciemności, palą się tylko nasze długie światła i, co jakiś czas, lampy z dyni na werandach mijanych domów. Gdy gnamy tak przez noc, mam poczucie, że czas stanął w miejscu. Jestem gdzieś w przeszłości, młodsza, w tej samej pomarańczowej kamizelce, i siedzę obok Specka w wozie, który zawsze pachnie tytoniem i miętową gumą do żucia.

- Ave?

- Tak, Speck?

- To było niezłe.

- Dla wszystkich oprócz jelenia.

- No tak. - Uśmiecha się.

- Mistyczne przeżycie.

- Nie zaczynaj znowu, Ave.

- Speck, to była wizyta z zaświatów.

- To była wizyta z lasu. Jeleń zobaczył światło w otwartych drzwiach i nieproszony wszedł do domu Naomi. I tyle.

- Nieprawda. Naomi uważa, że odwiedził ją mąż z tamtego świata.

- Przestań, ciarki mnie przechodzą.

- Myślałam, że jesteś wierzący.

- Jestem. Wierzę w to, co mówi Biblia i co ma jakiś sens. Ludzie nie wracają jako zwierzęta. To bzdura.

- Chciałabym wiedzieć, dokąd idziemy po śmierci.

- A co by ci to dało?

- Nie wiem. Może żyłabym inaczej. Pewnie nie bałabym się tak bardzo, że stracę bliskich.

Przeraża mnie, że mogłabym już więcej nie zobaczyć mamy ani syna.

- Jak też bym chciał zobaczyć znowu mamę. I tatę. Gdybym ich jeszcze spotkał, zadałbym im mnóstwo pytań. Różne rzeczy leżą mi na sercu.

- Na przykład?

- Na przykład dlaczego oboje umarli, nie porozmawiawszy ze mną. Oboje. Mama odeszła we śnie, a tata w szpitalu. Nigdy się z nimi nie pożegnałem. Chciałbym to zrobić.

- Ja żałuję, że nie skłoniłam mamy do wyjazdu do Włoch. Nigdy nic wróciła do ojczyzny. To mnie martwi.

- Znałem twoją mamę. Nie mogłabyś jej zmusić do niczego, czego nie chciała zrobić. Odsuść sobie.

- Chyba masz rację.

Kiedy Speck wjeżdża na drogę do kotliny, przez chwilę żałuję, że już po wezwaniu. Chciałabym jeszcze pogadać o kilku sprawach.

- Dziękuję, Ave. Dobrze się spisałaś.

- Nie podlizuj się, Speck. To do ciebie nie pasuje.

Speck się uśmiecha. Biorę sprzęt i wchodzę do starego domu z kamienia.

Etta poszła już spać. Stojąc u podnóża schodów, widzę blask jej nocnej lampki. Kładę sprzęt na ławie i idę do sypialni. Jack, podparty na łokciu, czyta.

- Co u Naomi?

- Skąd wiesz, gdzie byliśmy?

- Mówili o tym na zabawie. Facet z brygady Norton zadzwonił i wszystko opowiedział.

- To było coś.

- Nie wątpię. - Jack wraca do lektury. Widząc go leżącego wygodnie w naszym łóżku, czuję, że nic nas nie rozdzieli. Chcę opowiedzieć mu o śnie Naomi. Ciekawe, czy wierzy w takie rzeczy. Nie rozmawialiśmy o tym, więc nie wiem.

- Czy śni ci się czasem Joe? - pytam.

Jack odkłada gazetę i patrzy na mnie zdumiony, że wspomniałam o synku.

- Nie - odpowiada cicho. - A może tak, tylko tego nie pamiętam. Nigdy o nim nie rozmawiamy; tak jest łatwiej.

Odwracam się, żeby wziąć kąpiel przed snem.

- Dlaczego pytasz?

- Zastanawiam się, gdzie jest.

- W niebie.

- Jezu, Jack.

- Nie wierzysz?

- Tak mówię Etcie, mam nadzieję, że to prawda.

- Myślałem, że wierzysz.

- Bo wierzę. Tylko nie wiem, w co - mówię. Jack dziwnie na mnie patrzy. - Co?

- Ave, czasem... Nie wiem. Czasem tego nie rozumiem. - Wzrusza ramionami i znowu czyta.

- Skarbie?

- Co? - Zerka znad gazety.

- Czasem mnie nie rozumiesz.

Idę do łazienki i długo myję zęby. Jack staje w drzwiach.

- Wszystko w porządku?

„Nie - chcę odpowiedzieć. - Boję się. Kim była ta kobieta na balu? Znudziłam ci się?". Zamiast tego jednak patrzę na męża i mówię:

- Jak najbardziej.

Kupuje to i wraca do łóżka. Jestem pewna, że właśnie stąd się biorą nasze kłopoty.

TLR

Rozdział trzeci

Po raz pierwszy w życiu Jack MacChesney jest swoim własnym szefem.

Firma Budowlana MR. J rozpoczęła działalność 20 listopada. MR. J to skrót od Mousey, Rick i Jack. Bardzo sprytnie. Rick urządził małe biuro w komisie. Morgan Legg, właściciel, chętnie udostępnił pomieszczenie, bo w zeszłym roku Rick był jego najlepszym sprzedawcą. Chyba nigdy mój mąż nie czuł się równie szczęśliwy. Do tego nieźle wystartowali: stanęli do przetargu na renowację sali parafialnej w kościele metodystów i zwyciężyli. Jack świetnie się bawi przy projektowaniu. Jeszcze nie ma z tego żadnych pieniędzy, ale to bez znaczenia - uśmiech mojego męża to wystarczająca zapłata. Dzięki nowej pracy Jack ma teraz więcej czasu dla Etty. Gdy był górnikiem, wychodził przed świtem i często bardzo późno wracał. Teraz sam kontroluje czas pracy, częściej się widują. Mam wrażenie, że nasze kłopoty częściowo zniknęły. Nadchodzące święta zapowiadają się wyjątkowo uroczyście.

Znowu pracuję na cały etat, sprawia mi to przyjemność. Jack początkowo był niezadowolony, ale tak bardzo popierałam pomysł założenia firmy, że odsunął od siebie wszystkie obawy związane z moją pracą.

Wielkie otwarcie bufetu zaplanowano na pierwszego grudnia. (Otto i Worley niemal zamieszkali w aptece, starając się zdążyć na czas). Przez cały miesiąc mamy specjalne oferty i dostawy (może zdołamy się pozbyć częściowo zużytego kremu Estée Lauder który podkrada Fleeta). Pearl przejrzała mnóstwo podań o pracę, szukając dwóch kelnerek i kucharki. Postanowiła zatrudnić Tayloe Lassiter jako kierowniczkę sali. Tayloe mimo dwójki dzieci (w zeszłym roku do Misty dołączył małeńki Travis) wciąż jest ślicznotką i przyciąga męskie spojrzenia. Sara Dunleavy, nauczycielka z liceum, która zastąpiła Theodore'a, gdy wyjechał na Uniwersytet Tennessee, prowadzi Teatr pod Chmurką i wzięła Tayloe pod swoje skrzydła. Udziela jej lekcji aktorstwa, wszyscy w mieście twierdzą, że Tayloe z amatorki stała się na wpół profesjonalną aktorką. Sara zachęca ją również do pozowania. Co pewien czas widzimy Tayloe w „Kingsport Times” na masce nowej ciężarówki albo w reklamie sprzętu AGD. Pearl wchodzi z dużym kartonowym pudłem.

- Fleeta, przyszła lameta.

Fleeta bierze od niej pudło i je otwiera. Pearl wchodzi za ladę.

- Chciałabym, żebyś ze mną poszła do Lewisa Eisenberga.

- Teraz?

- Tak, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Co się stało?

- Nic. Po prostu potrzebuję twojej pomocy w pewnej sprawie.

- Dobrze. - Łapię płaszcz i wychodzę za Pearl.

Lew Eisenberg już nie jest najlepszym miejscowym adwokatem w sporach z kompaniami węglowymi, teraz reprezentuje mieszkańców we wszystkich sprawach, od testamentów po rozwody. Wciąż ma mnóstwo roboty, bo świetnie sobie radzi. Obecnie jest niemal szczęśliwy - jego żona Inez odzyskała wystrzałowe ciało. Została kapitanem Strażników Wagi, bo w ciągu siedmiu lat zrzuciła dwadzieścia sześć kilo. Już od dawna Lew nie wspomina o powrocie na Long Island.

Lew całkowicie osiwiął; poza tym nie sposób się domyślić, że dobiega sześćdziesiątki.

- Cześć, dziewczyny - mówi zza biurka. - Ave, w zeszłym tygodniu twój mąż postanowił założyć z kumplami firmę. Co ty na to?

- Skoro nie potrafisz zatrzymać kompanii węglowej Westmoreland w mieście, my weźmiemy sprawy w swoje ręce - odpowiadam.

- Mamy mnóstwo pracy w aptece. - Pearl przerywa te pogaduszki.

- Dobrze, przejdźmy do rzeczy. To proste. Ave Maria, Pearl chce, żebyś została jej współniczką.

- Wspólniczką? Dlaczego? - Patrzę na Pearl. Ona zerka na Lewisa, potem na mnie.

- Bo potrzebuję współniczki. Interes tak się rozwija, że nie zdołam doglądać wszystkiego sama.

- Nie mogę.

- Na pewno możesz.

- Nie. Mam zbyt wiele na głowie. - Przecież nie powiem Pearl i Lewisowi, że po raz pierwszy od trzech lat czuję, iż mój dom powraca do normalności, że lukę spowodowaną śmiercią Joego powoli wypełnia czas, rutyna i zmiany. Jak mogliby to zrozumieć?

- Zamierzam zatrudnić pomoc dla ciebie - kusi Pearl.

- Nie, przykro mi, Pearl. Nie.

- Ale przecież tego potrzebujesz! - wybucha. Nie jest tajemnicą, że po zamknięciu kopalni wszystkie górnicze rodziny ledwie wiążą koniec z końcem.

- Dobrze sobie radzimy.

- Powiedzmy, że to prawda, ale mimo to ja naprawdę potrzebuję pomocy. Chcę rozszerzyć działalność, ale nie kosztem reprezentacyjnego sklepu. Potrzebuję kierowniczkę, kto będzie lepszy od ciebie?

Sklep reprezentacyjny? Apteka Mulligana na Little Main Street sklepem reprezentacyjnym? O czym ona mówi?

- Chcesz rozszerzyć działalność?

- Zamierzam otworzyć aptekę w Norton. Szukam lokalu.

- Mówisz poważnie?

Lew wyciąga teczkę i pokazuje mi zdjęcie budynku agencji ubezpieczeniowej, którą zamknięto kilka lat temu, w centrum Norton.

- Rozmawiamy z agentem nieruchomości - mówi mi.

- Myślę, że moja koncepcja apteki i drogerii w jednym wszędzie wypali. Poza tym w Norton potrzebna jest apteka. Nie mają ani jednej, chociaż są tam aż dwa szpitale.

- Pearl ma rację. Powinnaś to przemyśleć - mówi Lew, rzucając mi spojrzenie znad okularów.

Wiem, że powinnam. Odpadłyby nocne lęki o rachunki, naukę i emeryturę. Poza tym w grę wchodzi zwykły egoizm. Tęskniłam za swoją apteką. Uwielbiałam podejmowane z dnia na dzień decyzje, uwielbiałam czymś zarządzać. To dawało mi poczucie spełnienia, którego nie czerpię ani z pracy na pół etatu, ani ze skrobania patelni w domu. Owszem, nadal będę to robić, ale także coś poza tym.

- Ave, proszę, zgódź się. Nic bym nie miała, byłabym nikim, gdybyś nie pomogła mamie i mnie. To nas całkiem odmieniło. Jestem ci coś winna. - Pearl na chwilę odwraca wzrok, znajoma zmarszczka między jej brwiami się pogłębia. - A nie lubię mieć długów wobec ludzi. Pozwól przynajmniej, bym go częściowo spłaciła, dzieląc się sukcesem apteki.

- Powstanie sieć - wtrąca Lew.

- Pokaż, co tam masz.

Lew podaje mi dokumenty; Pearl wydaje z siebie okrzyk radości i klaszcze w dłonie. To prosty plan. W sklepie reprezentacyjnym będę dostawała pensję kierowniczkę, farmaceutki i pięćdziesiąt procent zysków; druga część trafi do Pearl. Podpisując umowę, myślę o przyszłości swojej córki. Potrzebne jej zabezpieczenie. Mój mąż nigdy nie opuści kotliny Cracker's Neck, a teraz, kiedy znalazł pracę, która sprawia mu przyjemność, muszę dołożyć do puli, ile się da.

W drodze powrotnej Pearl trajkuje o swoim biznesplanie, ja zaś myślę o rodzinie. To nam pomoże. Zmęczyło mnie zamartwianie się o wszystko, może wreszcie z tym skończę. Od śmierci Joego przy każdej radosnej okazji przez chwilę się cieszę, a potem przypominam sobie syna i czuję ukłucie bólu. Co to wszystko warte, skoro mój mały nie dzieli z nami radości? Teraz, gdy już zepsułam sobie nastrój, popadam w jeszcze głębszą rozpacz. Mam dziwne wrażenie, że poniosłam klęskę: znowu wiąże się z pracą, której wcale dla siebie nie wybrałam. Oddając aptekę Pearl, sądziłam, że uwolnię się od wszystkiego. Wiedziałam, jaką władzę ma nad człowiekiem poczucie winy, to właśnie ono nadało kształt mojemu życiu. Tak bardzo pragnęłam samodzielnie wybrać i na nowo się wymyślić! Stworzyłam plan. Zamierzałam wyjechać z Big Stone Gap i odnaleźć swoje miejsce w świecie, poszukać szczęścia, stać się panią swego przeznaczenia, wieść życie pełne przygód, nim będzie za późno. Zamiast wyjechać, zakochałam się i zostałam w miasteczku. Wysłałam za Jacka Maca, wierząc, że klatka, w której utkwiałam, to moje własne dzieło. Dlaczego znowu czuję się uwięziona, skoro powinnam czuć ulgę? Pod apteką stoi furgonetka Jacka.

- Mam nadzieję, że z Ettą wszystko w porządku - mówię do Pearl.

Jack, Rick i Mousey pracują wraz z Ottonem przy bufecie. Etta ma na sobie fartuch Fleety i maluje jeden z drewnianych paneli na dole lady.

- Ejże, co się dzieje? - pytam mężczyzn, którzy podnoszą wzrok, ale nie przerywają pracy.

- Martwiliśmy się, że nie zdążymy. Zadzwoiłem do starego Jacka i powiedziałem mu o problemach, więc przyjechali - wyjaśnia Otto.

- Maluję, mam! - mówi z dumą Etta.

- Widzę - odpowiadam córce, która niestarannie rozsmarowuje farbę po drewnie.

- Niech się panna Ave nie przejmuj. To tylko farba podkładowa - szepcze pod nosem Otto.

- Postaraj się nie pobrudzić fartucha Fleety.

- Może go sobie smarować, mam to gdzieś - mówi Fleeta, ustawiając na półce pudło z lampkami choinkowymi.

Patrzę na swojego męża. Stoi na drabinie, próbując ułożyć kafelki na suficie. Zastanawiam się nad tym, co opowiadałam Pearl o samotności w tym mieście. Nagle chwila obecna znika - jestem tą samą kobietą, którą byłam dziesięć lat temu, gdy praca w aptece stanowiła całe moje życie. Mój mąż balansuje na drabinie. Nie sądzę, by jakiś mężczyzna mógł się lepiej prezentować w starych ogrodniczkach i bandanie. Tak bardzo się różnimy; on ma zdolności manualne, a ostatnią książkę, *Moby Dicka*, przeczytał w jedenastej klasie. Ja nie potrafię wbić gwoźdźcia i każdej soboty wypatruję bibliobusu. Pewnie pociąga mnie to, czego nie mam, ale jestem ciekawa, co takiego on widzi we mnie. Dostrzegł, że na niego zerkam, i uśmiecha się do mnie.

- Na co patrzysz?

- Na ciebie - odpowiadam.

- Jack, telefon.

Mój mąż i ja spoglądamy na siebie tak, jak nie spoglądaliśmy już od dłuższego czasu. Oby ta chwila trwała wiecznie.

- Ona mówi, że to pilne - niecierpliwi się Fleeta.

- Jaka ona? - pytam takim tonem, że zwracają się ku mnie wszyscy mężczyźni w pokoju.

- Karen. Karen jakaś tam - warczy Fleeta.

- Już idę. - Jack schodzi z drabiny. Mijając mnie, dotyka mojego ramienia; to zapewne ma mi dodać otuchy. Wbijam wzrok w Ricka, który trochę zbyt uważnie wpatruje się w krawędź lady.

- Kto to jest Karen? - pytam. Nie patrząc na mnie, wzrusza ramionami.

- Kierowniczka tartaku w Coeburn - wyjaśnia Mousey. - Stamtąd bierzemy tarcicę.

Cieszę się, że zapytałam.

- Witam! - wykrzykuje Iva Lou przed apteką.

- Tu jesteśmy! - wrzeszczę.

- Coś podobnego. Będzie bufet. - Iva Lou lustruje pomieszczenie. - Teraz trzeba nam tylko Lany Turner za ladą i interes będzie się kręcił.

- Kim jest Lana Turner? - pyta Etta.

- Była potniczką w filmach mojego dzieciństwa - mówi jej Otto.

- Pątniczką?
- Potniczką, strasznie się przez nią pocilem. - Śmieje się.
- Pan Honeycutt czasem puszcza jej filmy. Jeszcze na żaden cię nie zabrałam - mówię córce.
- Mam bilety do teatru w Abingdon na jutrzejszy poranek.
- Co wystawiają?
- *Skrzypka na dachu*. Pamiętasz tę dziewczynę Womacków, która była dublerką do roli June w teatrze? Gra jedną z sióstr. Zebrałam grupkę. Dasz mi Ette?
- Chcę jechać na przedstawienie! - krzyczy Etta. Odkłada pędzel i odgarnia grzywkę z oczu.
- Dobrze, skarbie.
- Zostanę na cały weekend bez swoich kobiet - słyszę za sobą głos Jacka Maca.
- Naprawdę? Wyrzucasz mnie? - drażnię się z nim.
- Poniekąd. - Jack całuje mnie w czoło i wyciąga z kieszeni bilet. Napisano na nim pomarańczowymi literami UNIWERSYTET TENNESSEE KONTRA ALABAMA.
- Co to takiego?
- Jedziesz do Knoxville na spotkanie z Theodore'em.
- Żartujesz. - Cudownie! Jestem całkowicie zaskoczona i nieco zbita z tropu, ale cieszy mnie perspektywa weekendu bez obowiązków, powinności i zmartwień. Mam najtroskliwszego męża na świecie.
- Idź do domu się pakować. Twój autobus odjeżdża za godzinę.
- Etta, dasz sobie radę?
- Mamo! Jedź. - Przewraca oczami.
- No dobrze. Świetnie. No to w drogę. - Całuję Ette, a potem męża.
- Pojadę za tobą do domu, a potem zawiozę cię do miasta - mówi Iva Lou, gdy zmierzam do drzwi.

W domu pakuję ubrania do marynarskiego worka, karmię kota i podkręcam kaloryfer, żeby było ciepło, kiedy wrócą Jack i Etta.

- Wyjazd dobrze ci zrobi - mówi Iva Lou, gdy zjeżdżamy z góry do Gap.
- Myślisz?
- Skarbie, jesteś przemęczona do cna. Wszyscy to widzimy.
- Nic mi nie jest.
- Ci, którzy cię znają, sądzą inaczej.

Przez chwilę podróżujemy w milczeniu. Staram się zapomnieć, że ludzie omawiają moje samopoczucie za moimi plecami.

- Już od jakiegoś czasu chcę cię o coś zapytać.
- Strzelaj.

- Pamiętasz blondynkę, która kupowała książki na balu Halloween? Taką małą? - Miałam użyć słowa „filigranową”, ale jest zbyt ładne.

- Tyle tam było osób.

- Taką opaloną.

- Skarbie, nie pamiętam. - Iva Lou patrzy na mnie. - Czemu pytasz?

- Bo nigdy wcześniej jej nie widziałam. Myślałam, że ty ją znasz.

- Nie. Spytam Jamesa, może to jego znajoma.

- Nie, nie trzeba. To nic ważnego.

- Na pewno? James jest największym tutejszym plotkarzem. Rozpowiedział po całym powiecie więcej historii, niż jest kilometrów na liczniku bibliobusu.

- Nie. Wszystko w porządku.

Zawsze lubiłam jazdę autobusem. Kiedy się dorasta w małym miasteczku, taka podróż to przepustka do wielkiego świata. Jeździłam autobusem do Waszyngtonu, Cincinnati, Nashville, Memphis i Charlottesville. W zeszłym roku zabrałam Ettę i jej dwie przyjaciółki do Knoxville na rewię na lodzie. Theodore oprowadził nas po mieście, nawet pozwolił dziewczynkom pobiegać po boisku na stadionie uniwersytetu. Jack został w domu (za żadne pieniądze nie poszedłby na rewię - to jedna z tych rzeczy, których dowiadujesz się dopiero po ślubie). Ja uwielbiam rewię: chłód na stadionie, tłum, zapach karmelowej prażonej kukurydzy, jasnoniebieskie lodowisko, krzyżujące się snopy światła z czerwonych i pomarańczowych reflektorów, i oczywiście gwiazdy, czyli łyżwiarki, smukłe i pełne wdzięku, w migotliwych spódniczkach z tiulu, jeżdżące po tafli.

Dzisiejszego wieczoru autobus jest niemal pusty. Siedzę za kierowcą (moje ulubione miejsce), opierając nogi na aluminiowej barierze oddzielającej go od pasażerów. Gdy mkniemy w ciemności, miękkie światła odległych farm wtapiają się w mrok, co daje hipnotyczny, usypiający efekt. Jestem wyczerpana, biorę więc swój worek i kładę na siedzeniu obok. Kiedy się moszczę, nagła myśl sprawia, że siadam wyprostowana jak struna. Dlaczego Jack tak pospiesznie pozbył się mnie z miasta? Czy ma randkę z tajemniczą blondyną? Kierowca chyba słyszy, jak się wiercę, bo spogląda na mnie w lusterku wstecznym. Przestań, mówię do siebie. Wszystko wymyśliłaś. Kładę głowę na worku. Jeśli zasnę, szybciej będę w Knoxville.

- Ej, śpiochu, pobudka. - Słyszę znajomy głos.

- Theodore! - Siadam, wypoczęta po drzemce. - Boże, świetnie wyglądasz.

To prawda. Schudł, widzę zarys mięśni pod jego podkoszulkiem.

- Co ci się stało w ramiona?

- Praca na uniwersytecie to również darmowa siłownia i trenerzy.

- Załatw mi tu jakąś fuchę. Natychmiast.

Theodore bierze moją torbę, a kiedy opuszczamy terminal, opowiadam mu o wszystkim. Przed skrzyżowaniem pokazuję mu zdjęcie nowej szkoły Etty.

- Głodna? - pyta, ładując torbę do bagażnika.

- Umieram z głodu.

Wchodzimy do czynnej przez całą dobę smażalni naleśników i siadamy w boksie, jak za dawnych dobrych czasów. Kiedy Theodore mieszkał w Big Stone Gap, jechaliśmy po meczu do Kingsport i u Shoneya obgadywaliśmy występy w przerwie i wszystko, co się dzieje w naszym życiu. Jakie to było proste! Jakie wspaniałe.

W jasnym, ciepłym świetle patrzę na Theodore'a. Dużo rozmawiamy przez telefon, ale nie widziałam go od wielu miesięcy. Nadal wygląda jak namiętny pirat-poeta, który przed wielu laty przybył do Big Stone Gap ze Scranton w Pensylwanii. Już nie ma w nim nic chłopięcego, stał się prawdziwym mężczyzną, jego mocna szczeka jest bardziej wyrazista, charakter i doświadczenie przydały szlachetności jego rysom. Rude włosy nadal są gęste, choć nieco posiwiał na skroniach; w kącikach niebieskich oczu pojawiło się parę zmarszczek; w sumie ma gładką i młodą twarz. Wygląda jak człowiek, który kocha życie, i to mnie naprawdę cieszy.

- Opowiadaj wszystko - mówi.

- Opowiedziałam ci wszystko - odpowiadam ze śmiechem. - Etta świetnie się miewa. Jack założył nową firmę.

- Wszystko o sobie.

Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że nigdy nie słyszałam nic równie dziwnego. Nie potrafię oddzielić siebie od obowiązków, które wypełniam. Myślę o tym, co trzeba zrobić, wywiązuję się ze swoich zadań, istnieję dla rodziny. Kiedy Theodore pyta tylko o mnie, uświadamiam sobie, że nie mam nic do powiedzenia.

- No już. Mów - rozkazuje Theodore, otwierając maleńki plastikowy pojemnik z mlekiem i śmietanką i wlewając płyn do kawy.

- Pearl poprosiła, żebym została jej współpracowniczką w aptece. Otwiera nowy sklep w Norton. Nie chciałam się zgodzić.

- Dlaczego?

- Apteka należy do niej. - Wzruszam ramionami.

- To miło ze strony Pearl. Podarowałaś jej przyszłość, oddając sklep. Niech teraz ona ci pomoże. Wejdiesz w to?

- Tak. Dziś podpisałam dokumenty. Będę kierowniczką i dostanę połowę zysków.

- Co na to Jack?

- Jeszcze nie wie.

- Hm - mówi Theodore od niechcienia.

- To się stało dzisiaj. Nie miałam okazji z nim porozmawiać. - O rany, to brzmi jak kiepska wymówka - pewnie dlatego, że to jest kiepska wymówka. Ciągłe coś duszę w sobie i w zasadzie nie wiadomo po co!

Chcę opowiedzieć o wszystkim Theodore'owi. Chcę mu powiedzieć, że kiedy zamknięto kopalnię, bałam się, czy Jack znajdzie nową pracę; jak mnie wyśmiał, kiedy zaproponowałam mu studia inżynierskie; jak patrzył na kobietę na balu. I jak się boję, każdego dnia, że go stracę. Czy zdołam to wytłumaczyć Theodore'owi? Kilka miesięcy po śmierci Joego odwiedził mnie ojciec Rausch. Powiedział mi, że większość małżeństw rozpada się po śmierci dziecka. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że tracę syna, a potem jeszcze męża. Co by to dało? Etta nas potrzebowała. Wciąż martwię się o nią i o to, jak wpłynęła na nią utrata Joego. Chcę to opowiedzieć Theodore'owi, ale nie mogę. Musi być dobrze. Musi, no bo niby po co pracowałam tak długo i tak ciężko? Poza tym, czyż nie takie jest życie? Czy nie jest ciężkie? Czy romantyczna miłość nie przychodzi i odchodzi? Czy dzieci nie są ważniejsze od wszystkiego? Czy nie wszyscy mężowie przestają zachwycać się urodą żon? Czy zamiast dostrzegać tylko powierzchowność, nie uczą się zagłębiać wprost do naszych umysłów, gdzie gromadzimy fakty i plany? Czy nie wszystkie małżeństwa popadają w rutynę? Czy sprzeczki nie są codziennością? Albo milczenie? Dziwaczne, niedokończone kłótnie? Seks na werandzie? Kwaśne mleko i przypalone tosty? Brudna bielizna? Czy nie wszyscy martwią się o pieniądze?

- Co się z tobą dzieje? Twoja twarz wygląda jak dzieło Picassa, na litość boską.

To nie deformacje mnie przerażają.

- Wyglądam staro? - pytam go. Theodore wybucha śmiechem.

- No, mów!

- Nie.

- Dziękuję.

- Dlaczego mnie o to pytasz?

- Bo mieszkam w Big Stone Gap, gdzie ludzie widują mnie codziennie od czterdziestu paru lat i nie zwracają na mnie uwagi.

- A twój mąż?

Nie odpowiadam. Zamiast tego wybucham płaczem.

- Jezu, co się stało? - mówi Theodore, wyszarpując serwetki z serwetnika na stole i popycha je ku mnie.

- Boję się.

- Czego?

- Że to już koniec.

- Koniec czego?

- Wszystkiego.

- O czym ty mówisz? Jesteś chora?

- Nie, nic mi nie jest.

- No to o jaki koniec chodzi? Twojego małżeństwa?

- Tak.

- Co się dzieje?

- Jack ogląda się za innymi kobietami.

- No i?

- Za opalonymi nieznajomymi.

- Opalenizna w listopadzie? - Theodore z trudem tłumi śmiech.

- Wiem. Niedobrze mi się robi. - Na dźwięk słowa „niedobrze”, płaczę jeszcze rozpaczliwiej.

- Kto to taki?

- Nie wiem, jak ona się nazywa. Nosi obcisłe spodnie.

- Nie wiesz, jak się nazywa, ale przyglądałaś się jej tyłkowi?

- Nic nie mogłam na to poradzić. Musiałam na nich patrzeć. Nie widzieli mnie. Przecież ich nie nękałam ani nic. Po prostu patrzyłam, jak się do siebie wdzięczą.

- Twój mąż szaleje za tobą. Musiałby upaść na głowę, żeby myśleć o innych.

- Mówisz tak, bo jej nie widziałeś. Uwodziła go! Klepała po plecach, nisko. To kocica. No wiesz, jedna z tych, które polują tylko na żonaty. Robią to dla sportu. Lubią sprawiać ból ludziom takim jak ja. Wygląda jak jedna z tych kobiet, które przez cały dzień układają sobie włosy! Popatrz tylko na mnie. Ledwie mam czas nałożyć szminkę. Zaczynam wyglądać jak Ma Kettle, na litość boską.

- Pytałaś Jacka Maca, kim ona jest?

- Boże broń.

- Dlaczego?

- Bo w każdym filmie z Bette Davis, kiedy kobieta zadaje mężczyźnie to pytanie, on zawsze odpowiada: „Przykro mi, tak, masz rację, co za intuicja, tak, kocham ją, a ciebie już nie. Więc pozwól mi odejść, przynajmniej jedno z nas będzie szczęśliwe”.

- Nie myl prawdziwego życia z kiepskim melodramatem - mówi Theodore, układając saszetki z cukrem w plastikowym pojemniku.

- Masz jakiś lepszy pomysł? - Wycieram nos.

Podchodzi kelnerka, żeby przyjąć zamówienie. Nie wydaje się przejęta moim stanem, po prostu zbiera przemoczone łzami serwetki i w drodze do kuchni wrzuca je do kosza. Pewnie mnóstwo ludzi w środku nocy staje twarzą w twarz ze swoimi demonami w smażalni naleśników.

- Jeśli twój mąż zamierza cię opuścić, to po co dzwoni do mnie, wychwala cię, opowiada, jak ciężko pracujesz, jaką jesteś wspaniałą żoną i matką i jak potrzebny ci jest wolny weekend, bo nie wie, jak ci dziękować?

- Nie wiem.

- Musisz wziąć się w garść.

Zniecierpliwienie Theodore'a mnie uspokaja. Może zwariowałam.

- Wiem, że to brzmi zupełnie irracjonalnie...

- Posłuchaj mnie. Te ponure myśli i poczucie zagrożenia to tylko niewielka burzowa chmura.

Nadchodzi kryzys. Moim zdaniem nie chodzi o Jacka Maca i Ette. Chodzi o Joego.

- Daję sobie radę z Joem.

- Joego nie ma, nie możesz więc dawać sobie z nim rady. I w tym problem - mówi łagodnie Theodore.

- Nienawidzę siebie. Byłam dla niego okropną matką.

- Nieprawda!

- Wiesz, że codziennie na niego wrzeszczałam? Wieli, że go zbiłam? A przysięgałam Jackowi, że nigdy nie uderzę dziecka. Ale Joe odkręcił wodę w kranie, zostawił ją i zalał parter, i wtedy się wściekłam. Kazałam mu siedzieć na oślim krześle Etty. Śmiał się! Właściwie nigdy na nim nie siedział. Ten mebel był cały pokryty pajęczyną.

- No to go zbiłaś. I co?

- Przez cały czas go strofowałam, nic innego mnie nie obchodziło. Wciąż wysłuchiwał moich pretensji, poprawiałam go, kazałam mu siedzieć prosto i tak dalej.

- Był dzieckiem wymagającym sporej uwagi.

- Ale go nie doceniałam. Zależało mi, żeby bardziej przypominał Ette. A był inny. Był jak tornado. Nawet kiedy się rozchorował. Etta się przeziębła i przez pół zimy nie może wyzdrowieć. A tu pewnego ranka zobaczyłam na Joem siniaki i sześć dni później już nie żył. Rozumiesz? Był jak niesłychanie jaskrawy kolor, jak iskierka, która pojawia się i znika, a ja wciąż usiłowałam zmienić go w kogoś innego. Wszystko schrzaniłam, kompletnie schrzaniłam. A teraz, po tych dwóch latach, chciałabym go przeprosić. Powiedzieć mu, jak mi przykro, że nie doceniałam tego, jaki był.

Jestem zdumiona, że nie płaczę. Theodore spogląda na mnie.

- Czujesz się lepiej?

- Chyba... tak. - Kelnerka ponownie napełnia moją filiżankę kawą i przynosi trochę więcej mleka i śmietanki. - Tak, faktycznie, czuję się nieźle - mówię Theodore'owi i kelnerce, która patrzy na swoje odbicie w szybie naszego boksu.

- Nie, nieprawda. Nie byłoby cię tutaj. Nie pytałabyś, czy staro wyglądasz. Jack wiedział, że potrzebujesz poważniejszej rozmowy. Takiej, jakiej nie da się przeprowadzić przez telefon.

- Mówił ci coś? - Wyprostowuję szyję, przypominam teraz węża, który wygląda z koszyka.

- Nie. Nie mówił - odpowiada spokojnie Theodore. Jego ton sprawia, że ponownie się garbię.

- Skąd tyle wiesz o mężczyznach?

- Byłem mężczyzną przez bardzo długi czas.

- No tak. - Mieszam kawę. Nie obchodzi mnie, że to już druga i że jest środek nocy. - Powinieneś dziękować Bogu za to, że nie jesteś żonaty.

- Nie mógłbym być żonaty.

- Otóż to.

- To nie dla mnie.

- Bo jesteś na to za mądry.

- Nie. Jestem gejem.

W smaźalni robi się nagle przeraźliwie cicho. Mam wrażenie, że słyszę, jak za wahadłowymi drzwiami masa na naleśniki syczy na blasze.

- Naprawdę?

- Tak.

- Od kiedy?

- Odkąd pamiętam.

Myśli w mojej głowie biegną w tysiącu kierunkach. Pytania, pytania... Jak to? Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś? Czy w twoim życiu jest ktoś wyjątkowy? To dlatego kiedyś nie mogliśmy posunąć naszej przyjaźni nieco dalej! Nie oszalałam! Po prostu byłeś nieosiągalny!

- Nie mogłeś mi tego powiedzieć osiemnaście lat temu?

- Po co? Nie zamierzałem umawiać się z mężczyznami w Big Stone Gap.

- Niby tak.

- Poza tym mieliśmy siebie.

- Tak, to prawda. - Rany, faktycznie mieliśmy siebie. Przez tyle lat nie potrzebowałam niczego poza tym. Dlaczego moja samotna przeszłość wydaje się teraz taka idealna, taka nieskomplikowana? - Kiedy to sobie uświadomiłeś?

- Chyba czułem to od początku, ale nie od razu się do tego przyznałem. Najpierw sądziłem, że jestem odludkiem i że nigdy się z nikim nie związę, bo nie mam takiej potrzeby. Prowadzę bardzo twórcze życie. Nie byłem nieszczęśliwy. Czułem się i nadal czuję spełniony. Nie zauważyłem, żeby ludzie w parach byli zbyt szczęśliwi, doszedłem więc do wniosku, że to nie dla mnie. A kiedy cię poznałem, zaczęliśmy odczuwać wielką duchową bliskość.

- Owszem.

- Przy tobie mogłem być odludkiem. Też taka byłaś.

- Wiem. To sporo tłumaczy.

- Jasne. To był ten brakujący element, dzięki któremu wszystko zaczęło do siebie pasować.

Walczyłem, nie chciałem zostać tym, kim naprawdę jestem - a to zły pomysł.

- Czy w twoim życiu jest teraz ktoś wyjątkowy?

- Był. Biochemik, który miał grant na naszym uniwersytecie, studiował jakieś komórki, żeby wynaleźć lekarstwa na coś tam. Wspaniały człowiek, ale mieszka w Bostonie, a ja nie zamierzam się przeprowadzać, więc nic z tego nie wyszło.

- Strasznie bym chciała go poznać. - Mówię prawdę. Przez kilka minut siedzimy w milczeniu, ale w towarzystwie Theodore'a długa cisza mnie nie martwi. Tak to już z nami jest.

- Przy okazji, to nie przez ciebie stałem się gejem.

- Chętnie wzięłabym na siebie odpowiedzialność za wszystko, od kiepsko wypranego ubrania do problemów z pokojem na świecie, ale nie sądzę, żebym to ja wpłynęła na twoją orientację seksualną.

- Klepię go po dłoni.

- To dobrze.

- Dobrze, że uświadomiłeś to sobie, póki jeszcze jesteś młody.

- Tak. Zdażyłem w ostatniej chwili.

- Może właśnie tego się boję. Czuję, że moje życie jest jak lód rozgrzewany w dłoniach. Coraz go mniej, a ja wcale nie mądrzeję. Nie mam w sobie tego spokoju, o którym czytam w czasopismach. Jestem dostatecznie stara, by być mądra, a tu nic z tego. Nie chcę się starzeć. Nigdy nie byłam naprawdę młoda. Może myślałam, że miłość da mi młodość.

- Zanim zaczniemy drażnić ten temat, pozwól, że coś ci powiem - mówi Theodore. - Starzenie się jest najgorsze dla dwóch grup: kobiet i gejów. Heteroseksualni mężczyźni wciąż słyszą, że przez całe życie zachowają potencję, że będą mogli mieć dziewięćdziesiątkę na karku i spłodzić dziecko, i tak dalej. Wiem, o co ci chodzi, gdy mówisz o byciu starą i głupią. Nie jestem psychologiem, nie traktuj więc mojej opinii zbyt poważnie, ale sądzę, że dolega ci coś głębszego niż problemy w komunikacji z mężem i żałoba po synu. Chodzi o ciebie. Pewnego dnia obudziłaś się i zdałaś sobie sprawę z tego, że jesteś w połowie drogi. Jesteś w średnim wieku.

- Nieprawda! Średni wiek to pięćdziesiątka!

- A teraz kłócimy się o liczby. Ważne jest co innego: sporo za tobą. Masz wiele kilometrów na liczniku. Nie jesteś już młodą ślicznotką.

- Nigdy nie byłam młodą ślicznotką! I nie myśl, że mnie to nie wścieka!

- Przestań się ciskać i daj mi skończyć. Starzenie się to ciężka sprawa, wpędza w depresję. Ale to spotyka nas wszystkich. Popatrz na mnie. Macham hantlami, bo chcę mieć stalowe mięśnie, wierzę, że podtrzymają moją młodość jak kolumny Akropol. No cóż, tak nie będzie. Można jedynie się z tym pogodzić i dalej robić swoje.

- Jestem aż taka płytka?

- Wszyscy jesteśmy. Ty jednak masz więcej szczęścia od innych. Nie wyglądasz na czterdzieści parę lat. Może będziesz jedną z tych nieprzemijających piękności o doskonałej cerze. Będziesz nosiła

rozpinane swetry, umalujesz usta szminką i nikt się nie zorientuje, czy masz trzydziestkę, czy sześćdziesiątkę. Pasuje?

- Strasznie mi głupio. - Kołyszę nogami i garbię się jeszcze bardziej.

- To wszystko przez próżność.

- Jestem próżna, prawda?

- I na dodatek jesteś trochę paranoiczką. Przez trzy i pół godziny jechałaś autobusem, żeby mi powiedzieć, że twój mąż nie ma romansu. Popatrz na siebie. Pozwalasz, żeby obca kobieta w obcisłych dżinsach rozwalala ci całe życie. Zasłużyłaś na wspaniałe małżeństwo, bo ty i Jack przeszliście przez piekło i to was nie zabiło. Poza tym macie córkę. Wciąż jesteście rodziną, choć Joe odszedł. I kochacie się nawzajem! Przestań. Pomyśl. Co ty wyprawiasz? Kobieta bez imienia odebrała ci wiarę w siebie i z nią uciekła. Jak mogłaś do tego dopuścić?

Pokój gościnny Theodore'a jest skromny i wygodny. Stoi w nim stare brązowe łóżko z baldachimem, toaletka do kompletu i mała lampka od Tiffany'ego. Mam tu wieszak na swój worek i duże lustro za drzwiami. Ściany, pościel, dywanik - wszystko jest białe. Odślaniam narzutę i wślizguję się pod zimną kołdrę. Po raz pierwszy, odkąd wyszłam za Jacka MacChesneya, leżę sama w łóżku. Przez cały ten czas ani razu nigdzie nie wyjechałam bez niego ani on beze mnie. Zastanawiam się, czy myśli o tym samym w domu, w naszym łóżku. Rozkładam jak najszerzej ramiona i nogi. Tkwię w tej orlej pozycji, aż przychodzi sen.

Określenie „Wielka Pomarańcza” nie wystarczy, by opisać rozgrywki futbolowe Uniwersytetu Tennessee. Pomarańczowe jest dosłownie wszystko. Tysiące fanów zjechało do Knoxville w strojach tej samej barwy, wielu z nich pomalowało też twarze. Najwyraźniej ich oddanie zaczyna się na poziomie komórkowym. Nigdy nie widziałam takiej futbolowej manii (a przecież chodziłam do college'u Saint Mary's w South Bend w Indianie!). Poza pomalowanymi ludźmi, Knoxville to spokojne miasto Południa słynące ze Święta Wiosny i debiutantek. Spacer tutejszymi uliczkami przywodzi na myśl dawno minione czasy.

Jestem już na stadionie, przepycham się przez towarzystwo usadowione na tylnych klapach wozów (jakiś facet piecze kurczaka na rożnie z tyłu swojego kombi). Theodore dał mi się wyspać i wyszedł beze mnie. Spotykamy się przy wejściu dla personelu, Theodore zabiera mnie do kabin, skąd ekipy filmowe nagrywają mecze. Tam też mieści się stanowisko Theodore'a, z którego ogląda stu dwudziestu pięciu znakomitych muzyków, tworzących orkiestrę dętą UT.

- Theodore, pamiętasz okręgowe zawody zespołów muzycznych?

- Tak. Zawsze zwyciężaliśmy appalachijską Przebojową Sześćdziesiątkę - zamyśla się Theodore.

- Od kiedy wyjechałeś, sporo ludzi odeszło. Teraz orkiestrę nazywają Świńską Trzydziestką.

Theodore wybuchają śmiechem. Nie wierzę, że w niespełna dziesięć lat awansował z zawodów Wise County do krajowej telewizji.

Ledwie kończy się pierwsza część meczu, Theodore kontaktuje się z operatorami kamery, którzy mają nagrać występy. Jest tu gwiazdą i cenionym twórcą - ludzie zatrzymują go, proszą o autograf - bo się sprawdza. Theodore podchodzi do tego spokojnie: wie, że jego popularność zależy od sukcesów drużyny; po co komu wirtuozowi, skoro zawodnicy przegrywają?

Kiedy orkiestra wychodzi w przerwie meczu, tłum szaleje. Gdyby dało się teraz wykorzystać energię na stadionie, można by wygrać wojnę albo ruszyć z posad piramidę. Mażoretki są wspaniałe, niczym dziewczyny z okładek: cały ten weekend to hołd złożony młodości, niewyczerpanej dobrej formie i białozębnyemu seksapilowi.

Obecne pokazy Theodore'a są bardziej precyzyjne, bardziej złożone niż te z Big Stone Gap. Rzecz jasna, to całkiem inny poziom. Zdumiewające, jak bardzo Theodore się wybił, teraz jego orkiestrę nagrywają ogólnokrajowe stacje telewizyjne. Doskonale daje sobie radę. Powinien dziękować Elizabeth Taylor i dobrze o tym wie: gdyby nie jej brzemienna w skutki wizyta w Big Stone Gap, Theodore nigdy nie zostałby odkryty.

Orkiestra zajmuje boisko. Theodore jest spokojny i skoncentrowany. Rząd małych telewizyjnych monitorów na biurku przed nami pokazuje występy z rozmaitych ujęć. Theodore robi notatki, czasem klnie, czasem się uśmiecha. Nie wiem, jak może jednocześnie śledzić przebieg widowiska. Wiem tylko, że kiedy wyglądam z tego szklanego pudełka na jasnozieloną murawę wypełnioną od brzegu do brzegu pomarańczowo-białymi postaciami ruszającymi się precyzyjnie jak skomplikowany mechanizm szwajcarskiego zegarka, nie potrafię dostrzec żadnego błędu. Widzę jedynie zdumiewającą rzeźbę w ruchu, podobnie jak tłum na trybunach: tysiące ludzi cieszy się tym widokiem i dźwiękiem.

- Nieźle - mówi Theodore, gdy zespół już schodzi z boiska. - Idziemy.

Wychodzimy z boksu i zmierzamy ukrytymi schodami w kierunku murawy stadionu. Wyłaniaamy się na światło dzienne; plakietki na naszych szyjach pozwalają nam wejść w każde miejsce. Strażnicy z szacunkiem kiwają głową Theodore'owi; VIP-y wychylają się z boksów i krzyczą:

- Świetny pokaz! Brawo!

Theodore bierze mnie za rękę i prowadzi do małych schodków u podstawy sektora dla orkiestry. Spoglądam w górę i widzę, że pomarańczowo-biała szachownica sięga nieba. Kapelmistrz i Theodore ściskają się, członkowie orkiestry patrzą na nich z zainteresowaniem. W końcu kapitan dmucha w gwizdek, zaczynają grać *Tennessee Waltz*. Tłum szaleje. Theodore rozgląda się po stadionie, i przez chwilę, na tle pomarańczowo-białych muzyków, trochę przypomina greckiego boga o rozwianych włosach, a już na pewno wygląda na artystę. Bierze mnie w ramiona i wirujemy w rytm muzyki.

Jest leniwa niedziela, wkrótce będę musiała wsiąść do autobusu i pojechać do domu. Mam dodatkową torbę pełną gadżetów z UT i rzeczy, które Theodore kupił dla Etty - układanek, gier i zesta-

wów do origami. Etta zna się na zagranicznej sztuce właśnie dzięki Theodore'owi. Nie jest wujkiem tylko z nazwy.

- Niczym się nie martw - mówi Theodore, ściskając mnie na pożegnanie.
- Obiecay, że przyjedziesz na święta - proszę. Nie puszczę go, dopóki nie przyrzeknie.
- Przyjadę. Przywiozę ajerkoniak.
- Kocham cię.
- Ja ciebie też.

Wchodzę do autobusu i siadam na ulubionym miejscu, tuż za kierowcą. Theodore obchodzi pojazd, stuka w okno. Opuszczam szybkę.

- Nie jesteś stara. Jesteś piękna.
- Dziękuję - mówię i naprawdę jestem mu wdzięczna, odprężona po fantastycznym weekendzie.

Nie zwariowałam, nic mi się nie stało. Jestem tylko człowiekiem. Czasem się boję i można mnie pocieszyć. To cudowna właściwość Theodore'a Tiptona - dzięki niemu wszystko wydaje się lepsze.

Gdy autobus odjeżdża, nie czuję smutku. Za kilka tygodni nadejdą święta. Chcę jechać do domu, straszliwie tęsknię za Ettą. Rozstanie z Jackiem, mimo wszystkich problemów, sprawia, że i za nim tęsknię. Już od dawna nie całowałam go tak, jak lubię najbardziej. Zrobię to jednak, jak tylko go zobaczę. Nie mogę się doczekać.

Autobus jedzie do Big Stone Gap przez Wildcat. Morelowe słońce znika za niebieskimi górami. Pnie drzew, sękate i wykręcone ku niebu, mokre od deszczu, wyglądają jak przystrojone lśniąco czarnymi perłami. Z obu stron obramowują drogę; czuję się bezpieczna. Za nimi góry rozlewają się warstwami niczym surowe ciasto na placek. Na górskim Szlaku Appalachów, tam gdzie Blue Ridge Mountains zachodzą na Tennessee, kryje się zapierające dech w piersiach piękno. Wkrótce znów znajdę się tam w górze, w Gap, w domu.

Jack czeka na mnie na dworcu autobusowym. Siedzę na brzegu fotela niczym niecierpliwe dziecko. Tyle mam do opowiedzenia! Chcę, żeby wiedział wszystko. Chcę mu wyznać, w jakim strachu wyjeżdżałam i z jaką nadzieją wracam. Macham do niego i okna, on odpowiada mi tym samym. Nie ma z nim Etty; jak romantycznie! Zrywam się z miejsca, zanim autobus staje na dobre. Kierowca z irytacją marszczy grube brwi, zataczam się do przodu, kiedy hamuje. Dziękując mu, zbiegam po schodkach do męża. Rzucam się w ramiona Jacka i obsypuję jego przystojną twarz pocałunkami, on jednak ich nie odwzajemnia.

- Co się stało? - pytam.
- Miło spędziłaś weekend? - odpowiada pytaniem.
- Fantastycznie. Czy coś się stało Etcie? - Teraz ja się martwię. Skąd to dziwne zachowanie?
- Nic jej nie jest. Dobrze się bawiła na sztuce - mówi, biorąc ode mnie torbę.
- Musicalu.

- Musicalu. Sztuce. Co za różnica, do cholery?

- Czemu na mnie wrzeszczysz? - wrzeszczę na niego.

- Całe miasto mówi o tym, że zostałam współniczką Pearl.

- Co? - Na chwilę zapominam, gdzie jestem. Tak się cieszyłam z powrotu do domu, że ostatni piątek, umowa i dokumenty całkiem wyleciały mi z głowy.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Czekaj chwilę. Miałam ci powiedzieć w piątek wieczorem, ale zaplanowałam mi podróż. Nie było czasu.

- Mogłaś mi powiedzieć przed wyjazdem. Nic cię nie usprawiedliwia.

- Jack, to idiotyzm.

- To, co ty uważasz za idiotyzm, dla mnie jest ważne. I dlatego mamy problem. - Jack rzuca moją torbę na tył furgonetki. Gdybym nie była taka zła, wybuchnęłabym śmiechem - „problem” to moje ulubione słowo, on dotąd nigdy go nie używał. Mężczyźni nie stosują tego słowa w odniesieniu do związku, posługują się nim, mówiąc o samochodach, które nie chcą ruszyć z miejsca, albo o popsutych urządzeniach.

- Nie rzucaj moich rzeczy! - wydieram się jak pięcioletnie dziecko.

- Wsiadaj do wozu!

- Nie mów mi, co mam robić!

- Chciałbym zobaczyć człowieka, który mówi ci, co masz robić, a ty spełniasz jego polecenia. Chciałbym go poznać i uścisnąć mu rękę.

- Co się z tobą dzieje? Nic ci się nie podoba. Zgodziłam się zostać współniczką Pearl tylko po to, żebyś mógł być budowląncem, mieć własną firmę. Pomyślałam, że dzięki temu zyskasz większą swobodę finansową, że spełnisz swoje marzenie.

- Dobijasz mnie.

- Co?

- Od kiedy interesują cię moje marzenia?

Nie odpowiadam. Wchodzę do furgonetki. Jack wskakuje na miejsce kierowcy i patrzy na mnie.

- Nie wierzysz, że potrafię o nas zadbać. Nie wierzysz, że pomysł z firmą wypali, więc za moimi plecami zawierasz umowy, żeby poczuć się bezpieczna.

- To nieprawda! Nie myślałam o sobie. Myślałam o Etcie. W porządku? Jeśli przez to uważasz mnie za złego człowieka, to nim jestem!

- Nie ufasz mi. Gdybyś mi ufała, przyszłabyś do domu i porozmawiała o tym ze mną. Razem podjęlibyśmy decyzję najlepszą dla naszej rodziny. Zamiast tego dowiaduję się o wszystkim na mieście. Ludzie drwią, że potrzebuję kobiety, żeby na mnie zarobiła, bo w ramach hobby bawię się w złotą rączkę. - Jack odchyła głowę, przygnębiony. Nie wytrzymam - naprawdę w to wierzy?

- Nigdy nie mówiłam, że bawisz się w złotą rączkę. Kogo obchodzi, co myślą inni?

Nie odpowiada; uruchamia silnik i pędzi do kotliny. Kiedy dojeżdżamy do domu, wyskakuję z ciężarówki i wyciągam swój worek. Nie oglądam się za siebie. Wchodzę po schodkach, Etta wita mnie w progu. Jest szczęśliwa, pokazuje mi program ze *Skrzypka na dachu*. Słyszę żwir wyrzucany przez opony, gdy furgonetka odjeżdża ku górze.

- Dokąd jedzie tatuś?

- Nie wiem.

- Jest zły?

- Chyba tak.

- Przeze mnie? - Etta marszczy twarz ze zmartwienia.

- Nie, nie przez ciebie, tatuś jest przemęczony. To nic takiego.

Odwracam jej uwagę prezentami od wujka Theodore'a. Etta otwiera zestaw do origami. Siadamy na podłodze i składamy delikatny papier ryżowy. Moje ręce bardzo drżą. Papier jest cienki, delikatny, boję się, że go podre.

- Ja, mam, daj. - Etta bierze go ode mnie i kładzie na podłodze.

Daję Etcie kolację i układam ją do snu. Patrzę na zegar; dochodzi dziewiąta, Jacka wciąż nie ma. Wymyślam jakąś historyjkę, ale mała jest bystra. Rozumie. Zapalam nocną lampkę w korytarzu. Zamierzałam zejść na dół, ale nagle skręcam i wchodzę do sypialni Joego. Dwa lata temu zmieniliśmy go w pokój zabaw dla Etty. Jego podwójne łóżko zostało leżanką, przykryłam ją czerwoną narzutą z kordonką; teraz przypomina sofę. Etta wstawiła do pokoju tablicę i krzesła. Podchodzę do leżanki i kładę się na niej.

Przez kilka pierwszych miesięcy po śmierci Joego kładłam się razem z Jackiem, a kiedy zasnął, chodziłam po domu, aż w końcu trafiałam do pokoju Joego i kładłam się na jego łóżku. Tylko tu znajdowałam ukojenie. Próbowałam zasnąć na oszklonej werandzie od kuchni i na sofie w salonie, ale bezskutecznie. Kiedy dotarło do mnie, że mogę spać w pokoju synka, zaczęłam przychodzić tutaj każdej nocy.

Nigdy nie mówiłam Jackowi, czemu to robię. Rozmowy o śmierci Joego były zbyt bolesne. Nie powiedziałam mu również o Śnie, prawdziwym powodzie, dla którego tu przychodziłam. Nie mogłam doczekać się nadejścia wieczoru, żeby wyśnić ten krzepiący sen, zawsze ten sam, noc po nocy. Joe i ja ze śmiechem biegaliśmy po domu. Ten śmiech był taki prawdziwy, brzmiał jak w rzeczywistości. Kiedy już bolały nas od niego brzuchy, dach odrywał się od domu, gładko, bez żadnych problemów, zupełnie jakby ktoś uniósł wieko słoja. Niebo przybierało fantastyczne barwy, zazwyczaj odcienie różu i granatu, które lśniły i poruszały się jak opalizujące smugi oleju w wodzie. I nagle Joe rozpościerał ramiona... zawsze tak samo... patrzył na mnie z uśmiechem i mówił: „Uwielbiam latać!”. Odrywał się od dywaników w salonie i wznosił nad dom, wpadając w wir niezwykłych kolorów, i latał dookoła.

Zazwyczaj próbowałam do niego dołączyć, ale nie mogłam się oderwać od ziemi, zupełnie jakbym miała nogi z kamienia. Wołałam Joego, ale znikał. Gdzieś z oddali dobiegał mnie jego głos. Potem nagle kolory bladły jak namalowane ołówkiem, niebo stawało się rysunkiem, było płaskie i blade jak brystol, nieruchome i bez głębi, a ja nadal próbowałam wzlecieć, ale za żadne skarby nie mogłam. Pełzałam po ścianach domu i za każdym razem lądowałam na podłodze. Mimo wysiłków wciąż tkwiłam w miejscu. Po przebudzeniu byłam znużona, ale nic mnie to nie obchodziło. Czułam radość, bo przez całą noc towarzyszył mi Joe, to wydawało się takie prawdziwe. W zasadzie sen był pogodny; Joe wcale nie płakał, nie dostawał zastrzyków ani nie spał. Należał tylko do mnie, przebywaliśmy ze sobą, matka i syn, nawet dziwaczna sceneria nie przeszkadzała.

- Ave? - Wzdragam się na dźwięk głosu Jacka.

- Cześć.

- Cześć. - Siada na skrzyni z zabawkami. Splata ręce i patrzy na nie.

Znam swojego męża. Będzie tak siedział i patrzył, aż w końcu ja coś powiem. Dlaczego to zawsze kobieta musi wyciągać informacje od mężczyzny? Dlaczego Jack nie zdradzi mi, co czuje? Tak po prostu jest i z pewnością tego wieczoru nie będę zmieniać reguł tego świata. Biorę głęboki oddech i spoglądam na Jacka.

- Gdzie byłeś?

- W kotlinie Big Cherry. Chodziłem wokół jeziora.

Przed ślubem spędzaliśmy sporo czasu nad jeziorem Big Cherry. Leżeliśmy na brzegu albo pływaliliśmy kajakiem. Tam naprawdę rozmawialiśmy. To było nasze magiczne miejsce: jak okiem sięgnąć, tylko błękitna woda otoczona ścianą sosen.

- Od dawna nie byliśmy tam razem, Jack.

- Od lat.

- Może kiedyś powinniśmy tam pojechać.

- Może.

Te monosylaby są typowe dla Jacka. Ale to, co typowe, dziś nie zdaje egzaminu. Jest źle i musimy o tym porozmawiać.

- Nie chcę ci robić przykrości. Czasem tak po prostu wychodzi. Musisz wiedzieć, że nie robiłam tego celowo.

- Wiem - odpowiada cicho oparty o okno.

- Nie umiem z tobą rozmawiać. Może nigdy nie umiałam. - Dlaczego używam słów takich jak „nigdy”?

- Nieprawda. Na początku dobrze nam szło.

Nagle czuję przyływ paniki. To mi wygląda na początek rozmowy z gatunku „Odchodzę od ciebie”. „Na początku” zazwyczaj prowadzi do „Znaleźliśmy się na końcu drogi”.

- Dlaczego zostałeś? - W końcu mogę go o to zapytać. Przecież rozmawiamy ze sobą poważnie.
- Kocham cię, Ave Maria.
- Naprawdę?
- Jasne, że tak.

Nasze oczy się spotykają. I ja go kocham, ta miłość jednak w niczym nie pomaga naszemu małżeństwu. Miłość do Joego nie utrzymała go przy życiu; miłość do matki nie zapobiegła jej rakowi i śmierci; i miłość do Jacka MacChesneya nie pomoże nam być razem. A co pomoże?

- Jack? - Spogląda na mnie. Uwielbiam to spojrzenie. Jack słucha całym sobą. (W przeciwieństwie do mnie, jak sądzę). - Kiedy braliśmy ślub, przez to, że tak długo obchodziłam się bez miłości, chyba myślałam, że wszystko będzie idealnie. Że dzięki mojemu oczekiwaniu czas utworzył szczelną bańkę, w której będziemy dryfowali aż do starości, kiedy to umrzemy w swoich ramionach.

- Daj spokój. - Jack z uśmiechem kręci głową.

- Nie, poważnie. Tak długo byłam smutna, powiedzmy, że przez całą pierwszą połowę życia, i myślałam, że kiedy otworzę serce, będzie pięknie, cudownie i... łatwo. Może to właśnie moje niespełnione oczekiwania tak nas uwierają.

- Dlaczego myślałaś, że będzie łatwo?

- Bo sądziłam, że najtrudniejsze jest samo znalezienie miłości.

- Nie znalazłaś mnie; uznałaś, że na to zasługujesz.

- Tak uważasz? - Siadam.

- Tak.

- A ty?

- Wiedziałem, w co się pakujemy.

- Jestem aż taka zła?

- Nie, nie jesteś zła. Ani trochę. Po prostu nie myślisz o mnie. Chcę zaprzeczyć, ale wiem, że ma rację.

- Nie jesteś szczęśliwa, Ave.

- Jestem. Czasem.

- Kiedy ostatni raz byłaś naprawdę szczęśliwa? Odpowiedz szczerze.

- Piętnastego stycznia 1983 roku. Zrobiłaś chili. Padał śnieg. Pamiętasz? Upiekliśmy ciasto czekoladowe. Narysowaliśmy bałwanka na polewie. I graliśmy w karty. Cały wieczór było wesoło.

Jack przez chwilę siedzi w milczeniu. Widzę, że pamięta tamten wieczór, i przez moment wierzę, że damy sobie radę i znowu będziemy szczęśliwi. Zamierzam mu to powiedzieć, ale to Jack odzywa się pierwszy:

- On odszedł, kochanie. Jesteś ty, ja i Etta. My zostaliśmy.

- Wiem.

- My się liczymy.

Jack mówi to ot tak, po prostu, i wiem, że ma rację. Przez to jednak czuję się jeszcze gorzej. Moja matka stanowiła centrum mojego życia i życia rodziny, a ja zawiodłam swoich bliskich. Mam męża, który czuje się odrzucony, i córkę, która nie potrafi być szczęśliwa, bo nie może być sobą i jednocześnie swoim bratem. Nie potrafi wypełnić pustki po nim, choć ciągle próbuje. Może robimy to wszyscy troje. Usiłujemy wypełnić lukę pozostawioną przez Joego i nikomu się to nie udaje, a im mocniej próbujemy, tym większa w nas pustka.

- Ave?

- Tak?

- Nie zaczniesz znowu sypiać w tym pokoju, prawda?

Przez chwilę mam ochotę opowiedzieć Jackowi o śnie, ale nie mogę.

- Nie, chcę być z tobą - mówię zamiast tego. Biorę go za rękę i sprowadzam po schodach. Czasem, choć ogólnie zawodzę, potrafię zachować się tak jak trzeba.

TTLR

Rozdział czwarty

Iva Lou i ja siedzimy na kamiennej ławce przed biblioteką i jemy lunch. Ubrałyśmy się ciepło; jest ponury listopadowy dzień, ale świeże powietrze dobrze nam robi. Mamy całą zimę, żeby nasze cotygodniowe spotkania spędzać w maleńkim pokoju Ivy Lou na zapleczu biblioteki. Ławka jest niska, to szeroki półksiężyc niebieskiej płyty łupkowej na ozdobnych nogach z betonu. Stoi obok starej fontanny, wzniesionej z nierównych polnych kamieni, zgrabnie ułożonych w formie schodków na niskim pagórku. Na szczycie mosiężne kardynały trzymają dzban, z którego tryska woda i spływa po kamieniach porośniętych zielonym, aksamitnym mchem i wpada do trójkątnej sadzawki pełnej drobniaków. To romantyczne miejsce, ukryte między topolami. Nocą zbierają się tu nastolatki. Zakochani wrzucają monety (mnóstwo monet) do sadzawki, wierząc, że dzięki temu szczęście nie przeminie.

Delphine Moses zrobiła nam gigantyczne kanapki z Mopsikami. Iva Lou obiera długie bułeczki z folii jak banana ze skórki.

- Nie jesz? - Odgryza pierwszy kęs.
- Nie jestem głodna.
- O co chodzi?
- O Jacka i mnie.
- Co się stało?
- Wścieka się, bo bez jego zgody postanowiłam kierować apteką.
- Dlaczego go nie spytałaś? - Iva Lou wypija łyk coli.

Pyta bardzo rzeczowo. Można by pomyśleć, że mam w zanadrzu równie konkretną odpowiedź. Niestety.

- Wiesz, mężczyźni lubią czuć, że to oni rządzą, nawet jeśli tak nie jest. I kobieta powinna ich o tym zapewniać.

- Iva Lou, jestem za stara na takie gierki.
- Cóż, przykro mi to mówić, ale te gierki trwają aż do grobowej deski. Nigdy nie spotkałam mężczyzny, który nie uważał siebie za pępek wszechświata.

- Myślisz, że Jack Mac się mną zmęczył?
- Nie. Chyba jest na ciebie wściekły.
- To dobrze.
- Nie. Tak naprawdę to gorzej. Kiedy mężczyźni wpadną we wściekłość, nie siadają, by ochłoniąć, tylko coś robią. Działają. No wiesz. Idą szukać... bo ja wiem, odskoczn.

- Innych kobiet?

Iva Lou kiwa głową.

- Wiem to na pewno, bo dawno, dawno temu byłam najlepszą odskoczną w Wise County. A teraz jestem jeszcze jedną starą mężatką, która trzyma formę. - Prostuje się i oddycha głęboko, ściskając wąską talię.

- Powinam się przejmować innymi kobietami? - Siadam niedbale, ale kręgosłup mam tak sztywny, jakby zrobiono go ze stalowej rury, nie z kości.

- Jako żona zawsze powinnaś się nimi przejmować. Masz przystojnego męża. Niektóre kobiety szukają, hm, powiedzmy, towarzystwa.

- Nie zamierzam go śledzić.

- Boże broń! Nie, musisz się zachowywać jak gdyby nigdy nic i odpowiednio pokierować sytuacją. Zachowuj się tak, jakby twoje małżeństwo było udane, a z biegiem czasu naprawdę się takie stanie.

- Jak to zrobić? - chcę wiedzieć.

- Maleńkimi kroczkami - ciągnie Iva Lou. - Niech mu będzie przyjemnie. Kiedy ogląda telewizję, całuj go, przechodząc obok. Nieważne, że pewnie nie odwzajemni pocałunku.

- Dobrze. Tyle mogę zrobić.

- Jak u was z seksem?

- Boże, Iva Lou.

- Kochacie się?

- Czasami.

- Regularnie?

- Nie tak regularnie jak kiedyś.

- No, dziewczyno, bierz się do roboty. Niech inicjatywa wyjdzie od ciebie. Dzięki temu coś was będzie łączyło, zanim jemu całkiem przejdzie.

- Mówisz poważnie?

- Tak, do cholery. Facet wolałby sobie odciąć rękę niż żyć bez seksu. My, kobiety, jesteśmy jak wielbłądy. Miesiącami możemy obchodzić się bez seksu, choć nikomu tego nie polecam. Lubimy myśleć o seksie i czasem samo myślenie nam wystarcza. Jak sądzisz, dlaczego kobiety wychodzą za więźniów, a mężczyźni nie żenią się z więźniarkami? Nam wystarczy, że mężczyzna zapewnia nas o swojej miłości, nawet jeśli ma dożywocie. Nie potrzebujemy go w domu, we własnej osobie, żeby to powtarzał. Facet jest inny, on musi mieć swoją kobietę, która się nim zajmie. - Iva Lou spogląda na mnie z uniesioną brwią. - Naprawdę się nim zajmie.

- Czy wszystko sprowadza się do seksu?

- Tak. - Iva Lou odkłada kanapkę na ławkę. - Dla mężczyzny seks jest wyznacznikiem zdrowia. Jeśli wychodzi mu w seksie, w życiu też. Rozumiesz? - Potakuję. - Wpadnij do kościoła. Wciąż remontują kuchnię przy sali parafialnej, prawda? Zaskocz starego Jacka. Przynieś mu kawałek placka

albo termos z kawą. I ładnie przy tym wyglądaj. Bądź miła. Rozumiesz? - Znowu kiwam głową, ale niechętnie tego słucham. Dlaczego tylko ja mam się starać?

Wiewiórka o brązowym futerku barwy ziemi pod naszymi stopami zbiega z grubego pnia topoli za Ivą Lou. Nieruchomieje i popiskuje, wygina szyję, rozgląda się wokół. Nagle gałęzie szeleszczą, i po pniu, jak samochód po serpentynie, pędzi druga wiewiórka. Pierwsza czeka. Kiedy ta druga jest już o centymetr od jej ogona, zwiewa. To przypomina mi coś, co wiele lat temu powiedział Otto.

- Panno Ave, w życiu człowiek musi wiedzieć trzy rzeczy - oznajmił. - Od czego ucieka, do czego ucieka i po co.

Nie powiedział mi jednak - a powinien - że nie da się biegać w miejscu.

Fleeta opiera się o bufet w aptece.

- Stoję u bram piekła - mamrocze.

- Ile razy mam ci powtarzać, że nie musisz tu pracować?

- Zobaczymy. Już kiedyś słyszałam, że nie muszę robić inwentaryzacji. Teraz nikt poza mną się tym nie zajmuje.

- Ładnie wyszło, prawda? - mówię do Fleety, obracając się na jednym z taboretów. Pearl znalazła stare wytrawiane lustro, które oprawiła w białe ramy i kazała powiesić za bufetem. Skopiowała z czasopism o dekoracji wnętrz marmurkowe blaty z zielonego linoleum. Gazowe, ozdobione mosiądzem kinkiety na ścianach rzucają łagodne złociste światło na jasnozielone boksy z białymi stołami z laminatu.

- Tak, dobrze wyszło. Zupełnie nie wiem dlaczego, przecież Pearl interesowała się całym Wise County, tylko nie tą apteką.

- Jest jakiś problem z rozwojem sieci?

- Nie o tym mówię. Pearl jest zakochana. - Fleeta wywraca oczami. - Wiesz, kto to? Hinduski lekarz ze Świętej Agnieszki, ten Bakagese. Przystojny gnojek. Koloru mahoni, skarbie. Czarny.

- Leczył Joego.

Fleeta zastanawia się przez chwilę.

- Jasne. Jasne. Na pewno poznali się u ciebie. Jest ciemny, ale nic nie szkodzi. Pearl też jest mieszana, więc w pewien sposób do siebie pasują. Chociaż wielu Melanżów nie lubi, kiedy mówię, że są mieszańcami.

- Myślałam, że i ty masz w sobie krew Melanżów.

- Częściowo.

- I wszystko z tobą w porządku - mówię.

- No tak.

- Więc i jego karnacja nie ma znaczenia.

- Mówisz tak, bo jesteś Włoszką. Włosi to największe mieszańce świata. Mają w sobie krew wszystkich. Każdy wie, że z Włoch jest rzut kamieniem do Afryki.

- Znasz się na geografii. Może następnym razem, gdy będziemy wystawiali drużynę do teletur-
nieju, znajdziesz w niej miejsce. - Podaję Fleecie kartkę. - Nie mogę odczytać twojego pisma.

- To zamówienie. Na dostawę leków. Do... Alice Lambert.

- O.

- Wiem. - Fleeta cmoka. - Nie powinna tu kupować leków, po tych wszystkich kłopotach, któ-
rych ci przysporzyła.

Ma rację. Alice Lambert to siostra Freda Mulligana. Kiedy okazało się, że nie był moim ojcem,
stwierdziła, że jako bękart nie mam prawa do jego majątku; nawet usiłowała zawlec mnie do sądu.
Było to niemal dziesięć lat temu; od tamtego czasu jej nie widziałam.

- Choremu chyba wszystko jedno, skąd są lekarstwa.

- A jakich proszków potrzebuje?

- Na nerwy.

- Uhm. Musi mieć stalowe, skoro chce kupować u nas.

Wchodzi Otto ze skrzynką z narzędziami.

- Witaj, Otto. Możesz pojechać z dostawą do Alice Lambert?

- Czemu nie. Ale najpierw podłączę kuchenkę. Myśli pani, że Jack Mac mógłby mi pomóc?

- Zapytam. - Bardzo dobrze. Właśnie tego mi trzeba: pretekstu, żeby wpaść do męża. Iva Lou
byłaby zachwycona.

Miejsca parkingowe przed kościołem metodystów są zajęte, zastawiam więc wypełnioną sklejką
furgonetkę Jacka. Poprawiam szminkę, którą zdążyłam zlizać z warg. Przeczesałam włosy i je na-
puszam. Całkiem dobrze wyglądam, myślę, wychodząc z jeepa.

Napięcie między Jackiem a mną ustąpiło, chcę wykorzystać ten rozejm, żeby się do niego zbli-
żyć. Widzę, że i jemu na tym zależy. Wziął mnie za rękę, kiedy szliśmy na strych po ozdoby choinko-
we. Uściskał mnie i pocałował, kiedy naprędce przyrządziłam ravioli. I masował mi kark w nocy, gdy
po położeniu Etty do łóżka siedziałam nad rachunkami.

Drzwi do kościelnej piwnicy są podparte pojemnikiem na śmieci pełnym kawałków płyt karto-
nowo-gipsowych. Powinnam była przynieść coś do jedzenia, myślę, idąc po znajomych schodach; Iva
Lou wlepiłaby mi pałę. Słyszę śmiech i zauważam, że żółta farba, którą pomalowali klatkę schodową,
naprawdę rozwesela to miejsce.

- Halo?

- Tutaj - rozlega się głos mojego męża.

Ostrożnie wchodzę do sieni; podłogę usunięto, do ścian przyklejają nowe płyty kartonowo-gipsowe. Jack mierzy wielką płaską deskę na dwóch kozłach, a Mousey przybija róg płyty do ściany.

- Cześć! - mówię radośnie, z szerokim uśmiechem.

- Cześć, skarbie - odpowiada ciepło Jack.

- Bardzo lubię żółty kolor. Jest taki ładny. Wyszło wam to pomieszczenie - stwierdzam, przyglądając się zmianom. I nagle, jak we śnie, widzę kobietę wyłaniającą się z korytarza, który prowadzi do tylnego wejścia do zakrystii. To ona. Opalona blondyna z balu!

- Skarbie, poznaj Karen Bell z Coeburn. Moja żona, Ave Maria - mówi Jack rzeczowym tonem.

- Jakie ładne imię!

- Dziękuję.

- To Włoszka - dodaje mój mąż tonem wyjaśnienia.

- Ja jestem zwykła Karen. Miliony ich chodzą po świecie. - Kobieta wzrusza ramionami.

Moje myśli galopują: Karen. Już gdzieś słyszałam to imię. Apteka? Karen dzwoniła do Jacka do apteki, zanim wyjechałam do Knoxville! Dlaczego czuję się tak, jakbym przyłapała męża na gorącym uczynku?

Karen Bell nosi koszulę w niebiesko-beżową kratę i jasnoniebieski rozpinany sweter. Ma ze sobą tabliczkę z zaciskiem na papiery i ołówek za uchem (bardzo fachowo). Jest o wiele mniejsza, niż wydawała się na balu. To jedna z tych kobiet, które mężczyźni mogą nosić jak laleczki. I jak wystudiowanie sunie, przypomina mi marionetkę-pasterkę, którą mój ojciec przysłał Etcie z Włoch. Każdy jej ruch jest wyważony.

- Karen to nasz dostawca.

- Dostawca? - Chyba mówię to dziwnym tonem, bo Karen się śmieje.

- Dostarczam kłopotów - mówi.

- To pewnie sporo kosztuje.

- Zależy. - Spogląda na mnie po raz pierwszy. A może po prostu dopiero teraz mnie widzi.

Opiera biodro o jeden z kozłów i mości się tam. Potem obraca ołówek w palcach; zahacza o jej pierścionki. (Nie ma wśród nich obrączki).

- Karen obsługuje tartak Lucka.

- Tak się poznaliśmy - dodaje ona.

Tak się poznaliśmy? Dziwne słowa w ustach sprzedawczyni.

- Czy Jack opowiadał ci, jak my się poznaliśmy? - pytam, obejmując go.

- Nie.

- W przedszkolu.

- Urocze. Miłość z piaskownicy - mówi Karen bez przekonania.

- Niezupełnie - stwierdzam.

- Powiedzmy, że zeszedliśmy się dużo później - dodaje Jack.

- Ale nie za późno. - Biorę młotek i uderzam nim o otwartą dłoń. Robię to kilka razy, zanim Jack zabiera mi narzędzie.

- Jack, zerkniesz jeszcze na te projekty? - pyta Karen, spoglądając na mnie uprzejmie, jakby chciała powiedzieć: „Możesz już sobie iść? Mamy coś do omówienia”.

- Przepraszam, że przeszkodziłam. Róbcie swoje. Załatwiającie interesy - mówię uprzejmie i podchodzę do przeciwległej ściany podziwiać, jak pięknie mój mąż poustawiał płyty kartonowo-gipsowe. Opieram się o grzejnik, żeby lepiej widzieć, i kładę na nim rękę - jest bardzo rozgrzany, chyba mam na dłoni oparzenia trzeciego stopnia. Nie krzyczę jednak, tylko chowam rękę do kieszeni.

Karen rozwija projekty, na które zerkam kątem okna - mnie przypominają skomplikowane zadanie geometryczne. Jak trudno jest wyburzyć ściany i postawić je od nowa, żeby przebudować kuchnię? Sądząc z rozmiarów planu i serii skomplikowanych przecinających się linii, niezwykle trudno. Patrzę, jak Karen, fachowa i kompetentna, pokazuje Jackowi i Mouseyowi, co należy zrobić. Co powinni wykorzystać, jak mogą oszczędzić na izolacji. Jakich rozmiarów drewna potrzebują, żeby powiększyć część za blatem kuchennym. Mój mąż uważnie słucha jej słów. Karen odpowiada z sensem na fachowe pytania. Na jego twarzy widnieje szacunek, Karen wymyśla rozwiązanie problemu, na które on wcześniej nie wpadł. Ona wybija rytm nogą i wciąż obraca ołówek w dłoniach. Dokładnie przemyślała ten projekt. Oto kobieta, która niczego nie puszcza na żywioł. Zawsze ma plan.

- No to chyba wrócę do pracy. - Karen zwija projekt. Patrzy na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Proszę, jest twój. Możesz go spytać, co zje na obiad, czy potrzebuje nowych majtek, i przypomnieć, o której zaczyna się zebranie komitetu rodzicielskiego”. Oto nudy, którymi zajmują się żony, nie fascynujące pogadanki o projektach, surowcach, architekturze i budownictwie - domena Karen Bell.

Wsuwa plany pod ramię jak pałkę i idzie po płaszcz, który wisi na gwoździu. Mousey przygląda się jej uważnie. Karen chodzi tak, że przy każdym kroku jej tyłek zatacza pełne koło. Bystra i seksowna, tak nazywają tego rodzaju babki w czasopiśmie „Redbook”. Powinnam być właśnie taka. Jack nie odrywa wzroku od ściany.

- Dajcie znać, jeśli będziecie czegoś potrzebowali. Wiecie, gdzie mnie znaleźć - mówi Karen, wchodząc na schody.

- Miło cię poznać! - wołam za nią.

- Nawzajem - dobiega mnie stłumiona odpowiedź.

- Mam sprawę, chłopaki. - Jack i Mousey patrzą na mnie. Pewnie mój ton głosu jest dziwnie szorstki. - Otto i Worley potrzebują pomocy przy instalacji kuchenki.

Jezu, brzmi to jak kulawe wytłumaczenie żony, która musiała coś naprędce wymyślić po tym, jak nakryła męża z tajemniczą blondyną.

- Zerkniemy na to, ale później, dobrze?

- Świetnie. Jest problem z przyłączem elektrycznym i grzałką kuchenki. Coś w tym rodzaju. Być może trzeba będzie kuć ścianę. - Co ja wygaduję? Nic nie wiem o kuciu ścian, powtarzam tylko fragment rozmowy Ottona i Worleya. Na kim chcę zrobić wrażenie? Na swoim mężu? - Poza tym nie znam szczegółów, chłopcy. Wiem tylko, że czas ucieka.

- Przyjedziemy później - obiecuje Jack, całując mnie w czoło, jakbym była kotem Sio.

Kiedy wychodzę po schodach na ulicę, czuję w powietrzu perfumy Karen Bell. To ten zapach Charlie, po którym Fleeta kicha. Za słodki, nawet po takim czasie. Dobrze jest odetchnąć świeżym powietrzem.

Święta w Gap zaczynają się miesiąc wcześniej. Oczywiście, zainauguowało je otwarcie nowego bufetu w aptece (dziękuję, Firmo Budowlana MR. J za pomoc z elektryką szarą godziną 30 listopada). W pierwszym tygodniu Pearl sprzedawała wszystko po cenach obowiązujących przed zamknięciem poprzedniego bufetu: cola za pięć centów, deser lodowy za dziesięć i tak dalej. Bufet szybko stał się ulubionym lokalem, nawet przejezdni zatrzymują się na kawę i placek. Pewien człowiek jadący do Bristolu z Middlesboro w Kentucky wstąpił po autograf Tayloe. Widział ją w lokalnej telewizji, jak sprzedawała okna zimowe, i z radością poznał oryginał. Zostawił Tayloe spory napiwek.

Inez Eisenberg przewodniczy komitetowi upiększania centrum; poprosiła wszystkie firmy na Main Street o zawieszenie na drzwiach wieńca z białymi lampkami na choinkę. Kupcy posłuchali, z wyjątkiem Zackiego Wakina, który wywiesił wieniec z niebieskimi światełkami (sprzedaje je, wziął więc sobie komplet). Kółko krawieckie metodystów sponsoruje konkurs na najpiękniejszą dekorację drzwi prywatnych domów. Louise Cambios ozdobiła nawet psią budę, tak zacięta jest rywalizacja.

Miejscowe kluby ogrodnicze organizują podczas świąt pokazy kwiatów. Klub ogrodniczy „Dogwood” ozdabia Muzeum Południowo-Zachodniej Wirginii, klub Intermont zajmuje się domem Johna Foksa juniora, a damy z Green Thumb zdobią dom June Tolliver obok Teatru pod Chmurką. Sprowadzają sędziów ze wschodniej Wirginii, by ocenili zieleń (trzeba by wam zobaczyć świąteczny kaktus Betty Cline), aranżację (dekoracja Arline Share, czyli jabłka odmiany Rome Beauty na stole w muzeum to prawdziwe dzieło sztuki) i wyjątkowe dokonania, takie jak ceramiczna Madonna z Dzieciątkiem ustawiona wśród złotych tykw.

Iva Lou, Fleeta i ja spędzamy prawie całą niedzielę na oglądaniu wystaw. Właśnie mamy wejść do sal okresów historycznych, kiedy Joella Reasor zatrzymuje nas w wąskim korytarzu.

- Słuchajcie no - odzywa się tonem, który mówi nam, że zaraz usłyszymy plotki. Kciukiem i palcem wskazującym ociera kąciki ust, tam gdzie rozmazała się jej pomarańczowa szminka.

- Gadaj, Joella. Nie mamy czasu, cholera - mówi niecierpliwie Fleeta.

- Pearl Grimes jest w sali wiktoriańskiej razem ze swoim przyjacielem lekarzem.

- No to będziemy nazywać tę salę hinduską - chichocze Fleeta, lustrując pomieszczenie w poszukiwaniu Pearl i jej towarzysza.

Trzymetrowy świerk zdobią ręcznie robione koronkowe wachlarze. Gałęzie przystrojono setkami wstążeczek z granatowego atłasu powiązanych w urocze kokardki, wszędzie wiszą sznury miniaturowych pereł w odcieniu jasnej lawendy. Gwiazdki wycięte ze starej puszeki, umieszczone blisko pnia, rzucają na pokój promienie światła o najdziwniejszych kształtach.

- To dopiero coś - mówi Iva Lou. - Ciekawe, czy mi ją sprzedadzą.

- Są! - cmoka Fleeta. Pearl i jej lekarz całują się pod jemiolą zawieszoną w progu między salą wiktoriańską a pomieszczeniami sprzed wojny secesyjnej.

- Doktorze B.? Miło pana znów widzieć. - Ściskam go mocno. My, cudzoziemcy, powinniśmy trzymać się razem. Poza tym, jeśli wszystko wypali między nim a Pearl, wejdzie do rodziny.

- To lekarz Joego - szepcze Iva Lou, jakby nie zdając sobie sprawy, że powiedziała to na głos.

- Iva Lou, pamiętasz doktora Bakagese? - kryje ją.

- Jasne. Jak leci?

- Dobrze, dziękuję.

Fleeta spogląda na mnie ze smutkiem; raz na sto lat zdarza się jej okazać wrażliwość, to właśnie jeden z takich momentów.

Doktor Bakagese uśmiecha się do mnie. Od razu mam poczucie winy. Tyle razy zamierzałam do niego zadzwonić i podziękować za wszystko, co zrobił dla naszej rodziny i Joego, nie zaprosiłam go jednak na kolację, nie poszłam do niego w odwiedziny. Zamierzałam, ale nic z tego nie wyszło. Patrząc mu w oczy, wydaje się rozumieć. Wracam myślami do dnia, w którym się poznaliśmy; rzecz jasna, ten dzień na zawsze nas odmienił.

- Mamo! Joe się przewrócił! - ryknęła z góry Etta. Pomyślałam, że ten dzieciak doprowadzi mnie do szaleństwa.

Weszłam po schodach.

- Nic mi nie jest - stwierdził Joe, pocierając biodro.

- W co się uderzyłeś?

- W pupę.

- Na szczęście.

- Dlaczego? Nic by się nie stało, gdyby upadł na głowę.

- To wcale nie jest śmieszne! - Joe popchnął Ettę. Rozdzieliłam ich, zanim zdążyli pobić się na dobre.

- Przestańcie oboje, dłużej tego nie zniosę! - Ton mojego głosu ich przestraszył (troszeczkę) i naburmuszona Etta poszła do swojego pokoju.

- No już, ubieraj się.

Joe zdjął piżamkę i czekał, aż podam mu ubranie. Kiedy wkładał czerwone spodnie, zauważyłam siniak obok jego kolana.

- A to od czego? - spytałam.

- Co?

- Ten siniak.

- Nie wiem.

- Musisz bardziej uważać.

- Nie boli.

W pokoju panował półmrok. Rozsunęłam zasłony, żeby wpuścić trochę światła. Słońce na moment wyszło zza ciemnoszarych chmur, w pokoju pojaśniało. Odwróciłam się, żeby pomóc Joemu włożyć koszulę. Na jego plecach, tuż pod łopatką, widniał drugi siniak.

- Jezu, Joe, cały jesteś poobijany.

Jego skóra wydawała się nieco przezroczysta, pod nią ujrzałam coś na kształt ciemnych wybroczyn. Wyglądało to trochę jak siniaki, które żółkną w trakcie procesu gojenia.

- Nie podoba mi się to - powiedziałam, a on wyslizgnął się z mojego uścisku. Zapakowałam dzieciaki do jeepa i zawiozłam do szpitala św. Agnieszki. Teraz wydaje mi się to przesadą; w końcu chodziło tylko o dwa sińce. Najwyraźniej przeczuwałam, że dzieje się coś bardzo złego.

Joe siedział z przodu, podpierając się rękami, gdy podskakiwaliśmy na drodze z kotliny. Pamiętam, patrzyłam na niego i myślałam o tym, jaki jest śliczny. Miał idealny profil, brodę władczo wysuniętą do przodu. Etta oparła głowę na moim ramieniu, stojąc pomiędzy siedzeniami. Nie kazałam jej zapiąć pasów. Trzymała rękę na karku brata, jak wtedy, gdy po raz pierwszy zabraliśmy go w tłum, na mecz futbolowy w liceum. O dziwo, moje dzieci milczały, żadne z nich nie wypowiedziało ani słowa. Słyszeć było tylko szmer wycieraczek na przedniej szybie, koła toczące się po mokrej drodze i nasze oddechy.

Siostra Ann Christine powitała nas przy recepcji. Miała najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu i ubrana była w biały, przypominający szmizjerkę habit, białe buty i barbet tego samego koloru. Musiała skończyć sześćdziesiątkę, ale nie dało się tego rozpoznać z jej twarzy, gładkiej i różowej, bez jednej zmarszczki. Siostra miała mały, prosty nosek i niebieskie oczy wyglądające jak skrawki nieba na tle czystych białych chmur. Kiedy się pochylała, by objąć moje dzieci, wyobraziłam sobie, że to moja mama je przytula, i niemal wybuchnęłam płaczem.

Doktor Bakagese z szerokim uśmiechem wszedł do izby przyjęć.

- Co się dzieje, stary? - spytał amerykańskim slangiem z hinduskim akcentem. Był wysoki i szczupły, miał przepiękne ręce o długich, wąskich palcach, kruczoczarne krótkie włosy i skórę o barwie kawy z mlekiem. Do tego mały nos, pełne usta i przepastne brązowe oczy. Zawsze niechętnie od-

dawałam swoje dzieci pod opiekę lekarzy, tym razem jednak nie czułam strachu. Ufałam temu człowiekowi.

- Ave, a kuku. - Iva Lou szturchnięciem przywraca mnie do rzeczywistości.

- Przepraszam. - Spoglądam na Pearl. Nigdy dotąd nie miała takiego matczynego wyrazu twarzy. Wie, o czym myślę, Pearl zawsze wie. - Chciałabym zaprosić was oboje na świąteczną kolację. - Odwracam się do Ivy Lou i Fleety. - I was. Lyle'a. Dorindę. Małą Jeanine. Wszystkich. - Znów patrzę na Pearl. - Twoją mamę. Ottona i Worleya.

- Cholera. Niech no sprawdzę w kalendarzu. - Fleeta szuka papierosów w kieszeniach. - Dobra, możemy przyjść.

- Na pewno? - pyta Pearl. Wie, że od śmierci Joego nie obchodzę hucznie Bożego Narodzenia. Stawiam drzewko dla Etty, ale nie urządzam przyjęć ani wystawnych wieczy.

- Tak, myślę, że już czas. Mamy co świętować w tym roku. Nową pracę Jacka, bufet, dużo dobrego. - Spoglądam na przyjaciół, by ich upewnić, że naprawdę tego chcę. Wszyscy zgodzili się przyjść; później pogadamy o tym, co mają przynieść. Kolacje w Gap zawsze są zrzutkowe. Uwielbiamy wyciągać garnki i przygotowywać w nich najlepsze potrawy. Pearl i doktor B. idą do sali ryczących dwudziestek.

- Są tacy słodcy. - Iva Lou nie spuszcza z nich wzroku. - Jak romantyczna pocztówka.

- Z Bliskiego Wschodu.

- Jezu, Fleeta. - Iva Lou odwraca się do niej.

- Co?

- Indie nie leżą na Bliskim Wschodzie. Spróbuj się trzymać faktów.

- Nieważne, facet jest czarny.

- To Hindus - poprawia ją Iva Lou.

- Czarny, Hindus, brązowy, wszystko cudzoziemcy. Co za różnica, do cholery? - Fleeta, znużona epoką wiktoriańską, zmierza do sal sprzed wojny secesyjnej. Z holu wybiega Etta.

- Mamo, tylko dotknęłam piernikowej chatki pani Arnold i cały dach się zawalił!

- Uprzedzałam cię, że jeśli czegokolwiek dotkniesz, wracamy do domu.

- Zjadłam tylko kawałek z góry.

- Zjadłaś dach? Etta, musisz natychmiast przeprosić.

- Dajże spokój - mówi Iva Lou, gdy Etta idzie się pokajać. - To przecież drobiazg. Patsy Arnold nie stała się żadna krzywda. Myślałby kto, że jej piernikowa chatka to Kaplica Sykstyńska.

Przepycham się przez tłumy na parter, gdzie wystawiono piernikowe chatki. Widzę w kącie Patsy, lukrem wyciskany z torebki naprawia dziurę w dachu mikołajowej chatki.

- Patsy, tak mi przykro.

- Nic się nie stało. Corey Stidham oderwał i zjadł drzwi, zanim Etta dobrała się do dachu.

- Na pewno?

- Złotko, to dla mnie komplement. Chatka powinna wyglądać tak, żeby ślinka ciekła z ust.

Chodzę po budynku i szukam Etty. Wspinam się po schodach z tyłu i widzę, że siedzi na werandzie, która służy jako rampa załadownicza domu June Tolliver.

- Już przeprosiłam panią Arnold.

- Przykro mi, że krzyknęłam. Ale zaraz przyjdą sędziowie, a ludzie ciężko pracują nad swoimi dziełami.

- Chcę iść do domu.

- Nie widziałyśmy jeszcze wszystkich sal.

- Nie mam ochoty.

- Dlaczego?

- Nienawidzę gwiazdki.

- Chodź, Etta. - Biorę córkę za rękę. - Chcę ci coś pokazać.

W gabinecie urządzono wystawę kołder uszytych przez miejscowe artystki. To ich rodziny dostarczyły te kołdry do muzeum. Dwie z nich są dziełem babci MacChesney. Jedna to kolorowy wzór zwany „ścieżką pijaka”. Kołdrę królewskich rozmiarów uszyto z delikatnej wełny z barwnym dese- niem w płatki i pióra oraz czerwonej, niebieskiej i różowej bawełny w kratkę i delikatne kwiatowe wzory. Kołdra w czerwono-biało-zieloną kratkę na białym tle zdobi najdłuższą ścianę w pokoju. Obok nich widnieje kartka z napisem: NAN GILLIAM MACCHESNEY, 1907-1978. Pokazuję kartkę córce.

- Widzę - mówi znudzona Etta. Dla niej ten pokój to stos starych kołder, które pachną cedrem.

- Widzisz ten ścieg? Jaki drobny? I do tego wszędzie w schodki. Szyła te kołdry niemal rok, a szybko pracowała.

- Dlaczego ty ich nie szyjesz?

- Nie wiem. Właściwie potrafię.

- Twoja mama też szyła?

- Tak.

Etta odchodzi, żeby spojrzeć na dioramę Teatru pod Chmurką. Myślę o tym, czego próbuję na- uczyć swoją córkę - czym jest życie, miłość i rodzina. Jedyne, co chciałam dać Etcie, a czego nie mo- gła dać mi moja matka, to szczęśliwi rodzice. Pamiętam, jak wiele lat temu Jack powiedział, że naj- ważniejszym, co ojciec może ofiarować synowi, jest miłość do jego matki. Może najważniejszym, co matka może ofiarować córce, jest miłość do jej ojca.

Przed doroczną sprzedażą choinek w klubie Kiwanis należy koniecznie się dowiedzieć, kiedy przywiozą drzewka do miasta; jeśli masz za męża członka klubu, jesteś dobrze poinformowana. Potem musisz się ustawić przy wyładunku; tu obowiązuje hierarchia. Najpierw szpitale i kościoły, potem zwykli obywatele. Klub Kiwanis zdominował rynek; nikt inny w mieście nie sprzedaje drzewek. Moż-

na by pomyśleć, że skoro mieszkamy w zalesionych górach, nie musimy importować choinek. Każdy, kto ma odrobinę zdrowego rozsądku, uznałby, że maszerujemy z siekierą do lasu, wybieramy drzewko i po sprawie. Nie wiem dlaczego, ale wcale się tak nie robi. W Big Stone Gap nie ścinamy drzewek, wolimy czekać, aż członkowie klubu sprowadzą je z Kanady.

Otto i Worley kopią dziury w ziemi, tam wtyka się choinki. Pusty parking na rogu naprzeciwko kościoła baptystów z konieczności został salonem wystawowym. Klub sprzedawał choinki przed supermarketem, ale kiedy sklep musiał rozbudować parking, wyasfaltowali teren, klub więc się przeniósł. Otto zapewnia, że wsadzone do ziemi drzewka są świeższe; mężczyźni je podlewają i oporzadzają jak cenne konie wyścigowe. Zawsze wybucham śmiechem, gdy dzień po Gwiazdce drzewka znikają. Ziemia jest pełna dziur po choinkach, wygląda jak pole bitwy krwiożerczych świstaków. I tak czeka aż do następnych świąt.

Mój mąż to nowy członek klubu Kiwanis. Po latach pracy w kopalni może w końcu brać udział w comiesięcznych lunchach w gospodzie Pod Graczem. (Najwyraźniej to podstawa członkostwa w klubie Kiwanis - musisz przychodzić na lunch). Jack czasem grywa w orkiestrze Teatru pod Chmurką, a kiedy są tłumy, sprzedaje w przerwach popcorn i hot dogi z chili w stoisku klubu (dochód idzie na fundusz teatralny), już wcześniej więc był uważany przez wiele osób za jego członka. Ze zdumieniem znaleźli nazwisko Jacka na liście nowo przyjętych i natychmiast wybrali go na skarbnika.

Kiedy jedziemy Topolowym Wzgórzem, widzimy auta porozstawiane wokół targu choinek. Staję pod kościołem baptystów.

- Chodźmy wybrać choinkę.

- Sama idź. Zimno mi.

- No chodź. Będzie fajnie. - Nakładam szminkę, przeglądając się w lusterku wstecznym. - Etta, nie każ się prosić. Nie potrzeba mi w domu marudy, żeby psuła świąteczny nastrój. - Etta wybuchła śmiechem. - Nie żartuję. No chodź, mają gorącą czekoladę.

Niechętnie wysiada z jeepa, a po chwili widzi Jacka.

- Tatuś! - krzyczy i biegnie do niego.

- Sprzedałem trzy srebrne świerki i jedną dagleżję. - Jack całuje mnie w policzek.

- Jestem pod wrażeniem.

- Gdybym wiedział, że wystarczy sprzedawać drzewka... - Uśmiecha się do mnie.

Ponieważ Iva Lou stwierdziła, że muszę ożywić swoje małżeństwo, uważnie słucham wszystkiego, co mówi mój mąż. Teraz zauważam subtelne dowcipy, takie jak ten przed chwilą. Powiedział to jako żart, ale jest w nim ukryte znaczenie. Uważa, że go nie podziwiam, teraz więc, podczas tej walki o jego uczucie, powinnam powstrzymać się od zgryźliwej odpowiedzi, a zamiast tego delikatnie wyprowadzić go z błędu.

- Zawsze jestem pod wrażeniem ciebie i wszystkiego, co robisz. - Ściskam go, patrzy na mnie jak na wariatkę. (Rozumiem, że muszę nieco podszlifować technikę). - Wybrałeś dla nas drzewko?

- Nie, czekałem na ciebie.

- Co ty na to? - Prowadzę go wzdłuż rzędu pachnących daglezji. Przystaję i biorę głęboki wdech. Zimne powietrze i żywica tworzą aromatyczną mieszankę, od której kręci mi się w słowie.

- Ładnie wyglądasz - mówi do mnie mąż. Zamiast burknąć: „Co? Idź do okulisty”, jak dawna, zakompleksiona Ave Maria, nowa, lepsza Ave Maria odpowiada:

- Dziękuję.

Tak naprawdę mam ochotę go złapać, oprzeć o drzewo i spytać: „Zdradzasz mnie?”, ale tego nie robię. Jasne, że nie, mam plan. A ten plan jest taki: trzymać emocje pod kontrolą i odzyskać Jacka. Zamierzam być tak czarująca, żeby nawet nie spojrzał na inną. Iva Lou zaklina się, że tylko dzięki temu można utrzymać miłość mężczyzny, a ponieważ sama nie mam żadnej strategii, wykorzystam strategię przyjaciółki.

- Mamo, patrz! - Etta macha z końca rzędu.

- Etta, skarbie, mamy cały strych ozdób. To drzewko jest za małe.

- Duże też chcę. Do domu.

- Dwie choinki?

- Ta jest dla Joego. - Etta okręca drzewko. - Chcę ją zabrać do Glencoe.

Jack i ja patrzymy na siebie. Jesteśmy pełni podziwu dla naszej córeczki za pomysł zanieśienia drzewka na cmentarz.

- Sama ją ubiorę. Ale możesz mi pomóc. - Etta patrzy na mnie. - Wiem, że jesteś zajęty, tatusiu.

Dobra dziewczynka. Etto, powiedz mu. Od wielu tygodni nie wraca na kolację, pewnie zajada kanapki z Karen Bell, a powinien być w domu, ze mną.

- Przepraszam, że tyle pracuję. - Jack przykłęka obok Etty. - Dopiero założyliśmy firmę, pochłania mi mnóstwo czasu.

- To nic, tatusiu. - Etta wyjmuje gałązkę jemioli z kieszeni i trzyma ją nad głową Jacka. - Mamusi? - Szczerzy zęby.

- Ależ proszę - mówię do córki. Potem rzucam Jacka na ziemię, siadam na nim okrakiem i go całuję. Naprawdę całuję. Nie cmokam, nie muskam jego ust wargami. To prawdziwy francuski pocałunek, taki, o których się plotkuje na szkolnych korytarzach w poniedziałek rano po szalonym party w Huff Rock.

- Boże miłosierny! Wołajcie Specka. Jack potrzebuje tlenu, *pronto!* - mówi głośno Zackie. - Spokojnie, Ave! Baptyści wyrzucą nas z parkingu. - Inni członkowie klubu gwizdzą i biją brawo.

- A co? - Wstaję i strząsam liście z płaszcza. - Czasem trzeba pocałować męża.

- Bylebyś na tym poprzestała - mówi Nellie Goodloe ze stoiska z gorącą czekoladą.

Spoglądam na Jacka, gapi się na mnie, jakby mnie pierwszy raz widział na oczy. I dobrze. Chce nowej kobiety? Ma nową kobietę.

Rozdział piąty

Powell River biegnie wzdłuż Beamontown Road, zimą wygląda jak zardzewiała rura; czerwona glina, szare skały i czarny lód tworzą ścieżkę tam, gdzie wiosną pojawi się woda. Zawsze uważałam, że to wzgórze nad rzeką to doskonale miejsce na cmentarz, ale było to na długo zanim trafił tu ktoś mi bliski.

Ozdobna brama z kutego żelaza rozciąga się między dwoma potężnymi słupami przy wejściu. Napis CMENTARZ GLENCOE otaczają misternie wykute z żelaza kwiaty. Tuż obok wejścia postawiono piękną fontannę; w ciepłe dni woda spływa po marmurowych muszlach do głębokiej sadzawki.

Przywoziłam tu dzieci na święta. Przyjeżdżaliśmy w Dzień Pamięci Poległych na Polu Chwały, urodziny mojej matki i na Gwiazdkę. Na cmentarzu opowiadałam dzieciom o ich babciach. Jack uważał moją sympatię do cmentarza za dziwactwo. Próbowałam mu wyjaśnić, że częściowo wynika ona z mojej katolickiej wiary i włoskiego dziedzictwa; miejsca pochówku są dla nas równie istotne jak salony. W szkocko-irlandzkiej tradycji Jacka cmentarz jest miejscem, które odwiedza się w dniu pogrzebu, a potem jak najrzadziej. Dlatego przychodziłam tu z dziećmi albo sama, czasem tylko żeby posiedzieć i porozmawiać z Mamą.

Cztery lata temu przyprowadziłam dzieci i przystroiliśmy groby Nan MacChesney i mojej matki wieńcami z ostrokrzewu z czerwonymi wstążkami z aksamitu i małymi błyszczącymi wisiorami.

Joe biegał jak szalony wśród nagrobków, śmiejąc się i krzycząc, nawołując Ette, chowając się i pohukując jak sowa albo wyjąc jak upiór. Etta udawała, że się boi, a ja, rzecz jasna, żartobliwie upominałam go za brak szacunku dla zmarłych.

Teraz furgonetka Jacka podskakuje na zwirowej drodze do kwatery MacChesneyów. Małe drzewko, które Etta wybrała dla brata, spoczywa bezpiecznie pod brezentem na platformie. Etta ma ze sobą torbę szyszek, które przyozdobiła siemieniem lnianym, i czerwone wstążki do powieszenia na gałęziach. Owinęła dwie cegły w folię, jak prezenty, by osadzić między nimi choinkę.

W drodze Etta i ja rozmawiamy. Jack spowaźniał w chwili, gdy minęliśmy bramę. Parkuje pod starym drzewem, które każdej jesieni zasypuje ziemię błyszczącymi kasztanami (zbieramy je na szczęście). Nagrobek naszego syna, zwykły czarny marmur z białymi żyłkami, znajduje się blisko sękatych korzeni tego kasztanowca.

Pomagam Etcie wysiąść z samochodu. Jack wyciąga drzewko i stawia je na grobie Joego. Etta obkłada jego pień u podstawy kamieniami, potem ostrożnie lokuje ozdoby na ziemi i zaczyna dekorować choinkę, a Jack ją przytrzymuje.

Podchodzę do grobu matki, też ze skromnego marmuru. Wyrywam kilka chwastów rosnących obok nagrobka. Spoglądam na grób Freda Mulligana i również wyrywam chwasty. Moich rodziców pochowano zaledwie parę metrów od kwatery MacChesneyów (jeden z tych dziwnych zbiegów okoliczności). Stoję już dość długo przy grobie pani Mac, kiedy czuję, jak mąż obejmuje mnie ramieniem.

- Jak Etta radzi sobie ze wstążkami? - pytam.

- Dobrze.

Razem patrzymy na córkę ubierającą choinkę. Kiedy rozgarnia maleńkie gałęzie, żeby umieścić w nich pokryte siemieniem lnianym szyszki, przypomina mi figurkę pasterki, którą moja matka trzymała na nocnym stoliku.

- Wiesz, o czym czasem myślę? - pyta Jack, przytulając mnie.

- O czym?

- Że to wszystko jest jak zły sen.

- Wiem.

- Pamiętasz, jak zaprosiliśmy kolegów Joego z zerówki? - pyta mnie Jack. Zabraliśmy Joego ze szpitala, żeby mógł być z nami w domu, z kotem Sio, we własnym łóżku. Tego ranka Joe czuł się całkiem dobrze i chciał spotkać się z kumplami. Zadzwoiłam do ich matek i zorganizowałam przyjęcie. Chłopcy biegali i bawili się w domu, a potem wyszli gromadą na śnieg. Joe pobiegł za nimi. Dotarł na środek podwórka przed domem, ale nie mógł iść dalej, i ukląkł. Nie zawołał nas. Po prostu tak klęczał i czekał na śniegu. Boże, myślałam, że mi serce pęknie. Kiedy nie mógł już biec.

- Mam nadzieję, że nigdy go nie zapomnimy. - Odwracam się i patrzę na męża.

- Jak moglibyśmy go zapomnieć?

- Nie wiem. Ludzie czasem zapominają. - Tak mocno ściskam Jacka, jakby rozpadał się na kawałki i tylko dzięki mnie jeszcze się trzymał. Zamykam oczy i myślę, że kiedyś byliśmy sobie bardzo bliscy. Co warto zachować w tym życiu? Czego się trzymać? Czy ta wiedza przychodzi dopiero wtedy, gdy to tracisz?

Patrzę na córkę. Etta trzyma czerwoną wstążkę w ręce i obserwuje nas z uśmiechem na ustach.

To nasza najlepsza Gwiazdka. Może dlatego, że Etta znowu ma prawdziwe święta, a może dlatego, że Theodore dotrzymał obietnicy i przyjechał; albo dlatego, że Jack i ja znów się rozumiemy (choćby tylko na moment, choćby wyłącznie na Gwiazdkę, wszystko jedno, jest miło). Osiedliśmy na liściu lilii wodnej spokoju na jeziorze pełnym niepowodzeń i kłótni. Kiedy mówię Jackowi, że siedzimy na takim liściu, puka się w głowę. Im dłużej jednak myślę o tym porównaniu, tym bardziej trafne mi się wydaje. Lilie kwitną na powierzchni ciemnych i mętnych wód. Dużo się dzieje w głębinach tego małżeństwa - nie zapominam o tym ani na moment.

- Mogę pomóc? - Theodore staje za mną, kiedy wkładam drób do piekarnika.

- Zanieś ziemniaki.

- Skarbie, gdzie wino? - chce wiedzieć Jack w drodze po Ettę i gości.
- Na werandzie, w turystycznej lodówce. W lodówce w kuchni stoi galaretka Fleety.
- Nikt tego nie je - szepcze Theodore.
- Ładnie wygląda jako dekoracja stołu.
- Dopóki jaskrawozielona maź nie rozleje się po obrusie.
- Jest Gwiazdka. Zielony pasuje - stwierdzam. - Dziękuję, że przyjechałeś. Że jesteś z nami,

zwłaszcza w tym roku. Dziękuję.

- Masz u mnie dług. Siedziałem do wpół do piątej rano nad tym ubrankiem dla Barbie.
- Wiem.
- Wiem, że wiesz. - Theodore całuje mnie w czoło.

Dzwoni telefon, co najmniej cztery razy; kiedy już mam wrzasnąć, żeby ktoś odebrał, słyszę Ettę w holu.

- *Ciao, Nonno!* - chichocze. Jack macha na mnie, żebym wzięła słuchawkę, i zajmuje się porcjowaniem mięsa.

- Wesołych świąt, Papo.
- Jak tam moja córeczka?
- Świetnie. Szkoda, że cię tu nie ma.
- Jak Gwiazdka?
- Zamieszanie. Szaleństwo. A u ciebie?
- Mama się przewróciła, więc...
- Jak to? Nic jej nie jest?
- Niczego nie złamała, dzięki Bogu. Rozstawia wszystkich po kątach z fotela.

- Mogę z nią porozmawiać? - Ojciec podaje słuchawkę babci; wydaje się zdrowa i pełna wigoru. Streszcza mi rodzinne nowiny w jednym, długim zdaniu, kończąc informacją, że mój ojciec na poważnie spotyka się z pewną kobietą. Ma na imię Giacomina i tylko czterdzieści cztery lata!

- Daj mi Papę do telefonu - mówię jej. Wiem, że ta osoba musi być dla niego ważna; ojciec zawsze miał mnóstwo dziewczyn, ale skoro postanowił przedstawić ją rodzinie, z pewnością coś się święci.

- Tak, to prawda. Kocham tę kobietę - mówi radośnie Papa.
- Weźmiecie ślub? - pytam.
- Myślę o tym. Tak. Wolałbym tylko o tym myśleć i wcale się nie żenić.
- Nic nie rób, dopóki nie przyjadę! - krzyczę do słuchawki.
- A kiedy przyjedziesz?
- Nie wiem. Tak czy owak, obiecaj, że niczego nie zrobisz do naszego przyjazdu.
- Obiecuję.

Jack bierze słuchawkę i rozmawia z moim ojcem. Wchodzę do jadalni i opowiadam Theodore'owi wszystkie nowiny z Włoch, podczas gdy on nakrywa do stołu.

Stół z jadalni, wiejski mebel o grubych nogach, jest zastawiony porcelaną mojej matki, zdobioną wzorem, który zawsze uwielbiałam, zwanym angielskim bluszczem. Wszędzie rozstawiłam kryształowe talerze pełne selerów, marchewek i czarnych oliwek. W srebrnych koszykach leży świeże pieczywo, a na talerzach gości bryłki masła w kształcie świątecznych dzwonek i puchate maślane bułeczki (dzięki, Hope Meade). Przyciemniam światła (na kryształowym żyrandolu matki z domu na Topolowym Wzgórzu) i zapalam spiralne cienkie czerwone świece w gwiazdkowych świecznikach (promocja w aptece).

Wpada Etta i proponuje, że zwoła wszystkich na kolację. Łapie dzwonek i biega po całym domu, pobrzękując w każdym pokoju jak pasterka. Jack żegna się z moim ojcem i idzie do kuchni po indyka. Napływają znajomi, a właściwie nie znajomi, tylko rodzina. Iva Lou i Lyle siedzą naprzeciwko Jacka; Etta obok Ivy Lou; Pearl i doktor B. po mojej lewej stronie, Theodore po prawej, Fleeta, Dorinda i maleńka Jeanine dokładnie w połowie stołu; Otto, Worley i Leah zajmują ostatnie miejsca. W tej pięknej chwili, w otoczeniu najbliższych ludzi, łzy same cisną mi się do oczu.

- Nie płacz, mamusiu - szepcze Etta.

- Nie, nie. Jestem szczęśliwa. Jak to dobrze, że mamy siebie nawzajem.

Moi przyjaciele szemrzą coś w odpowiedzi, nikt nie chce się przyznać do świątecznych wzruszeń, może nawet nie zamierzają poświęcać im zbyt wiele przemyśleń. Ogromnie tęsknię za Mamą; mój ojciec jest za wielkim oceanem, pani Mac umarła. Nie ma mojego syna, który tak kochał Gwiazdkę. Czy patrzą na nas z góry i żałują, że nie mogą być z nami? Przez chwilę spoglądam na świecę, mając nadzieję, że jej płomień pomoże mi się opanować i powstrzyma od wylewania potoków łez wprost w zapiekankę z batatów z delikatną pastą prawoślazową. Doktor Bakagese mruga do mnie. Chyba rozumie, o czym myślę.

- Skarbie, odmówisz modlitwę?

- Katolików czy baptystów?

- Jeśli podliczyć obecnych, to baptystów. Jest nas więcej. - Fleeta liczy protestantów przy stole.

- Nie wiem, doktorze, jaką religię pan wyznaje, ale pewnie jedną z tych, w których trzeba medytować.

- Fleeta, z całym szacunkiem, ale moja córka jest katoliczką - mówi Jack, unikając lokalnej wielkiej schizmy.

- Wszystko jedno. Jezus to Jezus - oświadcza Fleeta.

- W połowie jestem baptystką - mówi Etta, spoglądając na ojca.

- Bo ty jesteś w całości baptystą. To odmówię modlitwę pół na pół. Pochylcie głowy. Boże, baptyści dziękują Ci za indyka. Katolicy dziękują za ciasto...

- A ja chciałbym podziękować sklepowi ABC za whisky. Amen - kończy modlitwę Lyle.

Etta wraz ze mną czyni znak krzyża i wzrusza ramionami. Dzwoni telefon. Moja córka przeprosza gości i idzie odebrać.

- Powiedz temu, kto dzwoni, że jemy wieczerzę! - wrzeszczę, podając Pearl sos do pieczenia.

- To pewnie akwizycja przez telefon - zrzędzi Fleeta.

- W Boże Narodzenie? - zastanawia się Dorinda.

- To najlepszy moment. Wiedzą, że człowiek siedzi w domu. - Fleeta po raz ostatni zaciąga się papierosem, po czym gasi niedopałek w wodzie z rozpuszczonego lodu. Jest tak cicho, że słyszę skwierczenie. Po chwili odkłada mokry niedopałek na talerzyk z chlebem.

- Do ciebie, mamó! - krzyczy Etta, wpadając do pokoju.

- Kto dzwoni?

- Kapitan Speck.

- Zakład, że dzieciak Edenów znów wepchnął sobie guzik do nosa. Ten chłopak wciąż czymś sobie zatyka otwory w głowie.

Przepraszam gości i biegnę do telefonu w korytarzu. Rozmawiam chwilę, po czym wracam do jadalni.

- Muszę iść - mówię gościom. - Przepraszam. Wybuchł pożar w kinie Na Szlaku.

Odsuwają krzesła od stołu, gaszą świece, łapią płaszcze i torby, rękawiczki i czapki.

- Pojedziemy wszyscy - mówi Fleeta. - Pożar może dojść do apteki.

Zamiast się z nią kłócić, patrzę na Iwę Lou.

- Popilnuj Etty, skarbie, dobrze?

- Ja też jadę, mamó!

- Bez obawy, zajmę się nią - obiecuje Iwa Lou.

- Zawiozę was. - Jack pomaga mi zebrać rzeczy.

Kiedy docieramy do miasta, widzimy cztery wozy strażackie przed kinem. Z pierwszego piętra wałą kłęby czarnego dymu; płomienie szaleją w foyer na parterze. Jim Roy Honeycutt, cały potargany, chodzi tam i z powrotem za wozami, ciężko przygnębiony.

- Co się stało?

- Moje kopie! Tam są wszystkie moje filmy! Od samego początku!

Zostawiam Jima Roya jego żonie i nurkuję pod węzami, rozwijanymi z olbrzymich szpul. Strażak z Appalachiei odkręca zawór hydrantu przed sklepem jubilerskim Gilleya. Barney i jego syn w pośpiechu ładują przedmioty z wystawy do worka. Kiedy chwytają aksamitne szyje prezentujące perły i łańcuszki, oczyma duszy widzę Cary'ego Granta w *Złodzieju w hotelu*. Szczęk i zgrzyt wysuwanych w kierunku dachu drabin tłumi głos Specka, który mnie woła. Jack pomagający strażakowi-ochotnikowi nieść nieporęczny wąż, macha na mnie, żebym podeszła do Specka.

Rozlega się seria głośnych wybuchów, z budynku biją kłęby czarnego dymu. Żagwie misternie zdobionego drewna, z którego wykonano profile sztukatorskie, spadają, wzbijając snopy pomarańczowych iskier.

- Ogień musiał dotrzeć do magazynu. Wybuchł olej i popcorn - mówi Speck. Zapach prażonej kukurydzy zupełnie nie pasuje do sytuacji. Popcorn Jima Roya był wyjątkowo smaczny, ludzie wpadali na torebkę, nawet kiedy nie szli do kina.

- W środku jest człowiek! - krzyczy strażak. Speck i ja biegniemy tam z tlenem i noszami.

Ulice pełne są gapiów, głównie sprzedawców. Zackie zbiera ich do kupy, a naczelnik poczty z naprzeciwka odpycha tłum, kierując go na schodki swojego urzędu.

Nagle w chmurze szarego dymu staje w drzwiach kasy kapitan straży pożarnej z ciałem przerzuconym przez ramię. Speck i ja pomagamy mu ułożyć mężczyznę na noszach. Poszkodowany nie oddycha, podajemy tlen. Dołącza do nas doktor Daugherty i to on zajmuje się reanimacją.

- Kto to? - pytam Specka. Nigdy nie widziałam tego człowieka. Speck wzrusza ramionami.

Po drugiej stronie ulicy, przed apteką, grupka naszych gości z wieczerzy świątecznej przygląda się akcji. Pearl łapie Fleetę za rękę, gdy doktor Bakagese pomaga strażakowi, który nawdychał się dymu. Tłum z westchnieniem pokazuje sobie czerwone iskry na dachu, znikające w zimnym powietrzu.

Speck przeszukuje kieszenie mężczyzny, w końcu trafia na portfel.

- Nazywa się Albert Grimes. Z Dunbar. - Dunbar to obozowisko górnicze w Appalachii.

- Ciekawe, czy jest krewniakiem Pearl. - Speck przywołuje ją machnięciem ręki.

- Nie wiem.

- Niech spojrzę. - Pearl staje za mną i pochyla się nad noszami. - To mój ojciec.

- Co takiego? - Speck patrzy na nią, a potem na mnie.

Nie miałam pojęcia, że ojciec Pearl żyje i mieszka gdzieś w okolicy. Patrzę na nią, nie odrywa wzroku od mężczyzny na noszach. Nie boi się o niego, w jej oczach widzę obojętne zainteresowanie, ale z pewnością nie troskę. Speck i ja przenosimy mężczyznę na wóz Brygady Ratowniczej. Znowu spoglądam na Pearl i jakimś cudem nie zarzucam jej pytaniami - to nie jest odpowiedni moment.

- Budynek jest pusty? - wrzeszczy komendant do załogi. - Do roboty, chłopaki!

Pospiesznie zaczynają oblewać budynek wodą z węży; złociste płomienie gasną, pojawia się czarny dym.

Doktor Daugherty jedzie wraz z Albertem Grimesem z tyłu wozu. Spieszymy do szpitala Samotnej Sosny w odległości pięciu minut drogi przez centrum, w południowej części miasteczka. Strażak, którym zajął się doktor B., nie wymagał podania tlenu, ale pędzi za nami w wozie Brygady Ratowniczej z Appalachii na badanie w szpitalu.

Albert się budzi i jęczy; jego niebieskie oczy są nieprzytomne, nie może się skupić. Przywozimy go na izbę przyjęć. Tozz Ball zamierza mu zadać parę pytań, ale Speck prosi, żeby z tym zaczekał. Pearl i Leah wchodzą przez automatyczne drzwi i szukają Alberta. Pearl widzi go przez okno na OIOM-ie, idzie tam, Leah podchodzi do nas.

- Nic mu nie jest? - pyta.

- Raczej nie. Nawdychał się dymu.

- Nie chciał zrobić nic złego.

- Na pewno nie. - Obejmuję Leę ramieniem.

- W zasadzie to poczciwy człowiek. Po prostu mu nie wychodzi.

- Co?

- Wszystko. Nie układało się nam. Jako inwalida stracił pracę na kolei, a potem już wszystko potoczyło się jak lawina. Zagubił się. - Leah wchodzi na OIOM. Obejmuje Pearl, która kładzie głowę na ramieniu matki.

Nie mogę uwierzyć, że Leah usprawiedliwia człowieka, który porzucił ją i małą córeczkę. Już go nie kocha; zamierza wyjść za Worleya. Może po prostu mu współczuje. Litość kobiet bywa niebezpieczna: przez nią mężczyzna traktuje kobietę, jak zechce; może zostać i zachowywać się niegodziwie, może odejść. Kiedy patrzę na Pearl, wspartą na ramieniu matki, myślę o Mamie, na którą zawsze mogłam liczyć w cierpieniu. Żalowała mojego ojczyma, Freda Mulligana, współczuła człowiekowi, któremu zabrakło uczuć, i w rezultacie czułam to samo: litość do człowieka, który nie mógł mnie pokochać.

- Myślę, że powinniśmy wrócić i sprawdzić, co z Jimem Royem. Przez to może się załamać - mówi do mnie Speck, a ja idę za nim do wozu.

Parkujemy przed apteką. Fleeta ją otworzyła, pozapalała światła i wygląda na to, że ściągnęło tu całe miasteczko. Mechaniczny chór w oknie kiwa głowami i macha jak gdyby nigdy nic. Na ulicy przed kinem parkuje tylko jedna furgonetka. Jack Mac i Etta stoją na chodniku przed apteką, obserwując strażaków zabezpieczających budynek.

- Mamo, patrz! - Etta wskazuje na spalony szyld na fasadzie budynku.

Przed pożarem na szyldzie królowała zielona sosna i plastikowy napis NA SZLAKU. Pod nim zawsze widniał tytuł filmu albo przynajmniej coś na jego podobieństwo. Z biegiem lat litery gubiły się albo pękały, a Jim Roy ich nie uzupełniał. Dlatego też można było zobaczyć *MINE Z WIATR* zamiast *Przeminęło z wiatrem* albo *LA 42* zamiast *Lato '42*. Teraz nowoczesny plastik zniknął, pod nim widnieją rzeźbione w drewnie duże litery ZADZIWI.

- Zadziwi? Kogo zadziwi? - pytam męża.

- Zadziwienie.

- Zadziwienie? Co to takiego?

- To było pierwsze kino w Big Stone Gap. Zanim Jim Roy kupił ten budynek i go zmodernizował. Mama mi o tym opowiadała. Oglądali tu nieme filmy. Lilian Gish, Bustera Keatona, Charliego Chaplina. Były też organy i scena. Przed każdym pokazem stary Possum Hodgins, właściciel kina, wychodził na scenę i mówił publice: „Dzisiaj czeka państwa Zadziwienie”.

Spoglądam na stary afisz i mam dreszcze. Jak dziwnie jest ujrzeć przeszłość pod warstwami teraźniejszości.

- Skarbie, jest zimno, wejdź do środka - zachęcam córkę.

- Fleeta otworzyła bufet. Rozdaje placek, ciastka i kawę - mówi Jack Mac. Nie jestem zdziwiona. Fleeta uwielbia narzekać, ale gdy nie jest w centrum zainteresowania, czuje, że życie ją omija.

Speck jest pod kinem wraz z grupką strażaków. Jim Roy stoi przed nimi, coś tłumaczy. Biorę Jacka za rękę i przechodzimy na drugą stronę ulicy.

- Nie ma. Nie ma - powtarza ze smutkiem Jim Roy. - Wszystkie moje filmy. Wszystkie taśmy spłonęły. Całe lata zbierania. Nie ma.

- Kilka udało się uratować, proszę pana. - Podchodzi do nas strażak, może dwudziestoletni chłopak, i pokazuje Jimowi Royowi stosik puszek z czarnej blachy, które wyciągnął i położył w drzwiach sklepu jubilerskiego Gilleya. Na ten widok w oczach Jima Roya pojawia się radość.

- Masz tu latarkę - mówi Speck do Jima Roya, który rusza do puszek i głaszcze je jak dzieci. - Zobaczmy, co zostało, stary - mruczy Speck. Odczytuje napisy z boku taśmy, podczas gdy ja trzymam latarkę: - *Pościg za cieniem, Tańcząca dama, Mój Godfrey, Dylizans, Dziedziczka, Północ* z Donem Ameche i Claudette Colbert. Byłaby tragedia, gdyby się spaliły. - Speck przegląda taśmy. - Tu jest jeszcze *Matka kawalera*, tak, Ginger Rogers była w nim bardzo seksowna. *Barretowie z Wimpole Street, Topaz, Duma i uprzedzenie, Jezebel, Ich noce...*

- Clark Gable! - piszczę. Speck rzuca mi wymowne spojrzenie.

- Jest jeszcze *Duch i pani Muir, Pieśń o Bernadecie, Brawura, Wichrowe Wzgórze, Kolacja o ósmej, Żegnaj Chips, Kobiety, Podróże Sullivana*; znowu Claudette w *Opowieści z Palm Beach, Duke*¹ w *Spokojnym człowieku, Zielona dolina*, Bogu dzięki, ocaliliśmy chyba większość filmów z Maureen O'Harą. O, patrzcie, Henry Fonda w *Szlaku samotnej sosny*. Tutaj, Jim Roy!

- A Kay Francis? Miałem wszystkie filmy Kay Francis - pyta nerwowo Jim Roy.

- Tu są. - Speck pokazuje Jimowi Royowi stosik jej filmów na ziemi. Kładzie na górze podwójną rolkę. - *Wielka nagroda...* To ulubiony film Etty, prawda? - Potakuję.

¹ The Duke, Duke - pseudonim Johna Wayne'a.

Jim Roy oddycha głęboko. Większość jego skarbów ocalała, uratował je dzieciak, który pewnie nie odróżniłby Spencera Tracy'ego od Joela McCrea. Fotele, ekrany i maszyny do popcornu można wymienić, ale taśm zbieranych przez Jima Roya przez całe życie już nie.

- Chodź, Jimmy Roy, idź z żoną do apteki. Fleeta zaparzyła kawy. - Jack obejmuje Jima Roya, ale staruszek wciąż tkwi w miejscu. Spogląda na swoje kino.

- Nie do wiary. I to na Boże Narodzenie. - Wzdycha ze smutkiem.

Gdy wchodzimy do apteki, ludzie gromadzą się wokół Jima Roya i jego żony. Wkrótce dzielimy się na grupki w boksach albo siadamy wokół bufetu, wspominając ulubione filmy lub pierwszy film, który widzieliśmy w kinie Na Szlaku. Theodore, wybrany przez Fleetę na kelnera, rozdaje placek. Fleeta zdziera celofan i czerwoną świąteczną wstążkę z bombonierki i częstuje ludzi czekoladkami.

Leah i Pearl niepostrzeżenie wchodzą przez kuchnię i dołączają do nas; Worley spieszy do Lei, a ona opowiada mu o Albercie. Ludzie zbierają się wokół Pearl, która mówi, że nic mu nie będzie. Tutejsi mieszkańcy nawet nie znają jej ojca, ale są wyraźnie przejęci.

- Nie zaproszył ognia - szepcze do mnie Otto.

- Skąd wiesz?

- Komendant mi powiedział. Mówi, że to elektryka w systemie nagłaśniającym. Powinienem powtórzyć to Pearl, prawda? - Otto idzie podzielić się z nią nowiną.

Nellie Goodloe, ubrana w czerwony aksamitny kostium, ozdobiony broszką w kształcie choinki i z migoczącymi drzewkami w uszach do kompletu, wstaje i uspokaja towarzystwo.

- Chcę ci coś powiedzieć, Jimie Royu. Chcę, żebyś wiedział, że przeżyłam swój pierwszy pocałunek w kinie Na Szlaku w 1942 roku. - W aptece słychać pełne aprobaty gwizdy. - Owszem, moi drodzy. Robert Taylor pocałował Vivien Leigh na srebrnym ekranie, a na balkonie Speck Broadwater pocałował mnie. Nigdy tego nie zapomnę.

Tłum wiwatuje, Speck robi się czerwony jak burak, przybrał barwę swojej flanelowej koszuli. Żona Specka, Leola, w modnym kostiumie w bałwanki, rzuca mężowi krzywe spojrzenie. Po chwili jednak zaśmiewa się z własnej zazdrości. Fleeta staje na taborecie za ladą.

- Nellie, chcę wiedzieć jedno. Czy stary Speck wiedział, co robi?

- Skarbie, zapewniam cię, że tak - odpowiada Nellie z godnością. Fleeta wywija szmatą w powietrzu jak flagą. Etta śmieje się ze

wszystkimi i nagle wygląda strasznie dojrzałe.

- Chyba odbyła pierwszą lekcję uświadamiającą - szepczę do Jacka.

- Mogło być gorzej - odszeptuje.

Mimo pożaru po powrocie do domu zmywam. Jestem jedną z tych osób, które zanim się położą, muszą umyć i odstawić na miejsce każdy talerz. Na szczęście Theodore też tak ma, w przeciwieństwie do mojego męża. Jack położył Ettę do łóżka i sam poszedł spać.

- Może jutro zabiorę małą do jaskini Cudjo - mówi Theodore, odstawiając resztki do lodówki.

- Będzie zachwycona.

- A jak ty i twój mąż spędzicie wolny dzień?

- Nie wiem. - Naprawdę. Nigdy jeszcze nie miałam wolnego dnia z Jackiem.

- Wymyśl coś przyjemnego, co moglibyście zrobić razem. I nie chodzi mi o czyszczenie piekarnika. Zajmę się Ettą aż do kolacji. Możecie uprawiać dziki seks pod naszą nieobecność.

- Dzięki.

- Nawet się nie zarumieniłaś. Co się z tobą dzieje?

Patrzę na niego, wybucha śmiechem. Idzie do jadalni po ostatnie talerze, podczas gdy ja szoruję zlew i myślę o dzikim seksie. Nie o dzikim seksie jako takim, zastanawiam się tylko, gdzie zniknęło moje życie intymne. Nasze życie intymne. Przed wyjściem za mąż myślałam, że jestem ostatnią osobą na świecie, która zamiast namiętności wybierze wygodę, potem rutynę, a teraz... Sama nie wiem, odosobnienie. Myślałam, że potrzeba bliskości, fizycznej bliskości, w małżeństwie wzrasta. Nikt mi nie powiedział - może nie mógł - jaka jest prawda. Seks w małżeństwie stanowi formę porozumienia. Kiedy ludzie przestają się dotykać, jest tak, jakby przestali rozmawiać. Zadowolenie się rzuconym od niechcienia „cześć”, cmoknięciem w policzek i uściskiem (bardziej po to, by zebrać siły niż wyrazić bliskość) oznacza poważne kłopoty. A one nie przychodzą po jednym dniu czy jednym wydarzeniu. Na początku przestajecie się całować, bo jesteś zła na męża i w ten sposób chcesz to okazać. Potem, kiedy dociera do niego, że nie całujesz go celowo, dostosowuje się do nowej zasady: zraniłeś mnie, skrzywdziłeś, rozczarowałeś, koniec z całowaniem. Potem, gdy pocałunki są rzadkością, to samo dzieje się z seksem. Nie sposób uprawiać seksu bez całowania ukochanego. Ktoś kiedyś powiedział, że seks to temperatura małżeństwa; ma znaczenie tylko wtedy, gdy coś jest nie tak. Święte słowa. Nikt jednak nie uprzedza, że kiedy już przestaniecie uprawiać seks, trudno zacząć od nowa. Czasem widzę, jak mój mąż robi zwykłe rzeczy, na przykład rozładowuje furgonetkę czy układa drwa w stos albo, jak dzisiaj, kroi indyka, i korci mnie, by podbiec do niego, powiedzieć, jak wiele dla mnie znaczy i jak bardzo chcę się z nim kochać, i zapomnieć o całym świecie. Nie robię tego. Może z obawy, że mnie odrzuci, a może takie jest życie - zawsze coś staje na przeszkodzie. Czas, praca, Etta, firma albo coś innego, co trzeba zrobić. Potem człowiek zapomina. Zawsze najłatwiej zrezygnować z seksu, bo to jedyna rzecz, która może poczekać. Kto by pomyślał, że najbardziej naturalna czynność pod słońcem stanie się najmniej osiągalna?

Jack chrapie, kiedy wczółguję się do łóżka; delikatnie go trącam, przewraca się na bok. Jutro pośpimy dłużej, skoro Theodore zabiera Ettę na grotolazią wyprawę. Tonę w miękkiej flanelowej pościeli jak łyżka w sosie do pieczenia. Jack otwiera oczy.

- Myślałam, że śpisz.

- Mam pomysł - mówi i poprawia się na poduszce.

- Tak?

- Chyba powinniśmy latem zabrać Ettę do Włoch, do twojego taty.

- Poważnie?

- Nie sądzisz, że jest już dość duża?

- Pewnie.

- Wygraliśmy przetarg na odnowę centrum rekreacji w Appalachii. Dostaniemy trochę pieniędzy. Jeśli teraz kupisz bilety, sporo zaoszczędzimy.

- Dobrze. Zajmę się tym.

- Cieszysz się? - pyta.

- Mój Boże, pewnie! - Całuję go na dobranoc.

Jack przetacza się na bok i ziewa. Zaraz znowu będzie chrapał. Nigdy nie widziałam nikogo, kto zasypiałby równie szybko jak mój mąż. Włochy. Lato. To jeszcze tyle czasu. Cieszę się, że dostał tę pracę. O dziwo, od tamtej kłótni nie wspomina o tym, że jestem współniczką Pearl. Okazało się, że najlepiej zostawić to w spokoju. Choć sądzę, że dobrze znam Jacka MacChesneya, wciąż mnie zdumiewa jego reakcja na pewne sprawy. Na to, co rani jego uczucia, na to, o czym nie pomyślałam. Czasem dzieli nas przepaść: on nie wie, co myślę, a ja nie zawsze wiem, co on czuje. Nigdy bym nie pomyślała, że rodzinne finanse to jakiś problem. Na początku oboje chcieliśmy wszystko dzielić po równo. Po urodzeniu dzieci musiałam przejść na pół etatu; w końcu dom należał do nas, a pensja Jacka nam wystarczała. Może kiedy to on był głównym żywicielem rodziny, po staroświecku czuł, że kontroluje własne życie. Może podobało mu się to, że przede wszystkim on nas utrzymuje. Czyżby Iva Lou miała rację? Chodzi o męskie ego? Czy też nasze kłótnie o pieniądze tak naprawdę dotyczą czegoś innego - czegoś, co przeraża nas oboje, wykorzystujemy więc finanse jako pretekst? Czasem w tym łóżku leży całkiem obca osoba - myślę, że to ja.

Moim poświęconym prezentem dla samej siebie jest telefon do Gali Nuccio, właścicielki biura podróży. Gala stała się ważną częścią naszego życia, kiedy Jack przed laty znalazł ją w nowojorskiej gazecie: zaplanowała podróż, dzięki której po raz pierwszy zobaczyłam tatę i babcię.

Wycieczki Gali to teraz niedościgły wzorzec wyjazdów autokarowych dla Amerykanów włoskiego pochodzenia; ostatnio nakręciła pierwszą telewizyjną reklamę (puszczają ją w Nowym Jorku, Connecticut, New Jersey i Pensylwanii). Wysłała nam kasetę wideo: oto ona, włoska bogini o złotej skórze i pięknie uczesanych czarnych lokach z rdzawymi pasemkami, pełnych karmazynowych ustach, strzelistych czarnych brwiach, w zabójczym błękitnym kostiumie od Chanel ze złotymi łańcuszkami na kieszeniach. Dłońmi o zadbanych paznokciach z francuskim manikiurem wskazywała widoki z Włoch. Rzym, Florencja, Capri i Mediolan śmigały, jedno po drugim, z naddźwiękową prędkością w pokazie przezroczy. Potem, na samym końcu reklamy, Gala siadała na walizce, celując palcem w swój numer telefonu, pulsujący na czerwono, biało i zielono.

- Gala Tours - odzywa się recepcjonistka po odebraniu telefonu.
- Jest Gala?
- Kto chce mówić z panią Nuccio?
- Proszę jej powiedzieć, że córka Maria da Schilpario.
- Proszę czekać. - Już po kilku sekundach słyszę głos Gali po drugiej stronie.
- Matko święta, to ty, siostrze? - wrzeszczy Gala do telefonu.
- To ja. Zrezygnowałaś z nazwiska? Teraz jesteś gwiazdą, jak Cher albo Liberace?
- Albo Bóg - zaśmiewa się Gala.
- Jak się miewasz?
- Fantastycznie. - Nagle Gala obniża głos i mruczy: - Żebyś wiedziała, moja droga.
- Kto to taki?
- Nazywa się Toot Ruggerio. Mieszka na Manhattanie. W Małej Italii. Jest bardzo zapracowany.

I dobrze prosperuje. Mieszka w tym samym mieszkaniu, w którym się wychował. Rozumiesz, ustawa o kontroli czynszów. Jest zaprzyjaźniony z tamtejszym senatorem. Nazywają go senator Pothole¹.

- O, Toot pracuje w rządzie?

- Pudło. W budownictwie. Skarbie, mogą to sobie nazywać polityką, ale Bogiem a prawdą, to tylko budownictwo.

Opowiadam Gali o nowej firmie Jacka.

- Nie mogę uwierzyć, że twój Jack i mój Toot robią w tym samym. Łączy nas jakaś karma, ciebie i mnie. Na pewno znałyśmy się w poprzednim życiu. Wróżka twierdzi, że byłam gemmologiem w Kalabrii. Następnym razem muszę ją zapytać o ciebie. Potrafi to odczytać ze zdjęć, wysyłają wibracje. Zaniósę jej gwiazdkowe fotografie Etty. - Gala opowiada mi o swojej firmie, jak rozwija się w ekspresowym tempie; kiedy wchodzi do centrum handlowego Short Hills, wciąż jest zaczepiana, bo ludzie rozpoznają ją z telewizji.

¹ Senator Pothole - Alfonse D'Amato, zwany Pothole (Koleina, Wybój) ze względu na zainteresowanie codziennymi bolączkami wyborców.

- Nie przejmuj się, skarbie. Mam do tego odpowiedni dystans. Sukces nie zmienił La Nooch. Tak nazywa mnie Toot: La Nooch. No dobrze, może i mam pieniądze, wpływy i występuję w telewizji. Ale uwierz mi, że tak naprawdę sukces nie uderzył mi do głowy.

- Gala, mam dla ciebie zadanie.

- Tylko wezmę ołówek. Na kiedy?

Podczas rozmowy z Galą wyobrażam sobie Jacka i siebie w Santa Margherita, na wybrzeżu Morza Śródziemnego, w nadmorskim porcie, gdzie po błękitnej wodzie pływają białe żaglowce, sieci pełne są lśniących różowych ryb, a kocie łby oświetla srebrny księżyc. W tych okolicznościach mąż znowu się we mnie zakocha. Jestem tego pewna.

Jadę Valley Road, zmierzam do Norton. Pearl chce, żebym obejrzała budynek apteki; umowa została zawarta tydzień po świętach. Nietrudno się zorientować, gdzie będzie nasz lokal, w oknie wisi zezwolenie na budowę. Pearl czeka na zewnątrz.

- Chciałam zatrudnić MR. J, ale są zajęci.

- W porządku. Co u taty?

- Wyzdrowieje.

- Po mieście krążą różne plotki.

- Wiem. - Pearl marszczy brwi.

- Co robił w kinie? - pytam ją łagodnie.

- Spał.

- Ale podobno mieszka w Dunbar.

- Niezupełnie. Po tym jak opuścił mamę i mnie, zamieszkał w Dunbar z pewną kobietą, ale wyrzuciła go po paru latach.

- Kiedy ostatnio go widziałaś?

- Z miesiąc temu. Odwiedza mnie dwa razy w roku. Przychodzi po pieniądze. - Pearl opuszcza wzrok, gdy to mówi. - Daję mu trochę, zawsze obiecuje, że mi odda, a potem znika.

- Jak cię znalazł?

- Widział moje zdjęcie w gazecie, kiedy skończyłam studia.

- Twoja mama wiedziała?

- Tak i nie odwodziła mnie od tych spotkań. Kiepsko się czuję. Pan Honeycutt nie wiedział, że on tam jest. Tata wkradł się przez stary kanał wentylacyjny za ekranem.

- Nie przejmuj się. Jim Roy skacze do góry z radości, że ocalała jego kolekcja.

Pearl pokazuje mi plan apteki - tu nie będzie bufetu, właściwie same lekarstwa oraz parafarmaceutyki i kosmetyki. Mówi, że dzięki sukcesowi naszego bufetu w ciągu roku zdoła spłacić pożyczkę w banku.

- Lepiej wróć do miasta. Mamy wyprzedaż. - Odwracam się, żeby wyjść. - Pearl, gdzie teraz jest twój tata?

- Załatwiłam mu mieszkanie w Appalachii. Nie wiem, czy skorzysta.

- To wszystko jest bardzo skomplikowane, nie sądzisz?

- Nigdy tego nie rozgryzę, prawda? - odpowiada pytaniem.

- Pytałaś go kiedyś, dlaczego was zostawił?

- Tak.

- I co odpowiedział?

- Że zbyt by cierpiał, gdyby został. - Pearl wzrusza ramionami. - Nie rozumiem. Ale tak to już jest.

Poświęteczna wyprzedaż w aptece to cyrk. Wszystkie świąteczne dekoracje, papier do pakowania, wstążki i upominki przeceniłyśmy o połowę. Jean Hendrick dwa razy załadowała cały bagażnik. Pani Spivey i Liz Ann Noel niemal złapały się za łby, walcząc o mechanicznego anioła, przecenionego o siedemdziesiąt pięć procent (stracił skrzydło). Peggy Slemple kupiła ostatnie trzy pudełka czekoladek Whitmana (resztę zjedliśmy po pożarze) za pół ceny (ona je mrozi!).

- Żre te czekoladki przez cały rok. Jest strasznie skąpa. Koszmarna sknera - prycha Fleeta, ale i tak je sprzedaje.

Podczas lunchu w bufecie są tylko miejsca stojące. Ostatnio Tayloe Lassiter została kierowniczką sali, wita i sadza gości. Pomagają jej dwie uczennice z klubu Przyszłych Liderki Biznesu pana Curry'ego. Otto i Worley zaproponowali, że w wolnym czasie mogą gotować, całkiem nieźle im idzie.

Gdy zamykamy, jesteśmy wykończone. Fleeta zatrzaskuje drzwi za Reidą Rankin, która wykupiła kilka ostatnich pudeł świątecznych lampek.

- Siedziałaby tu całą noc, gdybym jej pozwoliła - narzeka Fleeta, zapalając papierosa.

- Co za dzień! - wzdycha Pearl, wyłaniając się z zaplecza.

- Kto jest głodny? - chce wiedzieć Fleeta.

- Muszę iść - oznajmiam.

- Jeszcze nie - mówi stanowczo. Ktoś puka do drzwi.

- Niech się wypchają! - wrzeszczy Fleeta, wracając do bufetu. Okazuje się jednak, że przyszła Iva Lou, więc ją wpuszczam.

- Odłożyłaś mi te kartki z wioską pod śniegiem Delacroix?

- Za kasą leżą ostatnie trzy pudełka.

- Dobra dziewczynka.

- Jesteś głodna?

- Skoro nalegasz.

Jeśli sprzedawczynie (Fleeta i ja) są wykończone, to co powiedzieć o personelu z bufetu? Otto nalewa sobie coli, Worley, który skończył jako kelner, bo Przyszłe Liderki Biznesu pogubiły się zupełnie, siedzi w boksie z nogami w górze.

- Mówię wam, wszyscy tacy byli głodni, że zjedliby zdechłego szczura - oświadcza Otto.

- To przez wyprzedaż - wzdycha Pearl.

- O czym wy mówicie? - Fleeta odgryza kęs czerstwego pączka.

- Podczas wyprzedaży ludzie wręcz się ślinią na myśl o możliwości kupienia czegoś po okazyjnej cenie. To normalna fizyczna reakcja - korzystne transakcje są podniecające i ludzkie ciało o tym wie.

- To działa tylko na kobiety - stwierdza Worley.

- Nie, na wszystkich. Popatrz na mężczyzn, kiedy do komisji Legga przyjeżdżają nowe furgonetki, to się przekonasz - zapewnia go Pearl.

- Myślałam, że baptyści i metodyści zaczną się okładać pięściami o te religijne pocztówki, które sprzedajecie po dwie w cenie jednej - mruczy Otto.

- Wygrali baptyści. Wiadomo, mają więcej krzepy. - Fleeta rozstawia talerze. - Chodźcie, zorganizujemy szwedzki bufet. - Wyciągnęła wszystko, co zostało w bufecie - cztery kawałki placka, kokosowego i wiśniowego („Wybierajcie” - mamrocze), talerz ciasteczek owsianych, dwa rogaliki z serem i kilka porcji galaretki z małą gwiazdką z bitej śmietany w samym środku.

- Kawa jest świeża - mówi lekko speszona, jakby przepraszała za te przypadkowe resztki.

- Kazałaś mi zostać, żebym to zjadła?

- Niezupełnie. Czas zacząć zebranie. Kto powie Ave, co słyszałyśmy w Coeburn? - pyta Fleeta.

Iva Lou patrzy na nią tak, jakby chciała ją udusić.

- Co słyszałyście?

- Powiem ci jedno: nie wkurzaj się na posłańca.

- Nie będę, Fleeta.

- No dobra. Oto, co wiem i od kiedy. Pearl wysłała mnie do Norton, żebym zrobiła parę rzeczy w nowym sklepie. - Fleeta patrzy na Pearl, która kiwa głową. - Kiedy tam byłam, coś usłyszałam. Ale jak mawiała moja mama, można złożyć do kupy to, co słyszysz ty i co słyszy ktoś inny, i nie usłyszeć nic. - Potakuję. Jej wywody są kompletnie pozbawione sensu, ale najwyraźniej je sobie przygotowała, więc nie przerywam. - Mam tam kuzynkę. Chyba ją poznałaś. Veda Barker. Taka malutka, bardzo religijna. Była na zebraniu w Coeburn, mówili o renowacjach ratusza i tak dalej, i podobno, że MR. J wygrali przetarg.

- Wiem, że wygrali przetarg w Coeburn.

- Tak, ale nie wiesz, że to ta Karen Bell się za nimi wstawiła.

- Głosowała za firmą Jacka. No to co z tego? Zarządza tartakiem Lucka, zaopatrują MR. J w materiały.

- Karen Bell leci na twojego męża. Obudź się wreszcie.

- Fleeta, nie tym tonem - upomina ją łagodnie Pearl.

- Dlaczego mam się budzić? - pytam niewinnie. Nagle uświadamiam sobie, że żony postępują tak od wieków. Kupujemy czas, udając, że nie wiemy, o czym mówią ludzie, gdy dyskutują o naszych

mężach, o tym, jak spędzają czas i z kim. Dzięki temu udawaniu będę mogła stąd wyjść, odetchnąć świeżym powietrzem i pomyśleć.

- Karen Bell opowiada wszystkim, że zakochała się w twoim mężu. Może to nic takiego. Może to tylko plotki. - Pearl obejmuje mnie ramieniem.

- Akurat. To jedyna historia krążąca po Wise County, która ma ręce i nogi. Poważnie, nie możesz puszczać męża do Coeburn i oczekiwać, że sam znajdzie drogę do domu. To zbyt daleko od Craker's Neck. Zagubił się. Musisz zmusić go do powrotu albo zniknie na zawsze, zobaczysz. - Fleeta siada. Nigdy nie widziałam, żeby była tak przygnębiona.

Też siadam. Muszę.

- No dobrze, słucham.

- Śledziłem tę kobietę - oznajmia Otto. - Nie jestem z tego dumny, ale ją śledziłem. Wiem, gdzie mieszka. I wiem, kto ją odwiedza.

- Widziałeś... - Patrzę na Ottona, ze smutkiem odwraca wzrok. - No cóż.

Wpatruję się w swoje dłonie, jakbym widziała je po raz pierwszy w życiu. Nie wiem, co mam powiedzieć swoim przyjaciółom. Mam zdradzić, że już dawno dostrzegłam sygnały, że coś podejrzewałam? Że gdy pierwszy raz zobaczyłam Karen Bell, ogarnęły mnie złe przeczucia? Chcę się otworzyć i wyznać im wszystko, ale nie mogę.

Powstrzymuje mnie lojalność wobec męża, który zapewne jest niełojalny wobec mnie.

- Muszę się przewietrzyć - mówię im. Wstaję, oni też, taborety koszmarnie głośno szorują po linoleum.

Iva Lou idzie za mną do jeepa i wskakuje na fotel pasażera. Wiem, że muszę przekręcić kluczyk w stacyjce, żeby uruchomić silnik, ale nie mogę.

- Posłuchaj, nic jeszcze nie jest przesądzone.

- Myślisz, że to prawda?

- Próbowałam ci powiedzieć. Słyszałam rozmaite rzeczy. Wiesz, jak rozchodzą się plotki.

- Co mam robić?

- Nic.

- Nic? Jak mogę nic nie robić?

- Nie wiemy, jak daleko się posunęli. Poza tym znam twojego męża, wątpię, żeby ją kochał. Nie mógłby. Myślę, że kocha tylko ciebie, naprawdę, masz szczęście. Ale i poważny problem.

- Co? - O czym ona mówi? Co mogłoby być gorsze?

- Twój problem to Karen Bell. Pragnie go, i to baaaardzo. To fakt. Słyszałam tę nowinę z ust jej najlepszej przyjaciółki, Benity Hensley z okręgowej biblioteki. Ona mi powiedziała.

Kim są ci wszyscy ludzie, ci nieznajomi, którzy znają moje nazwisko i moje sprawy? Czego chcą? Co ich obchodzi ja i moja sytuacja? Hałas w mojej głowie się nasila, a Iva Lou ciągnie:

- Z Karen Bell sobie nie poradzisz. To wariatka, kompletnie nieprzewidywalna osoba, poza tym geniuszka, zachowuje się jak pewna siebie i fachowa profesjonalistka. Miała wielu mężczyzn. Czego akurat nie należy osądzać. - Jasne że nie. W końcu wypowiada się Iva Lou, bogini plotek z Big Stone Gap.

- Nie chcę nic więcej słyszeć.

- Posłuchaj mnie. Mam doświadczenie w roli Tej Drugiej. Nie sędzę, aby istniała jakakolwiek sytuacja, w której przy tej czy innej okazji się nie znalazłam. Dzięki temu jestem twoją tajną bronią. Wiem, jakimi kartami gra Karen Bell. Nie wymyśli niczego, czego wcześniej nie widziałam albo nie zrobiłam. - Iva Lou szuka papierosa w torebce. - Musisz mnie wysłuchać, bo wiem, o czym mówię. Niektórym Tym Drugim zależy tylko na zabawie, wspólnej kolacji, kinie i ekscytującym seksie; inne Te Drugie szukają męża. I nie odpuszczają. Nie spoczną, póki nie dostaną tego, czego chcą, a wtedy jest już za późno dla wszystkich. Karen Bell ma trzydzieści cztery lata...

- Ma co najmniej czterdziestkę!

- Skarbie, ma trzydzieści cztery lata. Speck sprawdził to w Wydziale Ruchu Drogowego.

- Speck! - Uderzam ręką o kierownicę. Czy wszyscy w Wise County wiedzą już o moich sprawach?

- Ma tam znajomości. Musieliśmy mu powiedzieć. Skarbie, już ci tłumaczę, w czym rzecz. Ona chce wyjść za mąż, urodzić dzieci i uważa, że Jack Mac ma dobre geny. Powiedziała Benicie Hensley, że Jack MacChesney to jeden z najmądrzejszych ludzi, jakich spotkała, mężczyzna z ogromnym niezrealizowanym potencjałem. Jak ci się to podoba? Karen Bell, specjalistka od potencjału. Mało nie puściłam pawia.

- Też chce mi się rzygać.

- Wiem, wiem. Tak się cieszę, że wyszłam za mąż i już nie rozrabiam, bo czuję się brudna na myśl o bólu, którego przysporzyłam innym jako Ta Druga. Nienawidzę się za to, może nie do końca, ale z pewnością przez wzgląd na ciebie.

- Co mam zrobić? - patrzę na Iwę Lou. Korci mnie, żeby wyrwać jej papierosa i się zaciągnąć.

- Nie możesz zdradzić przed Jackiem, że cokolwiek wiesz.

- Dlaczego? Gdybym temu zapobiegła... - Nagle milknę. Czemu zapobiegła? Ich pierwszemu pocałunkowi? Pierwszemu zbliżeniu? Ich miłości? Jego wypadku? Ich weselu nad jeziorem Big Cherry z moją Ettą w roli dziewczynki niosącej kwiaty w orszaku weselnym?

- Oto, co powinnaś zrobić. Słuchasz mnie?

- Już. Już słucham.

- Ona liczy na to, że wszystko schrzaniisz. Zainteresowała twój męża, więc już wie, że nie jest całkiem szczęśliwy. Teraz musi być tylko słodka jak miód. Nieskomplikowana. Dzięki temu będzie do niej wracał po więcej. Jeśli się wściekniesz, zaczniesz go śledzić, oskarżać i sprawisz, że

poczujecie się nieszczęśliwi, ona zyska przewagę. Ty będziesz żoną sekutnicą, a ona słodką, młodą ślicznotką. - Iva Lou patrzy na mnie. - Biedactwo.

- Jak do tego doszło?

- To proste, chodzi o mężczyznę. Oni są bezbronni, bo ich wolą rządzi ego. Nigdy tego nie zapominaj: ich wolą rządzi ego, dzięki niemu są tacy męscy. Łapiesz?

- Nie chcę tych świństw w swoim życiu! Tych ponurych rzeczy. Nie chcę tego!

- Ave, są na takim etapie, że nic się jeszcze nie wydarzyło - to znaczy, nic fizycznego. Mężczyzna i kobieta nawiązali kontakt. Są przyjaciółmi. Razem pracują. Pewnie rozmawiają o różnych sprawach, w tym osobistych. Ona mu się zwierza; może nawet, raz na pewien czas, wymyśla jakąś awarię w domu, a przecież nie ma męża ani przyjaciela, który by to naprawił, bo ja wiem, rurę albo elektryczność, wobec tego on proponuje, że do niej wstąpi. Zanim się zorientujesz, wpadnie w sieć.

- Jaką sieć?

- Jej sieć. Ona robi wszystko, żeby byli razem. Przypuśćmy, że on naprawia to, co jest do naprawienia. Karen musi się jakoś odwdzięczyć, więc parzy kubek mocnej kawy i robi kanapkę. On siada, gadają o tym i owym, facet nawet nie zauważa, jak szybko zleciał im czas. Więc wstaje i mówi, że musi wracać do domu, do żony, do dziecka, coś w tym rodzaju. Ona patrzy ze smutkiem, ale rozumie. To najważniejsze. Rozumie.

- Co rozumie?

- Jakie on ma życie. Z czym musi sobie radzić. Czego mu trzeba. Jakie ma problemy. Jest jego przyjaciółką. Rozumiesz?

- Mężczyźni nie rozmawiają z innymi mężczyznami o swoich związkach, więc potrzebują kobiety do takich rozmów? - pytam. Iva Lou kiwa głową. Zaczyna do mnie docierać. Jack Mac rozmawia o mnie z Karen Bell. O Etcie. Pracy. Tak jak ja rozmawiam z Iwą Lou. (Gdyby to nie dotyczyło mojego życia, byłabym poruszona tym przełomem w męsko-damskich relacjach).

- Rozumiesz, o co mi chodzi? - Iva Lou rozsiada się w fotelu.

- Tak. - Iva Lou nie ma pojęcia, jak dobrze.

- Jack Mac nie chce tkwić w sieci, ale tam uwiązł, a to dlatego, że jest miły. Mężczyźni nie dostrzegają, jak całkiem niewinna znajomość staje się nawykiem, a nawyk przechodzi w związek. Nie masz pojęcia, ilu mężczyzn mówiło mi, jak bardzo byli zdumieni, że mają romans. Nie wiedzieli, że się zbliża, wcale go nie planowali, ale przez swoją uprzejmość trafili do łóżka innej kobiety. Ta Druga w niewinny sposób zajmuje im czas, a oni mówią: „Dobrze, zrobię to dla ciebie”, aż w końcu ona prosi: „Pocałuj mnie”, więc i na to się zgadzają, i tak dalej.

- Nie chcę, żeby tak zrobił.

- Nie robi, jeśli ruszysz głową. Ave Maria, musisz być sprytniejsza od niej. On tego nie chce, wie, że to złe. Ale nie możesz oskarżyć go o coś, czego być może wcale nie zrobił, bo wtedy pójdziesz prosto do niej, chcąc o tym z kimś porozmawiać. - Iva Lou oddycha głęboko. - W tej sytuacji wolałabym być tobą niż nią.

- Dlaczego?

- Bo to dobry człowiek i będzie się starał postępować właściwie. Nie mówię, że jest święty, ale będzie walczył, zanim się podda.

- Tak myślisz?

- Jestem pewna.

Wiem, że powinnam podziękować Ivie Lou za pomoc w dostrzeżeniu tego, co sama powinnam widzieć. W tym momencie jednak nie czuję wdzięczności, tylko smutek i rozpacz wszystkich kobiet, które znalazły się w identycznej sytuacji - kiedy nie wie się nic, a jednak wie się wszystko. Sztuka polega na utrzymaniu równowagi. Nie jestem pewna, czy zdołam to wytrzymać. Nie oddam swojego męża jak potrawy na piknik dobroczynny. Jeśli tamta kobieta weźmie sobie Jacka, to tylko dlatego, że jej na to pozwolę. Przekonamy się, czy potrafię walczyć. Kręcę obrączką na palcu, mam wrażenie, że jest za luźna. „Najmniejsze kajdanki świata”, powiedział o obrączce Lyle Makin. Chyba miał rację.

Rozdział szósty

W małym miasteczku jedno nie ulega wątpliwości: jeśli dziś jesteś bohaterką dnia, jutro wszyscy o tobie zapomną. Podobnie jest z plotkami na temat romansu twojego męża: poczekaj trochę, a ktoś cię przebije. Chciałabym podziękować Tozzowi Ballowi za to, że ma drugą żonę i rodzinę w Middlesboro w Kentucky, co wyznał swojej pierwszej rodzinie, tu, w Gap, podczas spotkania religijnego w kościele metodystów. Teraz wszyscy mówią tylko o Tozzie, mnie zostawili w spokoju.

Jack Mac i ja również rozmawialiśmy o plotkach, na swój sposób. Ja nie wymieniłam nikogo (Karen) z imienia, on też do niczego się nie przyznał (Karen). Powiedział, że plotki trzeba przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza; teraz pracuje z kobietami i ludzie będą gadać. Odparłam, że rozumiem, ale nie chcę, żeby dawał im powody do takiego gadania.

Nie wiem, czy lepiej mi idzie wypełnianie poleceń Ivy Lou, czy też stary dobry strach pomaga mi być żoną doskonałą. Cudownie się ze mną żyło przez całą wiosnę, byłam radosna, ciepła, czuła, nieskomplikowana i kochająca. Nie sprawiam żadnych kłopotów. Można by mnie przecisnąć przez maszynkę i zrobić ze mnie cukrowe ciasteczka, taka jestem słodka. Na pewno Etta zachodzi w głowę, gdzie się podziały moje wybuchy i depresyjne nastroje, ale nawet jeśli coś podejrzewa, to o niczym nie wspomina.

Jest ostatni tydzień kwietnia, co oznacza, że zbliża się rocznica mojego ślubu. 29 kwietnia minie dziewięć lat mojego małżeństwa. W pierwszą rocznicę Jack spytał mnie, jakie mam życzenie; oczywiście pragnęłam, żeby nasze dziecko było zdrowe. On jednak chciał mi coś kupić. Poprosiłam go o książkę; nie o jakąś konkretną, tylko o pamiętnik z pustymi stronami. Poszedł do sklepu, kupił mi piękny, obitym niebieskim aksamitem dziennik. Otworzyłam prezent, podziękowałam i wręczyłam go Jackowi. Wydawał się zdumiony, wyjaśniłam więc, że to druga część prezentu. Chciałam, żeby każdego roku w naszą rocznicę pisał do mnie list, a ja do niego. W przyszłości mieliśmy zajrzeć do tych listów i zobaczyć, jak się nam układało. Jack nie jest żadnym pisarzem, podobnie jak ja, ale czułam, że nawet małomówny mężczyzna da radę napisać mniej więcej stronę na rok. I daje. Czasem zapominam o dzienniku, a gdy nadchodzi nasza rocznica, zaczynamy podchody: udajemy, że się droczymy, a mój mąż zachowuje się tak, jakbym kazała mu wyrwać ząb, ale piszemy do siebie, rok w rok, bez wyjątku.

Ostatnio dziennik był bardzo przydatny, gdyż potrzebowałam pociechy, dowodu, że nie wymyśliłam sobie tej miłości do dobrego człowieka i naszej dwójki dzieci. Usiłuję się trzymać, muszę wiedzieć, po co. Polegam na intuicji, a ona podpowiada mi, że czekają nas kłopoty. Odgrywam w myślach rozmaite scenariusze. Jeden gorszy od drugiego. Wyobrażam sobie, jak Jack pakuje rzeczy i odchodzi, wręczając mi papiery rozwodowe, żeni się ponownie, a ja zostaję sama. Wiem, że to szaleństwo, ale tak właśnie czuję.

Ostatnie lata były tak trudne, że pisaliśmy do siebie krótkie listy. W roku śmierci Joego Jack napisał: „Kocham cię, skarbie. Tak mi przykro”. A ja opisałam, jak oszedł Joe. Tamten rok jednak był dla nas najgorszy, więc zamiast to rozpamiętywać, wyciągam dziennik z komody i czytam pierwszy list Jacka.

29 kwietnia 1980

Droga Ave,

Wiem, że świat pełen jest szczęśliwych mężczyzn. Wiem, bo kilku spotkałem. Wszystkich łączy jedno: każdy ma dobrą kobietę, która go kocha. Wiem, że całe życie martwiłaś się, czy jesteś dość ładna, i powinnaś zrozumieć, że słowo „ładna” nie wystarczy, by cię opisać. Kiedy śpisz, widzę w tobie więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Kiedy masz zamknięte oczy, twoje rzęsy dotykają policzków i wyglądasz tak, jakbyś się uśmiechała. Jesteś spokojną dziewczyną, moja Ave. To w tobie odnalazłem - spokój. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Kocham cię. J.

Biorę dziennik i kładę go na stoliku nocnym Jacka, razem z długopisem. Może jeśli spojrzę na to, co do mnie napisał, przypomni sobie, że ma o co walczyć.

Czerwiec, miesiąc wielkiej wyprawy, długo nie chce nadejść. Teraz, gdy w końcu się zjawiał, znów jestem pełna nadziei. Chcę wyjechać z moim mężem w romantyczne miejsce, gdzie będziemy razem, będziemy się śmiali i prowadzili rozmowy, gdzie nikt nas nie zna. Przez całą zimę czułam, że góry nas przytłaczają. Wiosną Jack zazwyczaj pracował po godzinach. Prawie nie padało, więc wszyscy trzej siedzieli w robocie od rana do nocy. Budownictwo całkowicie zależy od pogody.

Przypominam sobie, co Jack zabrał do Włoch na nasz miesiąc miodowy, i usiłuję na tej podstawie spakować jego walizkę. Pytałam, co chce wziąć, ale on odpowiada:

- Ty zdecyduj.

Więc pakuję za niego.

Wieczorem, dzień przed wylotem z Tri-Cities na lotnisko Kennedy'ego w Nowym Jorku, skąd pofruniemy do Mediolanu, sprawdzam, co u Etty. Była zbyt podniecona, żeby spać, więc pozwoliłam jej nie gasić lampki i poczytać. Podziałało. Kiedy wyjmuję *Piętnastkę* Beverly Cleary z jej rąk i zaznaczam, stronę zakładką, Etta odwraca się i nie otwierając oczu, ściska poduszkę. Pospiesznie całuję ją w czoło. Jej torby są zapakowane, czekają przy drzwiach. Bardzo mnie interesuje, jaką minę zrobi Etta na widok Schilpario.

Słyszę, że Jack parkuje na podwórzu. Cieszę się na długą podróż samolotem. Etta pewnie zaśnie, a Jack i ja będziemy w końcu mieli okazję porozmawiać, nadrobić stracony czas. Nasze najszczęśliwsze wspomnienia wiążą się z miesiącem miodowym, będziemy mogli przeżyć to raz jeszcze.

Witam się z Jackiem w korytarzu, przegląda pocztę. Obejmuję go od tyłu.

- Jak minął dzień? - pytam.

- Ciężko było.

- Kupiłam ci nowe skarpety.

- Po co?

- Stare są zbyt sfatygowane na podróż do Włoch.

Jack się porusza, więc go puszczam. Objęci idziemy do kuchni.

- Przy okazji, to nie są skarpety z wielopaku. To dobre skarpetki, które wiszą na plastikowym wieszaku w sklepie towarowym Dave'a. Dla mojego męża wszystko co najlepsze.

- Chcę z tobą porozmawiać. - Siada przy kuchennym stole. Zajmuję miejsce naprzeciwko.

- Co się dzieje? - pytam radośnie. Potrafię okazać radość. Jutro znajdziemy się we Włoszech.

- Nie lecę.

- Dlaczego? - pytam. Nie odpowiada. - Czy to coś w pracy? Macie opóźnienie?

- Nie. Wszystko w porządku.

- No to o co chodzi?

- Chyba powinniśmy rozstać się na jakiś czas. - Jack odchyła się i patrzy na mnie z napięciem. To spojrzenie mnie niepokoi, odwracam wzrok.

- Dlaczego?

- Chyba wiesz, dlaczego.

Plotki w mieście? Długa cisza w sypialni? To, że rzucamy się w wir pracy, przerywając ją tylko po to, by zająć się Etą?

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Niech on to wyjaśni. Jestem zmęczona wypełnianiem luk.

- Chyba już nie chcesz być moją żoną.

- To nieprawda! Wcale nie.

Jack wstaje, żeby odkręcić kran. Nalewa sobie szklankę wody i ją wypija.

- Ave, nie chcesz stawić temu czoła.

- Czemu?

- Zajmujesz się Etą, domem, mną, nawet jesteś pogodna. Całą wiosnę zachowywałaś się świetnie. Ale nie ma cię w tym małżeństwie, to wszystko udawanie.

- Nie zgadzam się. Robię pewne rzeczy, żyję w ten sposób, z miłości. Nie udaję.

- Może „udawanie” to złe słowo. Zmuszasz się do takiego zachowania. Jest wyuczone. Robisz to, co myślisz, że powinnaś robić, i nawet nieźle ci wychodzi. Jest bardzo miło. Na powierzchni. Miło.

- Robię to wszystko dla ciebie. Nie udaję!

- Nie tego chcesz - mówi po prostu Jack. Staje obok okna, ale przez cały czas nie spuszcza ze mnie wzroku.

- Przykro mi, że tak cię rozczarowałam.

- Nie. To mnie przykro, że tak cię rozczarowałem - mówi, a potem siada obok mnie.

- Teraz naprawdę się boję. Wszystko, co mówisz, brzmi tak ostatecznie. - Biorę go za rękę. Uwielbiam jego dłonie, nie chcę ich puszczać. - Już mnie nie kochasz?

- Co do tego nie powinnaś mieć wątpliwości. Kocham cię tak bardzo, że mogę być dla ciebie nieszczęśliwy.

- Nie rozumiem.

- Nie liczyłem na to, że zrozumiesz - mówi bardzo cicho.

- Jack, musisz mi wyjaśnić, co czujesz. Nic nie rozumiem. Proszę, pomóż mi.

- Kiedy się z tobą żeniłem, chciałem dać ci szczęście.

- Dałeś.

- Zgodziłem się na to z własnej woli.

- Na co?

- Na ciebie. Na twoje zwyczaje.

- Nikt nie jest prosty, Jack. Wszyscy jesteśmy skomplikowani. Tak to już jest z ludźmi. I jeśli myślisz, że istnieje ktoś, z kim jest łatwo i przyjemnie, to się mylisz.

Mam ochotę dodać: „Jeśli sądzisz, że życie z Karen Bell to bułka z masłem, zwariowałaś”. Nie mogę jednak. Nie wypowiem jej imienia w swoim domu.

- Wiedziałem, że będzie ciężko. Wiem, że nad dobrym małżeństwem trzeba się napracować. Wtedy jednak sądziłem, że będziesz pracowała razem ze mną. Myślałem, że niezależnie od tego, co się stanie, będziemy wszystko dzielić.

- Przecież dzieliliśmy wszystko?

- Nie.

- Myślałam, że tak. - Kłamię. Wcale nie dzieliliśmy wszystkiego i dobrze o tym wiem. - Mówisz o Joem.

- Ja też cierpiałem, kiedy umarł. - Bierze mnie za rękę.

- Wiem.

- Nadal cierpię. Chciałem o tym rozmawiać, ale wydawałaś się tak nieobecna, że zrezygnowałem. Jeden jedyny raz byłaś gotowa to ze mną dzielić - na cmentarzu w ostatnie święta. Już myślałem, że zaczniemy na nowo. Ale ten dzień przeminął i nic się nie zmieniło. - Jack puszcza moją rękę.

- Nie powinieneś atakować mnie za to, że tak a nie inaczej radziłam sobie ze śmiercią naszego syna. To niesprawiedliwe.

- Nie atakuję cię - mówi cicho.

- Nie mam podręcznika, który uczy, jak postępować po śmierci dziecka. Nawet inni rodzice, którzy przez to przeszli, ci, z którymi rozmawiałam, nie mogli mi pomóc. Nam pomóc. Żle to znosiłam, ale czy można znosić dobrze? Czy to w ogóle możliwe?

Jack Mac spogląda na mnie. Zamyka oczy, zastanawia się przez chwilę, po czym je otwiera i znów na mnie patrzy.

- Wiem, że Joe wyszedł z twojego ciała - to coś, czego nigdy nie zrozumieć - ale odepchnęłaś mnie od siebie.

- Nie chciałam.

- Chciałaś. Uważasz, że tylko jedna osoba na świecie robi wszystko jak należy i tą osobą jesteś ty. Tak naprawdę nigdy mi nie ufałaś. - Zaczynam protestować, ale nie dopuszcza mnie do głosu. - Nie wierzysz, że potrafię zadbać o naszą rodzinę, o ciebie. Twoim zdaniem nie potrafię temu sprostać. Być może traktowałabyś tak każdego mężczyznę, ja wiem tylko, jak traktujesz mnie. Możesz sobie biegać z uśmiechem na ustach i udawać, że nic się nie stało, ale oboje znamy prawdę. Pod tą idealnie gładką powierzchnią tkwi kłamstwo. Naprawdę wierzyłem, że nam się uda, ty nie. To jednostronna miłość. Kocham cię, a ty mnie nie. Rozsądny człowiek dałby sobie spokój. Rozsądny człowiek powiedziałaby:

„To koniec”. Ale u mnie serce było ważniejsze od rozumu. Potrzebuję czasu, żeby pomyśleć o tym, czego chcę. Pogadamy, kiedy wrócisz z Włoch, i postanowimy, co dalej.

- Chcesz... - Nie mogę, nie zdołam wypowiedzieć słowa „rozwód”.

- Tego nie powiedziałem. Chcę, żebyś pomyślała, na czym ci zależy. Może uznasz, że nie chcesz już być moją żoną.

- Zaryzykujesz?

- Nie mogę tak żyć. - Wzrusza ramionami.

Patrzę na Jacka MacChesneya i widzę, że cierpi. Nie chce wypowiadać tych słów, nie chce w nie wierzyć, wie jednak, że się nie myli. Tak naprawdę mnie tu nie ma. Myślałam, że uczucie do Jacka wypełni mnie tak, jak miłość wypełnia książkowych bohaterów. Myślałam, że będzie nami rządziła namiętność, że miłość pokona wszystkie nasze problemy, że sama w sobie będzie środkiem komunikacji. Ale nie pracowałam nad tym. Boję się mu powiedzieć, że nie wiem, co robić. Już za późno, żeby to zrozumiał. Czuje się nieszczęśliwy. Nie jestem taka, jak myślał. Rozczarowałam go. Jestem nieobecna, na dystans, nie chcę się dzielić. Dobrze wiem, że to prawda. Zawsze potrafiłam zadbać o ludzi i myślałam, że to wystarczy. Najważniejsza jednak jest uczciwość. Nie powinnam ukrywać, że to, przez co przeszłam, miało na mnie większy wpływ, niż się spodziewałam. Że gorzej od Jacka zniosłam śmierć naszego syna, przynajmniej tak sądziłam. Może uważałam, że matki są ważniejsze od ojców, i Jack to wyczuł. Wyczuł? Przecież wyłożył kawę na ławę. Sporo nad tym myślał, cały czas myśli. A ile myśli dziennie ja mu poświęcam, jeśli w ogóle? Zazwyczaj myślę o mężu w odniesieniu do samej siebie. Jasne, robię dla niego pewne rzeczy, ale tylko z poczucia obowiązku. Podobnie postępowała moja matka. Posprzątany dom i posiłek na stole oznaczały stabilizację. Mój mąż jednak nie chce stabilizacji. Chce prawdziwej partnerki, kogoś, kto będzie gotów razem z nim stawić czoło przeciwnościom. Zawiodłam go. Muszę się do tego przyznać.

- Jacku MacChesney. - Gwiżdżę cicho, przeciągle. Spogląda na mnie z uśmiechem.

- Rany boskie. Rozumiem, o co ci chodzi. - Opadam na krzesło.

- Nie oszukuj się.

- Nie oszukuję. Co nie znaczy, że zgadzam się ze wszystkim, co powiedziałeś, bo się nie zgadzam. Tak czujesz. Szanuję to.

- Dziękuję.

- Nie zamierzam odpuszczać.

- Ave?

- Co? - mówię to z irytacją. Ile na Boga jeszcze mam znosić?

- Nie tkwij w tym małżeństwie dla mnie. Zrób to, co będzie dla ciebie najlepsze.

- Dobrze, ale coś ci powiem. Nie po to, żebyś miał poczucie winy. Naprawdę chciałam lecieć z tobą do Włoch jak w trakcie miesiąca miodowego. Miałam nadzieję, że zaczniemy wszystko od nowa. Nie jesteś szczęśliwy, wiem. Chciałam to zmienić.

Jack podchodzi i obejmuje mnie ramieniem.

- Nie możemy wrócić w magiczne miejsce z nadzieją, że nas uleczy. To nie tak, maleńka - mówi i całuje mnie w szyję. - Ale dopóki jest iskra, jedna iskierka, może nam się uda - dodaje.

Uśmiecham się do niego, po czym ukrywam głowę na jego ramieniu. Jedna iskra. Moje małżeństwo zależy od jednej iskierki, od tak delikatnej, maleńkiej, nieważnej rzeczy. Iskierka. Błysk światła. Czy to wystarczy?

Etta idzie pomiędzy Jackiem i mną, trzymając nas za ręce na lotnisku Tri-Cities. Kiedy docieramy do bramki, Jack długo ściska Ette.

- Etta, poczekaj na mnie - mówię.

- Dobrze, tatusiu, wystarczy. - Etta po raz ostatni przytula ojca na pożegnanie. Poprawia plecak i odchodzi.

- Jack. Popatrz na mnie. - I patrzy. Jego oczy są pełne bólu. Widzę, że jest rozdarty, że chciałby lecieć z nami. Jednak i on ma plan, i będzie się go trzymał.

- Nie tutaj - mówi cicho.

- Nie, muszę ci coś powiedzieć. Wczoraj chciałeś, żebym zdecydowała, czy chcę być twoją żoną. Obiecałam ci, że przemyślę to we Włoszech, i tak zrobię. Powinieneś jednak coś zrozumieć. Być może zawsze będę... niezręczna. Może po ślubie nie rozstałam się na dobre ze starą panną w sobie, nie wiem. Może nie potrafię okazać miłości tak, jak powinnam. Być może nie umiem kochać cię tak, jak chciałbyś być kochany. Ale wierzę jednak, że przy tych wszystkich wadach, a mam ich wiele, jestem odpowiednią kobietą dla ciebie. Zaczekaj na mnie. Zasłużyłam na jeszcze jedną szansę. - I z tymi słowami całuję męża w policzek. Zarzucam worek na plecy i dołączam do Etty przy bramce. Wręczam bilety miłemu panu i idziemy za resztą pasażerów do samolotu, po czym wchodzimy na schodki. Na ich szczycie Etta się odwraca i macha do taty.

- Mamusiu, pomachaj.

- Ty za mnie pomachaj, skarbie. - Nie mogę się odwrócić. Nie zrobię tego.

Smutek mojej córki spowodowany nieobecnością Jacka szybko ustępuje podnieceniu związanemu z podróżą. Mamy przesiadkę w Charlotte w Karolinie Północnej, skąd dolatujemy do lotniska Johna F. Kennedy'ego w Nowym Jorku. Etta jest zaszokowana widokiem tłumów biegających po JFK.

- Mamo, wyglądają jak mrówki. - Wskazuje tłum podróżnych, który zmierza do przestronnej hali centralnej międzynarodowego terminalu.

- Nie zgub się - mówię radośnie córce.

Zahacza palcem o szlufkę moich spodni, gdy idziemy przez tłum. Czuje się podekscytowana kipiącą wokół energią. Uwielbiam zapach lotniska: mydła, skóry i perfum ze sklepu wolnocłowego. Te go nam właśnie było potrzeba, myślę, spoglądając na Ette.

Podczas lotu przez Atlantyk wszystko ją fascynuje: ładne stewardesy o długich, lśniących, brązowych paznokciach i idealnych fryzurach; cola w małych szklanych buteleczkach na tacy w oparciu fotela przed nią, zestaw drobiazgów, w tym granatowe bawełniane kapcie z wytłoczoną na nich włoską flagą. Etta szybko wyzbywa się małomiasteczkowej rezerwy i siedzi wyprostowana w fotelu. Żaden szczegół lotu nie uchodzi jej uwagi. Jest zachwycona, gdy przynoszą jej kolację.

- Mamo, dlaczego tam jest tak czarno?

- Pod nami jest ocean.

- Ale oświetlone statki?

- Wątpię, żeby wypływały tak daleko.

- Jeśli spadniemy, to ktoś się dowie?

- Nie myślmy o katastrofach.

- Lepiej nie spadajmy. Co by zrobił tatuś?

- Nie rozbijemy się.

- Tatuś kazał mi uważać.

- Naprawdę?

- Powiedział, że ty i ja jesteśmy całym jego życiem. I że mam cię pilnować i robić wszystko, żebyś się dobrze bawiła.

- Rozmawiasz z tatą o mnie?

- Przecież jest nas tylko troje - mówi Etta i odwraca wzrok, jakbym była największą idiotką na świecie. Może i jestem.

Mediolan to miasto pełnych rozmachu, pionowych linii, granatowych, szarych i czarnych. Wszystko tam jest kanciaste, od architektury do poważnych twarzy mijających nas przechodniów. Mediolańczycy są wyprostowani, szczupli, wręcz chudzi; nie ma tu żadnych Sophii Loren. Żadnych zaokrągleń, tylko smukłe, skromne kształty. Po naszych bawełnach i dzinsach od razu widać, że przybyliśmy z Ameryki. (Nieważne, że faktycznie jesteśmy amerykańskimi turystkami, po prostu nie chcemy tak wyglądać). Zanim wsiądziemy do pociągu do Bergamo (odchodzą co godzina), ciągnę Ette do sklepu z ubraniami. Lekkie wełniane spodnie w granatowym kolorze, z małą kieszonką i prostymi nogawkami, biała bawełniana bluzka ze złotą haftką przy kołnierzu i beżowy rozpinany sweter to dokładnie to, czego szukam. Nie wsiądę w amerykańskich ciuchach do pociągu. Potrzebuję uniformu i go mam. Etta uważa, że oszalałam. Mojej córce odpowiadają amerykańskie dzinsy i bycie Etta MacChesney z Wirginii w Stanach Zjednoczonych.

Pociąg toczy się przez włoską prowincję, a niskie, porośnięte mchem wzgórza w kolorze tak ciemnej zieleni, że niemal granatowe, wkrótce zastępuje nieskończony różowy horyzont. Nowoczesny Mediolan pozostał daleko w tyle. Świat za oknami jest teraz dziewiczy, nietknięty ludzką ręką. Żółte słońce wisi nisko, odpoczywa na brzoskwiniowych chmurach jak na obrazie Tiepolo w naszym przewodniku.

Patrę na Ette, która ze zdumieniem wygląda przez okno. Już kiedyś widziałam taką minę na twarzy jej ojca. Boże, są tacy do siebie podobni. Nawet jeśli chciałam zostawić Jacka Maca w górach Wirginii, nie udało mi się. Dopóki ona jest tu ze mną, jest i jej ojciec. Etta bardzo przypomina Jacka, choć moje przyjaciółki twierdzą, że to wykapana ja. Jest spokojna i prawdomówna. Nawet jeśli zrani się jej uczucia, wybacza i nie chowa urazy, co nie znaczy, że nie cierpi; owszem, cierpi. Głęboko przeżywa różne sprawy. Podobnie jednak jak jej ojciec, nie lubi rozwódzić się nad rzeczami, które ją dotknęły. Moja córka nie jest typem ofiary. Jest otwarta, a jednocześnie bardzo skryta. Krzyżuję ręce na piersi i odchylam się, opierając stopy o siedzenie naprzeciwko. Spoglądam na swoje długie nogi; mogłabym tu pracować na roli.

Za szybą drzwi naszego przedziału przechodzi mężczyzna, zagląda do środka. Lustruje mnie od butów do czubka głowy, potem patrzy mi w oczy. Dzięki brązowym włosom i wąsom wygląda młodo, ale na pewno ma około pięćdziesiątki. Puszczą do mnie oko. Z uprzejmym uśmiechem szybko odwracam wzrok i siadam prosto. Obejmuję kolana, demonstrując obrączkę. Nie robi to na nim najmniejszego wrażenia: wobec tego spoglądam na niego ze złością, pokazując, żeby szedł dalej. Idzie.

Nasz pociąg staje wreszcie w Bergamo, Etta rozgląda się z podziwem. Wiele razy opowiadałam jej o swoim miesiącu miodowym, co czułam, kiedy pierwszy raz zobaczyłam to miejsce, rodzinne miasteczko mojej matki, ze wszystkimi szczegółami: rzeźbioną drewnianą ławkę na stacji, Fontannę Aniołów. Teraz opisuję swoją pierwszą przejażdżkę po wybrukowanych kocimi łbami ulicach i powietrze pachnące sianem i cytronelą.

Etta przyciska twarz do okna, wie, że za chwilę spotka swojego *Nonno*; w końcu pozna prababcie (do której śle listy, odkąd tylko nauczyła się pisać); wszystkich swoich krewnych i rzecz jasna, rodzinę mojej matki, boskich Vilminore z Bergamo. Wiele razy pokazywałam jej ich fotografie, teraz powtarza to, co zapamiętała. Wśród pierwszych słów, których się nauczyła, były ich imiona z „planszy pomocniczych”, zrobionych przez nas ze zdjęć z miodowego miesiąca. Etta chce zwiedzić magiczne Alta Città i zobaczyć duchownych w sutannach i czarnych kapeluszach z szerokim rondem, oraz kolek, do którego mój dziadek przywiązywał osiołka o imieniu Cipi i drewniany wóz, zanim wyruszył z dostawami w Alpy. Mam ochotę podskakiwać radośnie, jak ona, nagle jednak widzę twarz umierającego Joego, i nie mogę być szczęśliwa. Szybko wymazuję ten obraz z pamięci. Jestem okropną matką. Nie potrafię się skoncentrować na Etcie. Ona żyje, jest zdrowa i zachwycona perspektywą pobytu we Włoszech. Przestań myśleć o tym, co zrobiłaś i czego nie zrobiłaś dla Joego,

mówię sobie w duchu. Nie myśl o tym, jak bardzo podobałby mu się ten pociąg. Nie myśl o tym, jak przyrządzałaś mu mrożone gofry w tosterze zamiast świeżych naleśników z patelni. Jego już nie ma, za to jest Etta. Skup się na Etcie.

Ostrożnie ściągam bagaż z drewnianej półki nad naszymi siedzeniami, a Etta poprawia włosy. We włoskich pociągach nawet półki na bagaż z wygiętego i gładko polerowanego drewna wiśniowego to wykwintne dzieło sztuki. Etta biegnie do schodków prowadzących na peron i nieruchomieje, oglądając się na mnie. Mój ojciec wita nas tuż przy schodkach, po czym bierze Ettę w ramiona jak bukiet kwiatów i wiruje z nią po peronie. Jest młodzieńczy i silny, choć ma teraz więcej siwizny we włosach niż ostatnio. Jego oczy, bystre, ciemnobrązowe, lśnią w smagłej twarzy. Od razu czuję się przy nim bezpieczna. Ma na sobie czarne spodnie (mankiety idealnie opierają się na szarych zamszowych mokasynach) i rozpinany sweter z szarego kaszmiru.

- Jak podróż?

- Cudownie.

- Jesteście zmęczone?

- Troszkę.

- Poznajcie Giacominę. - Ojciec odwraca się do kobiety swego życia. Ona stoi kilka kroków za nim, uśmiechnięta, splatając nerwowo ręce. Jest szczupła i drobna, urodziwa, o bystrych szarych oczach i prostych, brązowych włosach zaczesanych w kucyk. Ma pełne, regularne usta, białe, równe zęby, mały delikatny nos o wąskim grzbiecie. Jest ubrana dokładnie tak jak ja, tyle że od stóp do głów w beże. Po angielsku jej imię brzmi Jacqueline - pasuje.

- Ave Maria, tak się cieszymy, że przyjechałaś!

- Słyszałam o tobie cudowne rzeczy.

- Dziękuję. Czuję się tak, jakbym cię znała od lat. Twój ojciec nie przestaje o tobie mówić. - Giacomina zarzuca sobie moje torby na ramiona, nie gniojąc przy tym jedwabnej bluzki.

- Gdzie Jack? - pyta tata.

- Miał zbyt dużo pracy.

- Przecież powinien od czasu do czasu odpocząć.

- Powinien. Ale do mojego męża nic nie dociera - mówię to tak beztrąsko, że papa spogląda na mnie ze zdumieniem.

- Rodzina Vilminore czeka na nas na Via Davide.

Etta piszczy na wzmiankę o Via Davide, bocznej uliczce, przy której stoi dom Mamy. Słyszała już o miękkich łóżkach, czerstwych bułeczkach i kawie ze słodkim gorącym mlekiem na śniadanie. Chce zobaczyć maleńkie czekoladki domowej roboty, które na srebrnym talerzyku *Zia* Antonietta zostawiała każdego wieczoru na naszych poduszkach.

- My zamieszkamy u Giacominy, to niedaleko. Ty i Etta zatrzymacie się u Meoli. Odpowiada?

- Jak najbardziej.

- Kiedy jej powiedziałem, że przyjeżdżacie, Meoli nie zgodziła się, żebyście najpierw jechały do Schilpario. Postanowiła was zabrać pierwsza. Strasznie się rządzi. - Papa chichocze. - Ale nie protestowałem.

- Schilpario nie ucieknie - mówi Giacomina z uśmiechem.

Via Davide nic a nic się nie zmieniła. Pastelowe domy stoją blisko siebie. Rolety trzepoczą na wietrze. Na ulicy parkują małe lśniące auta.

- Zupełnie jak na pocztówce! - wykrzykuje Etta.

Docieramy do domu cioci Meoli. Wyskakuję z auta i biegnę do drzwi. Wita nas *Zia* Meoli, w prostej granatowej szmizjerce. Jej piękne czarne włosy przetykane są siwizną, założyła złote kolczyki w kształcie kół. Dołącza do niej córka Federica w dżinsach i podkoszulku, ma grzywę rudych loków i kurze łapki w kącikach brązowych oczu. Słyszając nasze hałaśliwe powitanie, z ogródka za domem nadciąga wuj Pietro. Odgarnia z czoła gęste siwe włosy, po raz ostatni zaciąga się papierosem i rzuca niedopałek na głóg. Kiedy przedstawiam rodzinie Ettę, cieszą się nią jak nową zabawką. Mówią, że świetnie ją znają z moich listów; jak to dobrze, że piszę do nich regularnie. Dzięki temu mam wrażenie, że dzieli nas tylko godzina drogi, nie ocean, a łączy głęboka więź; nie musimy mieszkać w sąsiedztwie. *Zia* Meoli głaszcze Ettę po włosach, po policzkach, trzyma ją za ręce i przez cały czas nie przestaje zadawać rozmaitych pytań po włosku - szybko, wolno, dialektem - oraz łamaną angielszczyzną.

- Jest podobna do taty - oświadcza wuj Pietro.

- Też tak uważam - potakuje ciocia Meoli.

- Gdzie się ukryła *Zia* Antonietta? - pytam.

- Och, Ave Maria. Tak mi przykro. - *Zia* Meoli wbija wzrok w ziemię. Na jej twarzy pojawia się żal, który tak dobrze znam. - Odeszła miesiąc temu.

- Nie! - Biorę ciotkę za rękę.

- Wiedziała, że przyjedziesz, tak chciała się z tobą spotkać, ale już od dawna ciężko chorowała.

- Przykro mi. - *Zia* Antonietta, siostra bliźniaczka Meoli, była mi bardzo bliska. Nigdy nie wyszła za mąż, to jej przypadł więc obowiązek prowadzenia domu i zarządzania wydatkami. Tak to jest we Włoszech. Niezameężna kobieta zajmuje się całą rodziną. Dzieci Meoli były dla Antonietty najważniejsze, poświęciła im swoje życie. Nie była smutna ani zgorzkniała. Chyba cieszyło ją, że ma w rodzinie swoje miejsce, ważne miejsce. *Zia* Antonietta przeżyła kiedyś miłość swojego życia, jej ukochany zginął. Ciotka pogodziła się z losem i zamiast założyć własną rodzinę, poświęciła się bliskim siostry. Była najmniej samolubną istotą, jaką znałam.

- Chodźcie jeść - mówi *Zia* Meoli.

Wyjaśniam, że Jack nie przyjechał z powodu nawału pracy. Zasmuca to przede wszystkim wuja Pietra. Ma stolarnię i chciał pokazać Jackowi własnoręcznie wykonany kredens. (Muszę koniecznie powiedzieć o tym Jackowi).

Salon nic się nie zmienił od mojej wizyty podczas miodowego miesiąca. Jasnożółte ściany; na podłodze zwykły złoto-zielony dywanik z drzewem pośrodku. Meble są eleganckie, przysadziste, z ciemnego drewna, pochodzą jeszcze z lat trzydziestych. Bujany fotel, pomalowany na czarno w złote zawijasy, stoi w alkwie pomiędzy oknami. Pełen szczap kominek czeka na zimę. Podpałka obok jest związana wstążką z białego aksamitu. W oknach nie ma rolet, jedynie długie koronkowe firanki w kolorze écru. (W razie potrzeby okiennice chronią przed światłem i hałasem). Gzyms nad kominkiem zastawiony jest fotografiami w ramkach, niektóre pochodzą jeszcze z przełomu wieków, inne są nowe. Patrząc na twarze członków rodziny Mamy i czuję, że tu są moje korzenie. Właśnie tutaj, w tym pomieszczeniu. Na czarno-białych zdjęciach twarze są surowe; z biegiem lat na fotografiach pojawia się kolor, na obliczach radość.

Mamie przyszło żyć w czasach, kiedy córki hańbiły rodzinę, wybierając na partnera mężczyznę, którego nie akceptowali krewni. Gdyby nie to, miałabym oboje rodziców. Moja ciężarna matka nigdy nie uciekłaby do Ameryki, nie musiałaby wychodzić za mąż za Freda Mulligana. Jakże inne byłoby nasze życie! Stoi tu kilka zdjęć Etty i Joego. To wzruszające. Czuję, że jesteśmy częścią codziennego życia krewnych, choć rzadko ich odwiedzamy.

Na oddzielonej drzwiami z siatką werandzie od strony kuchni, gdzie wieje chłodny wietrzyk, *Zia* Meoli przykryła stół białym płóciennym obrusem, a na nim rozłożyła białą zastawę. Delikatne gardenie pływają w kryształowej misie na środku stołu. *Zia* prowadzi mojego ojca do jego szczytu, swojego męża sadza naprzeciwko Papy. My zajmujemy miejsca dookoła mężczyzn.

- Pani Vilminore? - rozlega się jakiś głos.

- *Ciao*, Stefano. Wchodź. Siadaj. Zjedz z nami - mówi do niego ciotka.

Stefano wchodzi na werandę. Ma mniej więcej czternaście lat, brązowe oczy półksiężycy, które znikają w uśmiechu. Jego złote loki, skręcone w korkociągi, są potargane, ale gęste i piękne. Ma szeroki nos z lekko zadartym koniuszkiem. To duży nos, pasuje jednak do twarzy. Stefano idzie z rękami w kieszeniach. Wydaje się raczej skromny niż wstydlivy.

- Jestem Ave Maria. To moja córka Etta - mówię. Stefano uśmiecha się do nas. Słyszę westchnienie Etty, jej oczy rozszerzają się nieznacznie. (No nie! Czyżbyśmy wkraczały w wiek dojrzewania?).

Stefano siada obok Etty, która jest zachwycona, że ma obok siebie chłopca w czasie pierwszego prawdziwego posiłku we Włoszech. Wcale się jej nie dziwię, dzieciak naprawdę jest uroczy.

- Mówię po angielsku - oznajmia z dumą Stefano.

- Gdzie się nauczyłeś? - pytam.

- W szkole. Muszę uczyć się angielskiego, żeby wyjechać do Ameryki i zarobić mnóstwo pieniędzy - stwierdza.

Mój ojciec wybucha śmiechem.

- Mówili ci, że tam ulice wybrukowane są złotem?

- Tak. Wybrukowane złotem, a jeździ się po nich złotymi cadillacami. Chociaż ja wolę furgonetki Forda.

- No to polubiłbyś mojego męża. On ma forda pick-upa.

- Jakiego koloru?

- Jaskrawoczerwonego - wtrąca Etta, szczęśliwa, że może coś powiedzieć.

- Lubię czerwień. - Stefano odgryza kawałek czerstwego chleba, który *Zia* położyła obok jego talerza.

- Stefano to dobry pracownik. Pomaga w sklepie - wyjaśnia *Zia*.

Stefano jest sierotą, mieszka na tej samej ulicy w internacie dla chłopców. Najwyraźniej sierocińce we Włoszech nie są szczególnie ponure. Stefano odmalowuje obraz miłego miejsca, pełnego dobrych przyjaciół i ładnych sal. Muszę spytać później Meoli, czy to wszystko prawda. Chłopak sączy chianti, którego nalał mu wuj Pietro.

- Pijesz wino? - pyta Etta podekscytowana.

- Codziennie. A co ty pijesz w Ameryce?

- Mleko. Bąbelki.

- Co to są bąbelki?

- Napoje gazowane.

- Coca-colę? - domyśla się Stefano.

- Tak! - odpowiada Etta zachwycona przełomem w barierze językowej.

- Może któregoś dnia przyjadę do Ameryki i spróbuję waszych gazowanych napojów.

- Gdy tylko zechcesz, Stefano - mówię. Etta kiwa głową.

- Stefano był ulubieńcem Antonietty - wtrąca *Zia* Meoli. - Od dnia jej śmierci przychodzi do nas codziennie.

- Przyjaźniłeś się z moją cicią? - pytam Stefana.

- *Si*. Tak. Tak.

- Za co ją lubiłeś?

- Przez cały czas na mnie wrzeszczała.

- Dobra zaprawa przedmałżeńska. - *Zio* mruga do chłopaka.

- *Zia* Antonietta nigdy nie wrzeszczała - mówię do Stefana.

- Wrzeszczała tylko na mnie. Chciała mi obciąć włosy. - Wzrusza ramionami.

- Ach, te kobiety. Nieustannie próbują zmienić mężczyznę - wzdycha wuj.

Zia Meoli rzuca mu krzywe spojrzenie. Myślę o Jacku, o tym, jak bez przerwy próbowałam go zmienić. Czy obraził się, kiedy mu radziłam studiowanie inżynierii? Pomyślałam tylko, że Jack jest bystry i byłby z niego świetny inżynier. Pamiętam, co powiedziała Nellie Goodloe przed moim ślubem z Jackiem Makiem. Stwierdziła, że Jack i ja bardzo się różnimy - ja prowadziłam aptekę, on był górnikiem - jak więc to ma się udać? Ja jednak ją zbyłam. Myślałam, że wiem, w co się pakuję, że dam sobie radę z dzielącymi nas różnicami. Poza tym każde małżeństwo to konflikt interesów i bezustanna konieczność wypracowywania kompromisów.

- *Evero?* - *Zio* patrzy na mnie.

- Tak, masz rację. To prawda. To prawda - mówię do niego.

Jemy delikatne ravioli z porami, do tego śmietankowe masło i szalotki. Pieczywo, masło i wino wystarczyłyby za posiłek, ale ravioli są tak pyszne, że nie sposób im się oprzeć. Wietrzyk, pachnący słodką gardenią, sprawia, że wszystko smakuje wprost wyśmienicie.

Po lunchu Federica prowadzi nas do pokoju. To sypialnia mojej matki, pokój, w którym Jack i ja mieszkaliśmy podczas miodowego miesiąca. Federica rozstawiła łóżko polowe dla Etty. Mała klepie łóżko, na którym leży świeża pościel, koce i poduszki wypchane miękkim gęsim pierzem.

- Mamo, w kapie jest pełno ptasiego mleczka.

- Poczekaj, aż się na niej prześpisz.

- Prześpijcie się teraz - radzi Federica. Jesteśmy gotowe się zdrzemnąć, wypełnić każde polecenie wydane na Via Davide. Moja kuzynka cicho zamyka za sobą drzwi.

Pomagam Etcie wdrapać się na łóżko.

- Kupmy takie do domu - prosi.

- Zobaczymy. - Kładę się.

- Kocham Włochy - wzdycha Etta.

- Naprawdę? - Przechyliłam się, żeby widzieć córkę.

- Tu jest inaczej niż wszędzie, gdzie byłam.

- Skarbie, odwiedziłaś tylko Tennessee i Florydę.

- Wiem. Nie spodziewałam się, że tu tak będzie.

- Też tak czułam, kiedy przyjechałam do Włoch po raz pierwszy.

- Mamo?

- Tak?

- Kiedyś wyjdę za Stefana.

Cieszę się, że leżę na wysokim łóżku i córka mnie nie widzi, bo właśnie opadła mi szczęka. Zamiast się roześmiać, ze świstem wciągam powietrze.

- Naprawdę?

- Tak.

- Skąd wiesz?

- Wiem.

Czekam, aż powie więcej, ale ona milczy. Zasypia, bez wątpienia zamierza śnić o uroczym Włochu z dziwną fryzurą. Chciałabym ją zbudzić i poprosić, żeby na zawsze pozostała małą dziewczynką. Muszę jej powiedzieć, że miłość nie wystarczy. Nie skończ jak twoja matka i babka, której imię odziedziczyłaś. Postaraj się bardziej.

Po dniu zwiedzania Bergamo, spotkaniach z sąsiadami i kolacji Etta po raz pierwszy widzi *la passeggiata*. Mieszkańcy wychodzą z domów, żeby aż do zachodu słońca spacerować wokół fontanny w centrum miasteczka. Niewiele się dzieje, tylko rozmawiają, czasem ktoś wybuchnie śmiechem. Grywa się tu w karty, szachy, warcaby albo tylko chodzi i gawędzi. Etta dołącza do dzieci z Via Davide na partię bierka. Papa i Giacomina znają mnóstwo ludzi z miasteczka, pozdrawiają przyjaciół.

Zia Meoli znajduje nam miejsce na ławeczce pod fontanną, skąd mogę mieć oko na Ette.

- Co o tym sądzisz? - Zia Meoli wskazuje na Giacominę i Papę, którzy ucieli sobie pogawędkę z grupą ludzi po drugiej stronie placu.

- Giacomina jest bardzo miła - mówię.

- Za młoda dla niego - twierdzi ciocia.

- Przynajmniej Papa się ustatkuje.

- Zobaczymy. - Wzrusza ramionami.

Cieszę się ze względu na ojca. Najwyraźniej odpowiada mu Giacomina. Doskonale do niego pasuje. Jest właścicielką sklepu ze sprzętem narciarskim w Schilpario. Mój ojciec lubi czasem wpaść do niej do pracy, cieszy się, że Giacomina w każdej chwili może zamknąć sklep i zrobić to, na co oboje mają ochotę.

- Szkoda, że Jack nie przyjechał - wzdycha Zia Meoli.

- Ja też żałuję. Gdyby tylko zobaczył buzię Etty! Pokochała to miejsce.

- Śliczna dziewczynka - mówi szczerze ciotka.

- Dziękuję.

- Szkoda, że nie poznaliśmy Joego.

- Wiem. Miałam zamiar go tu przywieźć.

- Jak się udał pogrzeb? - pyta Meoli.

W większości krajów takie pytanie zabrzmiałoby dziwnie, ale tu, we Włoszech, pogrzeb jest formą sztuki. To ostatnie publiczne zgromadzenie w hołdzie zmarłemu, i jako takie musi opowiedzieć jego historię. Są modlitwy, muzyka i przemowy. Nawet robią zdjęcia zmarłego w trumnie, a po pogrzebie rozdają odbitki. Brzmi to makabrycznie, może i jest makabryczne, ale taka tu obowiązuje tradycja. Kiedy Zia Meoli pyta o pogrzeb Joego, nie próbuje mnie przygnębić, po prostu to ją ciekawi.

- Był bardzo skromny, bez stypy. Tylko msza i pogrzeb. Przyszli jego koledzy ze szkoły. No i przyleciał Papa, jak wiesz.

Ciocia Meoli milczy, a ja znów przeżywam poranek w dniu pogrzebu Joego. Nagle przypominam sobie coś, o czym nie myślałam ani w trakcie pogrzebu, ani później.

- Pamiętasz ciotkę Alice Lambert?

Zia Meoli kiwa głową i robi gest mający świadczyć o tym, że nie ma wysokiego mniemania o siostrze mojego ojczyma. Pisałam jej, jak Alice Mulligan Lambert usiłowała odebrać mi aptekę i dom.

- Właśnie coś mi się przypomniało. Alice Lambert przyszła na pogrzeb Joego. Siedziała w ostatnim rzędzie przy nawie. Zobaczyłam ją, kiedy wychodziliśmy z kościoła, i chyba wyglądałam na zaskoczoną. Była ostatnią osobą, której spodziewałabym się na pogrzebie swojego syna. Ona jednak popatrzyła mi prosto w oczy i powiedziała, że jest jej bardzo przykro. I tyle.

- Dziwne, że w ogóle przyszła - zamyśla się ciotka.

- Wiem. I dziwne, że aż do tej chwili w ogóle o tym nie pamiętałam.

Podobna sytuacja przytrafiła mi się poprzednim razem, kiedy odwiedziłam Włochy. Przypomniały mi się szczegóły, których z jakiegoś powodu nie pamiętałam w Big Stone Gap. Ujrzałam swoje życie z innej perspektywy, zupełnie jakbym zostawiła samą siebie w domu, w górach Wirginii, i wymyśliła tę nową osobę, by przeżywała tu zagraniczne przygody. Teraz to się nie uda. Tym razem mam tu coś do załatwienia - muszę rozpisać plan na drugą połowę swojego życia. Nie mogę zdać się na los, żyć z dnia na dzień, bo Jack mi na to nie pozwoli. Chce wiedzieć, czego pragnę. Nie przyjechałam tu na wakacje i co jakiś czas z bólem sobie o tym przypominam. Muszę podjąć decyzję. Czasem, kiedy myślę o swoim mężu, czuję dreszcze; zalewa mnie fala wzruszenia, tęsknię za nim. Innym razem cieszę się, że został w domu, że nie muszę radzić sobie z naszym smutkiem i kłopotami. Czuję się wtedy samolubna i wstydzę się tego. Chcę, żeby wszyscy wierzyli w moją wielkoduszność, ale to nieprawda. Zawsze robię to, co dobre dla mnie - z czym dobrze się czuję - i narzucam rodzinie określone postępowanie. Zazwyczaj się podporządkowują. Powtarzam wszystkim, że brakuje mi tu męża, Papa jednak nie uwierzył, że Jack był zbyt zajęty, by przyjechać. To lato we Włoszech odmieniło coś jeszcze. Odtąd będę mówiła prawdę. Zacznę od cioci Meoli.

- Jack chciał, żebym przyjechała tu tylko z Ettą.

- Dlaczego?

- Mamy kłopoty. - I już. Powiedziałam to. Nie było tak trudno.

- Przykro mi.

- Tu, we Włoszech, nie macie małżeńskich problemów, co? W tym miłosnym centrum wszechświata. - Macham ręką, wskazując na zakochanych w każdym wieku: nastolatków na skuterach, młodą żonę oblewającą wodą męża przy fontannie; starszego dżentelmena kupującego żonie lody. Najwyraźniej tego wieczoru wszyscy w Bergamo połączyli się w pary.

Zia Meoli odrzuca głowę i wybucha śmiechem.

- Owszem, mamy problemy. Całe mnóstwo.

- Psujesz moje romantyczne wyobrażenia, ale dzięki temu chyba czuję się lepiej.

- Problemy to nic złego. Rozwiązujecie je i znowu wszystko się układa.

- Dobrze by było.

- Macie dużo na głowie. Czasem wyżywacie się na sobie. Prawda?

- Chyba tak.

- Pewna moja przyjaciółka rozwiodła się z mężem. We Włoszech to rzadkość, ale była nieszczęśliwa i się rozwiodła. Wzięła ślub z innym mężczyzną, bardzo miłym człowiekiem. Myślała, że zostawiła za sobą problemy z pierwszego małżeństwa. Okazało się jednak, że spakowała je i wniosła w drugi związek. Czasem to nie partner jest winny. Czasem to ty.

- Och - wzdygam. - Wiem, że to ja.

- Nie przejmuj się.

- Nie potrafię przestać się przejmować.

- Jesteś taka jak twoja matka.

- Naprawdę?

- Myślała, że wystarczy kochać.

Ma rację. Ja również myślałam, że wystarczy kochać, aż mąż uświadomił mi, że jestem w błędzie. Pod tyłoma względami przypominam matkę. Podarowała mi cały swój czas, całą swoją troskę. Jestem pewna, że Fred Mulligan o tym wiedział. Matka troszczyła się o dom, była znakomitą kucharką, ale nie kochała męża. Mogła mnie bezpiecznie wychowywać w tym małżeństwie. Pragnęłam o wiele więcej dla Etty. Jak mam się zmienić? Najwyraźniej zawsze wracam do złych nawyków, tłumię uczucia, jestem chłodna, żeby nikt nie mógł mnie zranić. Za to ja ranię wszystkich wokół siebie, zupełnie jak matka. Fred Mulligan nie dostał od niej miłości, przelała ją na mnie. Żał mi było Freda, chociaż nie darzyłam go sympatią, a i on mnie nie lubił. Czyja to jednak była wina? Stałam na przeszkodzie jego szczęściu. Mama zrobiła ze mnie tę przeszkodę. Nie chcę, żeby moje małżeństwo opierało się jedynie na finansowym bezpieczeństwie i społecznej akceptacji, ale czy nie jest właśnie tak? Czy jestem taka jak matka?

Meoli klepie mnie po rękę i wstajemy, żeby pospacerować po *piazza*. Nocne powietrze jest chłodne, drzę. Szmer wody rozlewającej się na marmurowych muszlach w fontannie brzmi jak cicha muzyka. Światła nad nami w Alta Città to ledwie widoczne lawendowe iskierki za czarnymi drzewami. Dobrze, że słońce już zachodzi za wzgórze Bergamo - lepiej niech Zia Meoli nie widzi moich łez.

Rozdział siódmy

Papa skręca na górską drogę z Bergamo na północ, do Schilpario. Znowu jestem w górach, najwyraźniej od nich nie ucieknę. Pędzimy po szczytach, a ja nie boję się jak podczas pierwszej wizyty. Patrzę na Ette, która nawet nie mrugnie okiem, kiedy wjeżdżamy coraz wyżej ani kiedy mija nas ciężarówka, zmuszając ojca, by skręcił na zwirowe pobocze. Koła zatrzymują się o kilka centymetrów od niebezpiecznej krawędzi wielkiej przepaści. Chyba moja córka jest zaprawiona w boju, skoro przez całe życie śmiga po zakrętach Cracker's Neck.

- Te góry są inne niż nasze, w domu, prawda? - Pokazuję Etcie Alpy.

- Wyższe. I ośnieżone, chociaż jest lato - mówi najwyraźniej pod wrażeniem.

- Tak, śnieg jest tak wysoko, że nigdy się nie rozpuszcza.

Giacomina, przypięta pasem, odwraca się i patrzy na nas z fotela obok kierowcy.

- Zabierzemy was w rozmaite miejsca.

- Macie kozy? - pyta ją Etta.

- I to niejedną.

- Byłam na farmie Mary Ann Davis w Big Stone Gap, ma kozy miniaturki. Wy też?

- Tak. Noszą dzwoneczki i kiedy się zgubią, pasterz może je znaleźć.

- Jak Peter w *Heidi!* Uwielbiam *Heidi!*

- Etta, zmuszę cię do noszenia dzwoneczka! - Papa mruga do niej w lusterku wstecznym.

Wjeżdżamy do Schilpario. Po raz pierwszy po z górą stu pięćdziesięciu kilometrach Papa zwalnia. Jest burmistrzem tego miasteczka od niemal czterdziestu lat. Domy z ciemnymi, doskonale widocznymi oknami na tle białego tynku, a także te pomalowane na różne odcienie błękitu, brązu i delikatnej zieleni, wyglądają jak cukierki przyklejone do górskich stoków. Ze skrzynek na oknach wylewają się drobne czerwone kwiaty i sterczą zielone igły roślin, których nigdy wcześniej nie widziałam.

- Zioła - mówi Giacomina.

Etta jest zachwycona kołem wodnym, które obraca się powoli, czerpiąc kryształową wodę ze strumienia i przelewając ją przez stare deski, wypolerowane po latach używania. Wskazuję na strumień, który spływa z gór nad czystymi, szarymi kamieniami, a potem rozlewa się, tworząc sadzawkę nieopodal domku przy kole. Pokazuję jej, jak wszystko łączy się ze sobą; myślę, że Etta to rozumie.

Kiedy podjeżdżamy, *Nonna* czeka na huśtawce ustawionej na trawniku pomiędzy ulicą a drzwiami domu. (Dom Nonny i Papy znajduje się idealnie pośrodku głównej ulicy miasteczka, w doskonałym miejscu dla burmistrza). Wstaje, podpierając się laską, i wyciąga rękę do Etty, która biegnie powitać prababcie. Ciało Nonny, mocne, o krótkich, muskularnych nogach, jest równie

krzepkie jak wtedy, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy. *Nonna* natychmiast zakochuje się w Etcie, którą obraca na wszystkie strony i ogląda pod każdym kątem. Babcia jest równie żywa jak wtedy, gdy przestąpiła próg mojego domu na Topolowym Wzgórzu w Gap. Muszę zapytać Papę, ile *Nonna* ma lat, bo nic a nic się nie zmieniła. W czym tkwi jej sekret?

Mafalda, cioteczna siostra mojego ojca, mniej więcej pięćdziesięciolatka, jest drobna i ma słodką, okrągłą twarz, ładną, różową skórę, małe usta i typowy dla Barbarich nos. Krząta się po kuchni, nakrywa do kolacji. Bez szemrania spełnia polecenia mojej babci.

Tak właśnie jest we Włoszech: nikt nie kwestionuje uwag najstarszych członków rodziny. (Mam nadzieję, że Etta to zauważy!). *Nonna* rządzi tym domostwem jak generał, mimo swojej niewielkiej postury ma większą siłę przebicia niż cała armia. Etta nie może się nadziwić, jak hałaśliwa jest babcia, jak wyrzaskuje rozkazy i wciąż wpada w złość, po czym ten gniew znika niczym burzowa chmura, która zamienia się w mgiełkę, zanim gruchnie piorun. Moja babcia przy każdej okazji łapie Ettę, przytula ją i głaszcze po policzkach. Obiecuje, że nauczy prawnuczkę wszystkiego, co ważne w Schilpario - gotowania, manier i historii rodziny. Mam wrażenie, że Etta będzie pilną słuchaczką. Zresztą nie ma innego wyjścia.

Giacomina nie żartowała, mówiąc, że przygotowali mnóstwo atrakcji. Wyciąga terminarz, dni są pełne wycieczek i zajęć. Kiedy Etta wychodzi z pokoju, Giacomina mówi mi, że zaplanowała te wyprawy specjalnie dla Etty, nie dla mnie. Papa chce, żebym odpoczęła. Tylko mój ojciec widzi, czego naprawdę mi trzeba (chyba jak wszyscy rodzice?).

Nonna traktuje mojego ojca niczym króla. On jest szefem, należy spełniać wszystkie jego kaprysy. Mafalda mówiła mi, że Papa obraca się w kręgach „miejskiego biznesu”, mężczyzn z Bergamo, którzy przyjeżdżają na północ, chcąc zająć się tutaj handlem. Papa wciąż jest w centrum wydarzeń. Potrafi błyskawicznie zniknąć bez żadnych wyjaśnień, a kiedy wraca po wielu godzinach, mówi jedynie, że był na rozmowach. Mafalda twierdzi, że nakrywa do stołu, dopiero gdy widzi jego kapelusz na wieszaku.

Papa zabiera nas na górę i pokazuje Etcie jej sypialnię, mały uroczy pokój z balkonem wychodzącym na ulicę i ukośnym sufitem. Pomalowana na żółto leżanka zarzucona poduszkami z pierzem (ta miękkość!) stoi pod okapem. Jedna z poduszek ma kształt kielbaski, związanej na końcach wstążką, wygląda jak cukierek. Etta podnosi ją z zachwytem. Nigdy dotąd nie widziała niczego podobnego. W pokoju stoi jeszcze skrzynia, stary bujany fotel przykryty kocem i mały srebrny wazonik, z którego sterczy bukiet szarotek. Etcie bardzo podobają się ściany pomalowane na beżowo i ciemnobrązowe belki na suficie.

- Mamo, prawda, że te belki na suficie wyglądają jak ciasteczka Małej Debbie?

- Owszem - śmieję się.

- Wszystko w tym domu przypomina różne smakołyki. Tu jest jak w chatce czarownicy z *Jasia i Małgosi*.

- Masz rację.

- Tak?

- Jesteśmy daleko na północy, prawie na granicy ze Szwajcarią. Stąd te niemieckie akcenty.

- Czyli co?

- Zegar z kukułką. Zdobiony dach. Okiennice. Niskie sufity, żeby było ciepło i przytulnie w zimie. I zaokrąglone u góry framugi drzwi. Podoba ci się tutaj?

- Bardzo. Szkoda, że nie ma taty.

Rozpakowuję rzeczy Etty, kiedy przebiera się w nocną koszulę. Potem odmawia modlitwę i kładzie się do łóżka. Chłodny wiatr postukuje okiennicą. Podchodzę do okna i spoglądam na wąską główną ulicę Schilpario, oświetloną jedynie blaskiem łagodnie sączącym się z okien domów. Stary człowiek z pudłem, powłócząc nogami, znika w drzwiach jednego z domów. Czuję zapach tytoniu z jego fajki.

Na horyzoncie widzę krawędzie chmur. Uświadamiam sobie, że przecież to nie chmury, ale pokryte śniegiem górskie szczyty, oświetlone blaskiem księżyca. Cukrowe góry są tak blisko, mam wrażenie, że gdybym wychyliła się z tego okienka, mogłabym ich dotknąć. Wiatr chłodzi moją twarz; to przyjemne, ale nie chcę przeziębnić Etty, rozwijam więc żaluzje i zahaczam je o ramę okna.

Schodzę na parter; Mafalda nakrywa do śniadania, *Nonna* już poszła spać, a Papa ogląda telewizję. Idę do gabinetu ojca i podnoszę słuchawkę. W Big Stone Gap jest wczesny poranek. Wykręcam numer naszego domu. Nie mogę się doczekać, aż Jack odbierze. Chcę mu opowiedzieć o naszej wycieczce. Telefon dzwoni kilka razy, ale Jacka niełatwo wyrwać ze snu. Ciągle czekam. I czekam. Liczę sygnały. Po trzynastym odkładam słuchawkę. Może... Może go nie ma? Jasne, że jest. Gdzie miałby być? Nie zamierzam się nad tym zastanawiać. Jestem za oceanem, niewiele mogę zrobić. Jutro spróbuję ponownie.

Etta pojechała do Sestri Levante, starej wioski rybackiej na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Mieszkają tam cioteczni bracia Papy, chcą poznać kuzyneczkę. Rodzina Bonicellich ma sklep ze słodyczami i dom na plaży. Będzie tam również dziesięcioletnia wnuczka siostry Nonny, Chiara. Dziewczynki poznały się przez telefon. Papa i Giacomina zabiorą Chiare na wycieczkę; zostaną tam na weekend i trochę się opalą. Etta jest za mało *bronzata*, mówi mój ojciec.

Mafalda codziennie pozwala mi się wyspać. Moim jedynym zajęciem jest pisanie długich listów do Theodore'a i Ivy Lou. Zbieram pocztówki dla Ivy Lou, przyczepi je do tablicy rozdzielczej bibliobusu. Wysyłam Theodore'owi dzwonek na drzwi - to mały, ręcznie malowany mosiężny dzwoneczek na kolorowym sznurku. (Może w przyszłym roku Theodore poleci ze mną i sam zobaczy Włochy). Nie wierzę, że jesteśmy tu już prawie tydzień. W końcu odpoczęłam, nabrałam sił. Często

jem pachnące risotto z szafranem i masłem, świeże jagody z miodem podawane na zimno w srebrnych pucharkach i chleb, gąbczasty i lekki, z trudną do pogryzienia, twardą skórką (jest tak pyszny, że nawet nie smaruję go masłem).

Postanawiam trochę zatroszczyć się o ciało; zbyt długo je zaniedbywałam. I tak podczas sjeisty, zamiast spać, samotnie pokonuję strome wzgórza za Schilpario. Górskie ścieżki, dotknięte zębem czasu, przecinają trawę we wszystkich kierunkach. Obiecuję sobie, że do końca miesiąca przemierzę większość z nich. Podczas wspinaczki myślę o swojej matce, która kochała te góry i ich szmaragdowe pola, niebezpieczne urwiska i lodowate strumienie.

Dziś górski wietrzyk jest wyjątkowo zimny, pożyczam więc jedną z miękkich, skórzanych kurtek ojca i wiążę czerwoną bandanę na szyi. Drzę od samego patrzenia na te ośnieżone szczyty. Słońce przyjemnie grzeje, ale ziemia jest zawsze zimna. Do włoskich Alp nigdy chyba nie dotrze porządna odwilż. Nie wezmę nakrycia głowy Papy, które wygląda jak kapelusik Robin Hooda: ciemnozielony filc z piórkiem. Nie chcę sobie psuć nowej fryzury.

Wczoraj Mafalda zabrała mnie do sąsiedniej wioski, Piccolo Lago, gdzie obcięłam włosy. Na szyldzie w oknie napisano MODERNA. Myślę, że „nowoczesna” to idiotyczna nazwa dla czegokolwiek w tych stronach. Wszystko powinno nosić nazwę *antica*. Od lat nie byłam u fryzjera; zawsze splatałam włosy w warkocz, żeby mi nie przeszkadzały. Jack lubił moje długie włosy, nigdy więc nie zmieniałam fryzury, a zaczesanie ich do tyłu było takie proste. Od dłuższego czasu jednak marzyłam o zmianie. Często widuję kobiety, które przestają zwracać uwagę na swój wygląd zewnętrzny. Kiedy zatem Violetta, wysoka Włoszka z ciężkim, twardym, chyba niemieckim akcentem, posadziła mnie w fotelu i kazała pochylić głowę, posłuchałam. Patrzyłam, jak moje brązowe loki spadają na linoleum w czarno-białą kratę. Kiedy Violetta skończyła, kazała mi się wyprostować (lepiej bez szemrania spełniać jej polecenia), a dziewczęta w zakładzie otoczyły mnie wianuszkami.

- Gina Lollobrigida - powiedziała z uśmiechem Violetta, przypisując sobie całą zasługę za przemianę szarej myszki w piękność.

Pozostałe dziewczyny przyklasnęły, gdy kręciłam się na krześle niczym cadillac na pokazach motoryzacyjnych.

Nowa fryzura podkreśla moje rysy. Zniknął długi, nudny warkocz; nowy jest gruby, gęsty i znacznie krótszy, wymykające się z niego fale sprawiają, że policzki i nos wyglądają subtelniej, łagodnie spływa po mojej szyi. Jedna z dziewczyn, ptasia brunetka o przepięknych ustach, wyciągnęła z fartuszka szminkę. Na początku kiepsko mi szło, musiała mi ją otworzyć (w odróżnieniu od amerykańskich, w ich szminkach trzeba zwolnić zapięcie).

Wzięłam szminkę, malując górną i dolną wargę i natychmiast pomyślałam, że przeholowałam. Za dużo czerwieni! Czułam się jak dziobak. Violetta wręczyła mi chusteczkę, i kiedy odcisnęłam usta, purpuroworóżowa barwa ze złotymi refleksami wyglądała niezwykle kusząco.

- *Bellissima!* - wykrzyknęła klientka pod suszarką i boleśnie uderzyła się w głowę, wyciągając szyję, by na mnie popatrzeć. Uśmiechnęłam się i dałam dziewczynom wysokie napiwki. Gdybym miała milion dolarów, podarowałabym go Violetcie. Tego mi było trzeba!

Nonna zachwyciła się fryzurą; na mój widok wykrzyknęła: „Ornella Muti!”. Ornella, włoska aktorka, pojawiła się w tym tygodniu na okładce czasopisma „Hello!”, które ma swoje stałe miejsce na stoliku do kawy. Złapała magazyn i pokazała mi egzotyczną, zielonooką piękność z moją fryzurą. Może należałoby raczej powiedzieć, że to ja mam fryzurę Ornelli Muti. Zmusiłam babcię, żeby zrobiła mi zdjęcie polaroidem, wyślę je Theodore'owi.

I tak z nowo nabytą pewnością siebie, koralowymi ustami (niech Bóg błogosławi tę małą; dała mi szminkę), determinacją i oszalamiającą fryzurą wspinam się po alpejskim szlaku jak rodowita Włoszka, którą bym była, gdyby moja ciężarna matka nie uciekła do Ameryki bez mojego ojca, Maria da Schilpario, i nie wyszła za Freda Mulligana. Patrzę na swoje uda, napinające się przy każdym krótkim, szybkim kroku. Skąd się wzięły te mięśnie? Przecież wspinam się tutaj zaledwie od tygodnia. Nie miałam aż tak muskularnych nóg, chodząc po Powell Mountain. Kurtka pachnie Papą, świeżo i żywicznie. Świetnie się czuję. Może to przez wysokość.

Postanawiam iść dzisiaj nową ścieżką, która wydaje się nieco mniej uczęszczana od pozostałych. Po obu stronach otaczają ją głązy jak ogrodową alejkę. Na końcu szlaku leży płaskowyż, który budzi moją ciekawość.

Docieram do grani. Muszę podciągnąć się i pokonać mały występ, żeby dojść do płaskowyżu. Tam, wysoko nad Schilpario, w miejscu, w którym spotyka się tylko kozy, rozciąga się pole dzwoneków rosnących tak gęsto, że wyglądają jak wielki dywan. Ich błękit przywodzi na myśl jezioro albo Morze Śródziemne. Nad słodkimi kwiatami brzęczą pszczoły, jest ich tak wiele, że czasem zderzają się w powietrzu, zanim zanurkują, by spijać nektar z kwiatów. Za niebieskim dywanem rozciąga się zielone pole, które prowadzi do występu skalnego porośniętego winoroślą. Nie zaryzykuję wędrówki do krawędzi. Wiem, że jest tam spadek - to pewnie jedna z tych przerażających przepaści, tak głębokich, że nie widać dna. Siadam wśród kwiatów; jedynym dźwiękiem, który słyszę, jest muzyka pszczół.

W domu niespodzianka. Giacomina i Papa zabierają nas dziś do dyskoteki. Pójdziemy całą rodziną. (Oprócz babci, która mówi, że wolałaby raczej dać się zrzucić ze skały niż zaprowadzić w takie miejsce. Mafalda uważa, że *Nonna* ma siedemdziesiąt dziewięć lat, ale nie jest tego pewna, bo babcia nie zamierza się przyznać).

Etta wróciła z Sestri Levante. Papa kupił jej turkusową obróżkę na szyję, moje dziecko się zarzeka, że nigdy jej nie zdejmie. Naszyjnik pięknie kontrastuje z jej brązową skórą; podczas pobytu na plaży nabawiła się piegów. Giacomina i Papa postanowili zaprosić Chiare, by dotrzymywała Etcie towarzystwa.

- Witaj, kuzynko Ave Mario - mówi do mnie Chiara. Brzmi to jak z kasety do nauki obcego języka.

- *Ciao*, Chiara. - Ściskam ją. To prawdziwa piękność o lśniących czarnych włosach i dużych brązowych oczach. Jest wyższa od Etty, ale równie szczupła. Nosi plastikowe pierścionki na każdym palcu, Etta też zaczęła naśladować ten styl. Obie wyglądają jak tandetne Kleopatry.

Chiara szepcze do Papy po włosku, że jestem ładna i wcale nie stara. Mówię, że powinna mnie zobaczyć, zanim obcięłam włosy, a ona patrzy na mnie jak na wariatkę.

Chiara to psotnica. Na zdjęciach wydaje się spokojna i poważna, ale w rzeczywistości tylko patrzy, co by tu zмайstrować. Jest bardzo bystra, podłapuje rozmaite angielskie zwroty od Etty. Etta też nieźle sobie radzi z włoskim. Chiara uczy ją włoskich przekleństw, co rozśmiesza moją córkę. Różnią się bardzo od siebie: Etta stara się postępować właściwie, nawet kosztem dobrej zabawy. Chiara jednak wzbudza moją sympatię; myślę, że Etta powinna sprawdzić, na co ją stać. Musi się odprężyć. Musi biegać, wybrudzić się i bawić. Zależy mi tylko na tym, żeby nic się im nie stało, ale nie mam powodu do obaw. Giacomina bierze je pod swoje skrzydła, a one słuchają jej bez szemrania.

Po drodze Papa opowiada Giacominie o interesach w mieście i o sezonie turystycznym w zimie. Nagle gwałtownie skręca z głównej drogi wprost w winorośl i krzewy. Wpadamy na zwirową ścieżkę, na której podskakujemy jak ciśnięte o ziemię owoce. Dziewczynki śmieją się i trzymają siedzeń. Wkrótce widzimy polankę z wysokimi lampami na szpikulcach wbitych w ziemię dookoła prowizorycznego parkietu wyłożonego linoleum.

Myślałam, że pójdziemy do dyskoteki w budynku. Kiedy w Ameryce mówimy „dyskoteka”, mamy na myśli klub taneczny, miejsce, w którym można spotkać Johna Travoltę w białym garniturze. Tu jednak dyskoteka jest wszędzie tam, gdzie gra muzyka. Teraz słyszymy włoskie przeróbki amerykańskich hitów. Dorośli gromadzą się przy barze (stole ustawionym na polu), a dzieci piją ciemnoczerwony gazowany napój, który wlewają w siebie jednym haustem, jakby piły wódkę.

- Angostura - mówi Giacomina.

Jest tu tłum, i to całkiem spory. Najwyraźniej większość górskich miasteczek dziś opustoszała i przybyła właśnie tutaj. Chaotycznie zaparkowane samochody otaczają polanę.

Chiara zachowuje się jak światowa dama, zwraca uwagę Etty na rozmaite rzeczy. Z trudem dotrzymuję im kroku, kiedy wyskakują z auta i biegną w stronę parkietu. Papa i Giacomina przystają na pogawędkę ze znajomymi z miasteczka. Szepczę Giacominie do ucha, że idę się rozejrzeć.

Podobają mi się Włosi. To dobrze, że istnieje na tym świecie miejsce, gdzie wyglądam jak inni. Tak czy owak ich twarze są wyjątkowo interesujące. Nie wiem, skąd się bierze uroda kobiet - nigdy nie widuje się ich na okładkach amerykańskich czasopism - ale jest uderzająca. Tutaj duży nos to powód do dumy. Większość tych nosów nie miałaby szans w Ameryce - ich długość i królewskie

garby u nasady nie zostałyby docenione. Może te kobiety są tak atrakcyjne, bo zwyczajnie lubią siebie. Akceptują to, z czym przyszły na świat, nawet swoje wady, i dzięki temu są tak inne i ponętne.

Uroda mężczyzn to także nie wszystko. Mimo niskiego wzrostu (ta obsesja na punkcie wzrostu to sprawa Amerykanów) mają w sobie siłę, łatwo uwierzyć, że każdy z nich mógłby podnieść któryś z tych alpejskich głazów i potoczyć po wzgórzu niczym piłkę. Czują się jak władcy świata, przede wszystkim dzięki matkom. Syn to cenne dobro, cenniejsze niż ziemia i złoto, syn oznacza ciągłość rodu. Syn może zostać ojcem, a ojciec to źródło wiedzy i roztropności w domu. Widzę to w praktyce, obserwując grupki wokół parkietu. Oczywiście, mężczyznom tylko się wydaje, że mają władzę: tak naprawdę wszystkim trzęsą kobiety. Przybyły tu całe rodziny, cieszy je rześkie powietrze, delikatne papierowe lampy i muzyka. (Przypomina mi to muzyczne pikniki w Bullit Park w Big Stone Gap. Rodziny przychodzą z koszykiem pełnym jedzenia i przez cały dzień słuchają koncertów).

- Ave Maria! *Andiamo!* - mówi Chiara, łapiąc mnie za rękę, Etta chwyta mnie za drugą. Wbiegamy na parkiet. Jakiś włoski piosenkarz śpiewa stary amerykański przebój dyskotekowy, dziewczynki chcą, żebym z nimi zatańczyła. Początkowo się opieram. Przecież jestem stara, jestem żoną, matką i farmaceutką. Nie dla mnie skakanie w rytm muzyki po podłodze uginającej się pod ciężarem tych wszystkich stóp. Patrę jednak na twarz córki. Cała jest błaganiem, żebym zatańczyła, jakby chciała powiedzieć: „Jeśli ty zatańczysz, ja też będę mogła. Chcę mieć matkę, która jest szczęśliwa, wolna i tańczy, nie przejmując się, co pomyślą inni”.

I tak oto na tej górze, pomiędzy ludźmi, którzy kiwają się i podskakują, odpuszczam sobie. Czuję się bezpieczna w miejscu, gdzie nikt mnie nie zna. Jest ze mną corica, jej kuzynka, ale tak naprawdę jestem sama. W tym momencie nie mam męża ani dziecka. Żeby zbierać kamienie w strumieniu nad domem Papy, zdjęłam obrączkę i pierścionek zaręczynowy, a potem zapomniałam je założyć. Nie, dziś jestem Ave Marią Mulligan, dziewczyną, którą zostawiłam, gdy zdecydowałam się zrezygnować ze wszystkiego i wejść do rodziny MacChesneyów. Muzyka zabiera mnie do tego miejsca, w którym się znajdowałam, zanim odkryłam, że życie bywa bardzo skomplikowane.

Chiara, Etta i ja łapiemy się za ręce i ze śmiechem wirujemy w kółeczku. Ludzie na parkiecie nam ustępują. Odrzucam głowę i patrzę na niebo. Stanowię część większej całości i jednocześnie jestem całkiem wolna. Jestem tutaj, w swoim ciele, w tej chwili, i fruwać po atramentowym niebie pełnym białych gwiazdnych smug.

Gdy piosenka dobiega końca (co za pech!), Chiara i Etta z chichotem odbiegają na poszukiwanie Papy. Oddycham głęboko; serce bije mi bardzo szybko. Pochyliłam się i kładę ręce na kolanach. Jestem rozgrzana, ożywiona i spocona i dobrze mi z tym.

- *Ciao* - słyszę męski głos.

Spoglądam w górę i widzę niezwykle błękitne oczy.

- *Ciao* - odpowiadam.

Nieznajomy wyciąga rękę, z grzeczności nią potrząsam. Mężczyzna patrzy na mnie, jakby szukał słów. Chyba rzeczywiście szuka. Włoskich słów.

- Eee, *dove e...* - Robię, co mogę, żeby go zrozumieć. Łamanym włoskim pyta, czy z nim zatańczę, z której wioski jestem, i prosi, żebym pokazała mu garaż (jesteśmy na polu, nie ma tu żadnego garażu). Zamierzam go spławić. Ma piękne ręce, którymi bez przerwy wymachuje, żebym lepiej rozumiała, co usiłuje powiedzieć.

Poza tym jest bardzo przystojny i wysoki. Co za twarz! Przypomina Rocka Hudsona w *Telefonie towarzyskim*. Może to te ciemne włosy, a może spojrzenie. Na tym kończą się podobieństwa do gwiazdora. Nie ma nadwagi, ale rośnie mu brzuch. (A komu nie rośnie?).

Jest chyba nieco starszy ode mnie. Ma szeroką klatkę piersiową, z pewnością biega. Nie nosi okularów, włożył szkła kontaktowe, mruga raz za razem. Ma piękne białe zęby, przednie nieco dłuższe od reszty, co jest bardzo seksowne, oraz wąskie, kształtne usta (brak okrucieństwa, jedynie nadmierna praktyczność, jeśli wierzyć sztuce czytania z twarzy). Zdumiewający nos: prosty, nieco bulwiasty na czubku (to nos humoru i mądrości - koniuszek go zdradza).

- *Non capisco* - mówię.

- Dobrze, dobrze - mruczy, bardziej do siebie niż do mnie. Zirytowany, zerka w bok, daje sobie spokój z włoskim. - Patrzysz na mnie jak na wariata. Zresztą może jestem wariatem. - Rozumiem: bierze mnie za rodowitą Włoszkę. Czuję się jak zdobywczyni Nagrody Nobla, taka jestem z siebie dumna! Wyglądam na mieszkankę Bergamo! Spodnie, sweter i fryzura zrobiły swoje. Jestem stuprocentową Włoszką. Mogłabym ucałować tego faceta.

- *Si. Si.* - Macham dłonią, żeby mówić po angielsku, i gestami daję mu do zrozumienia, że staram się zrozumieć. Ale zabawa!

- Widziałem, jak tańczysz z tymi dziećmi. Poza tym jesteś urocza. Chciałbym z tobą zatańczyć. Masz śliczną buzię. Szczerze mówiąc, wszystko jest w tobie ładne.

- Tak? - pytam zalotnie.

Pokrzepiony moją reakcją, nieznajomy ciągnie:

- Zatańczysz ze mną?

- *Si* - mówię powoli, jak Gina Lollobrigida w *La Bellezza di Ippolita*.

Amerikanin bierze mnie w ramiona i przyciąga do siebie, obejmuje mnie w talii nieco zbyt nisko jak na nieznajomego. Sięgam za siebie i kładę jego dłoń powyżej pasa. (Dobrze się bawię, ale nie zamierzam przeholować).

Gdy piosenka dobiega końca, mężczyzna, najwyraźniej zebrawszy się na odwagę, mówi:

- Masz piękne oczy.

Odpowiadam uśmiechem, mam nadzieję, że tajemniczym i niezobowiązującym.

- Mógłbym cię kiedyś zaprosić na kolację? Będę tu jeszcze przez kilka tygodni...

No dobra, Ave, gra skończona. Odczep się od tego miłego pana.

- Jestem mężatką - mówię mu najczystszy akcentem z Appalachów.

- Powtórz.

- Jestem mężatką. I Amerykanką. Nie mogę cię dłużej nabierać. Przepraszam.

- Jesteś z Południa!

- Uhm. Z Wirginii.

- Potrafisz naśladować akcenty. Zrobisz Garbo z *Damy kameliowej*? - Nie wiem, czy uznał mój żart za śmieszny, czy obraźliwy. - A skąd w Wirginii?

- Z południowego zachodu. Blue Ridge Mountains, na styku z Appalachami. Nieopodal Cumberland Gap. - Kiedy jesteś z Big Stone Gap, zawsze musisz przesadzić z opisem. Nikt nigdy nie wie, gdzie leży nasze miasteczko.

- Czy to w pobliżu Szlaku Appalachów?

- Ściśle rzecz biorąc, szlak przebiega dokładnie przez salę ZPT w naszym liceum. Przynajmniej tak mówiła moja nauczycielka od zajęć praktyczno-technicznych, pani Porier.

- Tej jesieni będę szedł tym szlakiem!

- Poważnie? No to musisz wpaść do miasteczka. - Wyciągam rękę do przystojnego Amerykanina o ładnych oczach. - Nazywam się Ave Maria Mulligan. To znaczy MacChesney.

- Nie pamiętasz własnego nazwiska?

- Pamiętam. Po prostu na moment je zapomniałam. To znaczy nazwiska męża. - Jestem strasznie zakłopotana, właściwie czemu? Dlaczego on śmieje się tak konspiracyjnie? Czy ja flirtuję z tym człowiekiem?

- Jestem Pete Rutledge.

- Przyjemnie się z tobą tańczyło. - Nieźle, Ave.

Dałoby się wymyślić coś jeszcze mniej zręcznego?

- Dziękuję za taniec - mówi on.

Stoimy, patrząc na siebie. Nie chcę, żeby Pete odszedł, ale i nie chcę, żeby został.

- Dziękuję za komplement na temat mojego wyglądu - wyrzucam z siebie.

- Mówiłem poważnie.

- Wiem. Dlatego dziękuję. - Uśmiecham się jak właścicielka samochodu pochwalonego przez nieznajomą osobę.

Mężczyzna przechyla głowę i patrzy mi prosto w oczy.

- Jak bardzo jesteś mężatką? - pyta ze znaczącym uśmieszkiem. (A ja myślałam, że tylko rodowitym mieszkańcom Włoch jedno w głowie).

Nie odpowiadam, tylko odrzucam głowę i wybucham śmiechem. Odwracam się, by odejść, ale on łapie mnie za rękę.

- Jak długo tu będziesz? - pyta, po czym schodzi ze mną z parkietu.

- Niedługo wyjeżdżam.

- Kłamiesz.

- Owszem. Ale przez ciebie się denerwuję, a kiedy się denerwuję, kompulsywnie kłamię jak najęta.

- Dobrze wiedzieć. - Znowu się uśmiecha.

- Będę tu cały miesiąc. Nie w tym miasteczku, mieszkam z ojcem, w Schilpario.

- Jak się nazywa?

- Mario Barbari.

Pete pochyla się i odgarnia niesforny lok z mojego policzka.

- Zobaczymy się jeszcze?

- Nie.

- Jesteś grzeczną dziewczynką? - śmieje się Pete.

- Nawet nie wiesz jak.

Zagamiam dzieci do łóżek, żeby zostać sama i pomyśleć o tym, co się dziś wydarzyło. Skąd to ożywienie, te zawroty głowy? Zachowuję się jak Chiara i spółka, a nie rozsądna kobieta, którą przecież jestem!

Mam wyrzuty sumienia, że wciąż myślę o rozmowie z Pete'em Rutledge'em, więc idę do gabinetu ojca i dzwonię do Jacka. Odbiera po trzecim sygnale.

- Halo? - mówi zaspanym głosem.

- Cześć, to ja.

- Ave? - Najwyraźniej oprzytomniał, słucha. - Czy wszystko w porządku? Co z Etta?

- Ma się świetnie. Poszłyśmy do dyskoteki. I zaprzyjaźniła się z moją dziesięcioletnią cioteczną siostrą, Chiarą. Teraz są tu obie. - Dlaczego mówię tak głośno i szybko?

- No to znakomicie.

- Tęskniłam dziś za tobą. Były tańce.

- To się zdarza w dyskotece.

- No tak. No tak.

- Ja też tęsknię za wami obiema.

- Dzięki. - Nie chcę być egoistką, ale czy nie mógłby tęsknić tylko za mną? - To tyle.

- OK.

Zapada długa cisza; chyba czekam, żeby opowiedział mi, jak żyje, ale on milczy, a ja nie naciskam.

- Śpij dobrze.

Odkładam słuchawkę. Moje ciało drży, ale to nie z zimna. Jestem szczęśliwa! Przystojny nieznajomy uznał mnie za ładną kobietę! Tańczyłam z nim. Sprawilo mi to przyjemność, pachniał miętą i żywicą. I to wcale nie był tubylec szukający łatwej zdobyczy, tylko Amerykanin, który wziął mnie za włoską boginię. Wykręcam numer Theodore'a.

- Halo? - słyszę zaspany głos. Jego też obudziłam.

- To ja, Ave.

- Gdzie jesteś?

- W Schilpario.

- Jezu. Która godzina?

- Wczesna u ciebie, późna u mnie.

- Obyś miała dobry powód.

- Tańczyłam dziś w dyskotecce.

- Coś podobnego - mówi bez entuzjazmu.

- Nie bądź nieuprzejmy.

- Mogę zachowywać się, jak zechcę, skoro budzisz mnie o tak pogańskiej porze.

- Przepraszam. Theodore, jest tu pewien mężczyzna, Pete Rutledge. Uważa, że jestem śliczna.

- Jesteś śliczna. I masz męża.

- Wiem. Mógłbyś to napisać wielkimi literami na pocztówce i wysłać do mnie?

- Chyba faktycznie tak zrobię. - Słyszę, że Theodore siada na łóżku. Wreszcie zaczął uważnie słuchać.

- Wziął mnie za Włoszkę.

- Bo nią jesteś.

- Nie, za rodowitą Włoszkę. Stąd. Obciąłam włosy.

- Naprawdę muszę odłożyć słuchawkę.

- Okaż trochę cierpliwości - błagam.

- Próbuję.

- Kiedy Violetta z salonu Moderna obciąła mi włosy, zmieniłam się, naprawdę. Wręcz czułam, że inaczej chodzę. Szłam po górach i okazało się, że mam mięśnie, zupełnie jak w młodości, kiedy nie musiałam nad nimi specjalnie pracować. I dostałam szminkę, która, przysięgam, jest czarodziejska - nakładam ją i sama nie wiem, chyba jestem seksowna. Ja. Seksowna.

- Gdzie był Jack, kiedy flirtowałaś z tym Pete'em?

- Nie poleciał z nami. Siedzi w domu.

- To się dobrze składa.

- Sam tego chciał. To nie moja wina, że będę tu sama przez ponad miesiąc.

- Lepiej uważaj. Kobieta w kwiecie wieku puszczonej samopas we włoskie Alpy to idealna bohaterka spaghetti westernu ze złym zakończeniem.

- Theodore! Nic nie zrobię! Nigdy nie robię. Jestem rozsądną, praktyczną farmaceutką, czyżbyś zapomniał? - Czy Theodore nie wie, że pociąga mnie wyłącznie myśl o romansie? Odkładam słuchawkę. Mam tak spocone dłonie, że zostawiłam ślady na czarnej słuchawce. Wycieram je rękawem swetra.

Wszyscy w domu śpią. Idę na palcach do swojego pokoju na pierwszym piętrze, dużego, kwadratowego pomieszczenia z kominkiem i czterema oknami, i wysokim łóżem małżeńskim z baldachimem niemal sięgającym sufitu. To łóże królowej. Dziś jestem królową, która wraz z przystojnym księciem płynęła po parkiecie pod rozgwieżdżonym włoskim niebem.

Zamykam drzwi i ściągam mokasyny. Rozbieram się w ciemnościach i, całkiem naga, stoję przed wysokim lustrem w ramie ze złotych liści. Łagodne światło lampki podświetla moją sylwetkę. Stoję bokiem do lustra. Delikatne krągłości, po ciężach, nagle wydają mi się piękne. Moja skóra jest miękka i ciepła, pachnie wodą różaną, którą Mafalda zostawiła mi na toalecie. Potrząsam głową, a moje włosy spływają w gęstych, lśniących lokach, tak jak trzeba. Coś się dzisiaj stało. Znowu jestem dziewczyną i to mi się podoba.

Rozdział ósmy

Deszcz zaczyna padać w niedzielę w nocy, jeszcze zanim zasypiam. Papa napalił w kominku; budzi mnie zapach dymu, świeżego deszczu i makaroników Mafaldy. Etta i Chiara zeszły do piwnicy, malują kredą freski, a ja czytam o życiu Ornelli Muti (zaprzyjaźnionej z wnuczką Mussoliniego). Papa jest w sklepie Giacominy, pomaga jej w remanencie i spisaniu zamówień na sezon narciarski. *Nonna* poszła odwiedzić przyjaciółkę na tej samej ulicy. Papa upierał się, żeby jeszcze nie forsowała kostki i przełożyła wizytę na później. (Zgadnijcie, kto postawił na swoim?).

Jack dzwonił tego ranka, już nie śpiący, tylko ożywiony, i uważnie słuchał. Długo rozmawiał z Ettą, która mimo tęsknoty za ojcem dawno nie była tak szczęśliwa. Jest szczęśliwa, bo widzi, że i ja jestem. Pamiętam, jak w dzieciństwie widziałam zadowoloną Mamę - dałabym wszystko, żeby zobaczyć jej uśmiech. Kiedyś zaciągnęłam ją na nasze przyjęcie w teatrze, a ona śpiewała włoskie pieśni ludowe przed tłumem. Aż trudno mi było uwierzyć, że starczyło jej odwagi, by wystąpić przed tymi wszystkimi ludźmi. Była sobą, była wolna i szczęśliwa. Wciąż pamiętam wyraz jej twarzy. Gdyby tylko ta radość mogła trwać wiecznie. Mama miała w sobie tyle smutku, chciałam, żeby machnęła na niego ręką i wreszcie się śmiała. Tamtej nocy zrozumiałam, że mogła wieść radosne życie. Etta wie, że jestem tu szczęśliwa, i obu nam wychodzi to na zdrowie. Nie wolno mi zapomnieć o tym, co się z nią dzieje: sama przecież byłam córką.

Jack mówi mi o postępach, jakie on i koledzy robią w centrum rekreacyjnym w Appalachii. Opowiada nowinki z domu. Leah i Worley pobrali się przed sędzią pokoju; wszyscy podejrzewają, że Tayloe Lassiter ma romans z jubilerem z Pennington Gap, a Zackie Wakin, przejęty perspektywą rabunku, zamówił zestaw detektywistyczny z czasopisma, żeby przyłapać złodzieja. Wysypał specjalny niewidoczny proszek na wszystkie przedmioty w sklepie, a na drzwiach wywiesił tabliczkę, że wyjechał z miasta (żeby pozbyć się ich na dobre, powiedział Jackowi). I faktycznie ktoś był w sklepie w nocy - kiedy jednak przyjechała policja, zmyła proszek specjalnym rozpuszczalnikiem i zdjęła odciski palców, okazało się, że należą one do Zackiego. Najwyraźniej jest lunatykiem. Bardzo nas to rozbawiło.

Głos mojego męża brzmi inaczej niż zwykle. Jest ciepły i odrobinę bezbarwny. Tak jakby chciał powiedzieć: „Ja jestem tutaj, ty tam, nie mówmy o niczym poważnym”. Odkąd jednak tańczyłam z Pete'em Rutledge'em, chcę mówić o poważnych sprawach. Jeden taniec sprawił, że zapragnęłam naprawdę żyć. Brzmi to dramatycznie, ale taka jest prawda.

- Ave, byłaś wczoraj pijana?
- Co takiego?
- Kiedy zadzwoniłaś. Piłaś coś?
- Angosturę w dyskotecie. Ale nic więcej.

- Ile? - chichocze Jack.

- Nie upiłam się.

- Jesteś na wakacjach. Baw się dobrze.

Jakaś część mnie chce powiedzieć Jackowi wszystko, jak kiedyś, na początku. Godzinami leżeliśmy w łóżku, a ja mówiłam mu o rzeczach, o których nigdy wcześniej z nikim nie rozmawiałam. Teraz jest inaczej. Teraz nie mam ochoty się zwierzać, sama nie wiem dlaczego. Kiedy Jack odkłada słuchawkę, czuję ulgę. Skończyły się nam tematy do rozmowy.

Deszcz pada tak intensywnie, że na ulicy przed domem tworzy się rzeka i spływa do strumienia, który napędza wodne koło. Obraca się ono gorączkowo, pryskając wodą na wszystkie strony. Wracam do wspaniałego życia Ornelli Muti. Ach, te plotki! Nagle w drzwiach do gabinetu pojawia się głowa Mafaldy.

- Ave Maria, masz gościa.

Staję w drzwiach salonu prowadzących do kuchni i widzę Pete'a Rutledge'a w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym. Jest tak wysoki, że musi pochylać głowę w progu, jego szerokie ramiona niemal rozpychają framugę. Niebieskie oczy Pete'a kontrastują z jaskrawożółtym kołnierzem płaszcza. Ma mokre włosy i się nie ogolił. Podobnie wyglądał Clark Gable w *Zewie krwi*. Wolałabym, żeby nie wyglądał jak moi ulubieni gwiazdorzycy filmowi, ale pod pewnymi względami, w pewnym oświetleniu, przypomina mi ich. Kojarzy mi się z grą planszową z mojego dzieciństwa, „Randką w ciemno” - Etta ciągle grywa w nią z koleżankami - w której gracze kręcą tarczą, a za plastikowymi drzwiami odkrywają siedem różnych typów młodych Amerykanów, jeden lepszy od drugiego. Zagryzam wargę; świetnie, mam szminkę na ustach (jak Loretta Young, umalowana wszędzie, nawet w ośnieżonej tundrze). Dlaczego myślę o swoim wyglądzie? Serce zamarło mi w piersi, ogarnia mnie fala gorąca. Wstyd! Oddycham głęboko. Nie jestem przejęta jego wizytą; zdumiona, ale nie przejęta. Może jeśli będę to często powtarzała, uwierzę.

- Witam - mówię do niego, opierając się o framugę z dłońmi skrzyżowanymi na piersi.

- Wszyscy w miasteczku znają Maria Barbariego - uśmiecha się Pete.

- Jest tu burmistrzem od...

- Od trzydziestu siedmiu lat - kończy za mnie Mafalda.

- Wolno mi będzie pożyczyć sobie waszą Ave Marię na popołudnie? - pyta Pete Mafaldę.

- Nie mogę za nią decydować - mówi ciepło moja kuzynka. Nawet na niej ten Amerykanin wywarł wrażenie.

- Tu obok jest gospoda. Masz ochotę na kawę? - proponuje mi Pete. Mafalda natychmiast łapie dzbanek, ale ją powstrzymuję.

- Nie trzeba.

- Z przyjemnością to zrobię! - mówi Mafalda.

- Nie. Jeśli pan Rutledge poleca miejscową kawę, to przynajmniej mogę jej spróbować. -
Uśmiecham się do Pete'a, który odpowiada mi tym samym.

Łapię jedną z kurtek ojca z wieszaka w sieni. Tym razem wkładam kretyński kapelusik Robin Hooda. Pete przytrzymuje mi drzwi i wychodzimy na deszcz. Robię kilka kroków, a on równa się ze mną i szeroko rozpościera swój płaszcz, zagarniając mnie do środka. Początkowo się opieram, ale deszcz pada tak mocno, że wołam jednak nie moknąć. Muszę szybko przebierać nogami, żeby dotrzymać mu kroku; jego nogi pokonują dwukrotnie dłuższy dystans w tym samym czasie. Pete spogląda na mnie i wybucha śmiechem. Mam nadzieję, że to z powodu kapelusika. Wcale nie chcę się podobać temu facetowi.

Przytrzymuje mi drzwi, gdy wchodzimy do starej gospody. Ojciec mówił, że zimą, w szczycie sezonu narciarskiego, do lokalu przychodzą tłumy. Dziś jesteśmy tu tylko my i właściciel, stary człowiek z fajką, siedzi w kuchni i czyta gazetę. Aromat fajki wydaje się znajomy: to ten sam mężczyzna, który wraca do domu późną nocą. Z uśmiechem macham do niego, a on przygląda mi się i kłania. Pete wiesza płaszcz na krzesło, po czym pomaga mi zdjąć okrycie. Właściciel podchodzi do nas, a Pete fatalnym włoskim zamawia kawę. Bez słowa przyglądam się trzem jelenim łbom nad kominkiem. W izbie dominują tyrolskie akcenty, tak jak w domu ojca. Stoły wykonano z woskowanego drewna, każde krzesło jest z innej parafii, niektóre mają haftowane siedzenia, inne są proste i surowe. Siadam na jednym z dwóch mocno podniszczonych foteli przed kominkiem i prostuję nogi. Fotele są stare i bardzo niskie, równie dobrze mogłabym usiąść na podłodze. Pete siada obok, przesuwa fotel, by lepiej mnie widzieć.

- Jak się czujesz?

- Nieźle, a ty?

- Trochę zmokłem. - Przeczesuje palcami włosy. - Dlaczego nie nosisz obrączki?

Spoglądam na swoje ręce. Czemu wciąż zapominam o obrączce?

- Pomagałam Mafaldzie robić makaroniki.

- Wczoraj wieczorem nie robiłaś makaroników.

- Nie. Wczoraj wieczorem nie miałam obrączki, bo zdjęłam ją przedwczoraj, żeby wyciągać kamienie ze strumienia.

- Nie chcesz jej zgubić - mówi z zabójczym uśmiechem. Dobrze, że siedzę, gdybym stała, kolana ugięłyby się pode mną.

- Nie chcę. - Biorę się w garść i pytam wprost: - Co sugerujesz?

- Nic.

- To dobrze. - Odchylam się w fotelu, po czym siadam sztywno, kiedy wyskakuje jakaś sprężyna i dźga mnie w plecy.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Staruszek przynosi kawę. Patrzy na Pete'a, potem na mnie. Widzę, że przypadła mu do gustu miła amerykańska para, która schroniła się tu przed deszczem. We Włoszech wszyscy są niesłychanie romantyczni. Nie ma sensu wprowadzać staruszka w błąd. Odsuwam swój fotel od Pete'a. Muszę sprowadzić tę rozmowę na bardziej ogólny, przyjacielski poziom.

- Czym się zajmujesz? - pytam nieco zbyt radośnie.

- Marmurem.

- Jesteś artystą-rzeźbiarzem?

- Nie. - Śmieje się. Ma przyjemny śmiech, podobnie jak uśmiech. - Sprowadzam marmur. Na kominki. Ścieżki ogrodowe. Stoły.

- Interesujące. Duże jest zapotrzebowanie na marmur w New Jersey?

- Żartujesz sobie? To makaroniarska stolica świata.

- Hej, ja jestem makaroniarką - mówię mu.

- Ja też. W połowie.

Pół-Włoch. No dobra. Stąd ciemne włosy, potężny nos i zaczepianie mężatek.

- Moja matka była Włoszką - tłumaczy. - Pochodziła z Kalabrii. Tam ludzie są bardzo namiętni.

- Podobno.

- Nie lubisz gadki o niczym, prawda? - pyta.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, a ja przyglądam się nieznajomemu, gdy patrzy na ogień i popija kawę. Kim jest ten człowiek? Jaki mężczyzna używa słowa „namiętni” i wypytuje kobietę, dlaczego nie nosi obrączki? Pete wyciąga przed siebie długie nogi i opiera je o ścianę. Siedząc obok niego, czuję się jak karzełek, chociaż nie powinnam - wcale nie jestem drobna. Ten człowiek jednak zdaje się wypełniać sobą pomieszczenie. Mam ochotę utrzczyć mu nosa i coś wyjaśnić - faktycznie nie lubię gadki o niczym. Szczerze mówiąc, w ogóle nie lubię flirtowania. Wolę, kiedy ludzie wykładają kawę na ławę. Nauczyłam się cenić czas, marnotrawienie go to grzech.

- Może nie lubię gadki o niczym, bo ci nie wychodzi - mówię mu.

Zaskoczony Pete wybuchuje śmiechem. Czy istnieje coś bardziej seksownego niż mężczyzna, który śmieje się z twoich dowcipów? Wątpię. Upijam łyk kawy. Jest świetna.

- Czytałaś *Włochy Browninga*?

- Helen Clarke? Uwielbiam tę książkę!

- Nie rozumiem, jak można przyjechać do Włoch, wcześniej jej nie czytając.

- To moja ukochana historia miłosna.

- Roberta Browninga i Elizabeth Barrett? - pyta on.

- A myślałaś, że czyja?

- Może nasza. - Uśmiecha się. - Żartowałem.

- I dobrze. - A niech go, facet ma tupet. - Strasznie tu gorąco.

Wróćmy do Browningów, zanim on powie coś, przez co znowu zacznę się pocić. Odsuwam fotel od kominka.

- Dlaczego to twoja ulubiona historia miłosna? - pyta.

- Bo całkiem nieprawdopodobna. Elizabeth Barrett miała straszne życie - była chora, wręcz uwięziona w domu, pisała poezję. Dręczył ją okrutny ojciec. A potem Robert Browning wysłał jej swoje wiersze, zaczęli korespondować i zakochali się dzięki swoim słowom.

- Później Browning poprosił ją o rękę, Elizabeth bała się powiedzieć o tym ojcu, więc uciekli i zamieszkali w Rzymie - wpada mi w słowo Pete. - Wiesz, we Florencji można wynająć ich mieszkanie.

- Poważnie?

- Byłem w nim.

- Jak to?

- Mój przyjaciel wynajął je w zeszłym roku, a ja przyjechałem je zobaczyć.

- Wiedziałeś, że mieli syna?

- Penna.

- Zgadza się. Elizabeth nie posłuchała lekarzy. Mówili, że wyjazd do Włoch ją zabije i że nigdy nie urodzi dziecka.

- Ale ona poszła za głosem serca i wszystko dobrze się skończyło. To bardzo krzepiące, prawda? - Pete patrzy na mnie.

- Owszem.

- Czytałaś *Okna Casa Guidi*?

- Moja mama miała ten wiersz po włosku.

- To cacko. Chyba najlepszy wiersz Elizabeth Barrett Browning - mówi, a potem znowu spogląda w ogień. Nie mogę uwierzyć, że dyskutuję o poezji z mężczyzną. Kiedy to ostatnio robiłam? Kiedy w ogóle to robiłam?

- Eee... Opowiedz mi o sobie, Pete - proszę, czując ożywienie po kofeinie.

- Od początku?

- Jasne.

- Urodziłem się w New Jersey. Na Rutgers studiowałem teatrologię i scenografię. Skończyłem studia. Pracowałem w awangardowym teatrze w Nowym Jorku. Znudziło mi się. Wszedłem w spółkę z dawnym kumplem; rozkręciliśmy interes z marmurem. Teraz mieszkam w Hoboken. Raz w roku przyjeżdżam tu na dwa tygodnie, żeby kupić marmur.

- Jesteś żonaty?

- Nie.

Dlaczego się uśmiecham?

- Co cię rozbawiło?

- Nie wiem.

- Cieszysz się, że nie mam żony?

- Nie.

- Szkoda, mogłabyś się cieszyć - mówi, czubkiem buta dotykając mojej nogi. Odsuwam się.

- Dlaczego? - Pytam tylko dlatego, że strasznie chcę usłyszeć, co wymyśli.

- No cóż, gdybyś nie miała męża, nie siedzielibyśmy tu na kawie. - Spojrzenie Pete'a wędruje na szyld z napisem POKOJE, ze strzałką wskazującą na schody.

Nie ruszam się. Nie mogę. Jak mam ufać własnemu ciału, skoro w plecy dźgają mnie sprężyny, a nerwy po kolei odłączają wszystkie synapsy?

- O rany, to ta fryzura!

- Co?

- Dopóki nie obcięłam włosów, nie wzbudzałam takiego zainteresowania.

- Nie chodzi o włosy.

- Daj spokój. Nawet mnie nie znasz.

- Jak dotąd podoba mi się to, co widzę.

- Pete, może opowiem ci o tym, czego nie widzisz.

- Opowiedz. To będzie ciekawe.

- Niekoniecznie. Przez piętnaście lat byłam Starą Panną z Big Stone Gap.

- Sama się tak nazwałaś?

- Tak.

- Co to ma do rzeczy?

- Że długo czekałam na ukochanego. I potem za niego wyszłam.

- I jak się układa?

- Co?

- Twoje małżeństwo. Biorę głęboki oddech.

- Nieszczególnie.

- Dlaczego?

- Bardzo się różnimy.

- Czasem to dobrze.

- Niekiedy.

- A myślałaś, że jak będzie?

- W małżeństwie?

- Nie. Kochać kogoś. Kiedy byłaś Starą Panną - twoje określenie - jak sobie wyobrażałaś miłość?

Prostuję się w fotelu. Dotąd nikt mnie o to nie pytał, nawet Theodore. Zbyt zajmowało nas podtrzymywanie się nawzajem na duchu i nie starczyło nam energii na rozmowy o mrocznych, głębokich sprawach, które mógłby wydobyć na światło dzienne potencjalny kochanek. Jack Mac w ogóle nie dyskutuje na takie tematy.

- Myślałam, że miłość wszystko zmieni. Myślałam, że to szczęśliwszy, bezpieczny stan. No właśnie. I błogi. Że dzięki miłości człowiek staje się pełny.

- Niby jak miłość miała to sprawić? - pyta on. Zastanawiam się przez chwilę.

- Nie dałoby rady. - Niemal płaczę przy tych słowach. Przecieram oczy, mam nadzieję, że Pete złoży to na karb zmęczenia.

- Popsułem ci humor.

- Nie, nie. Powinam więcej o tym myśleć. - Mówię poważnie.

- Pewnie masz mnie za wariatkę.

- Mam cię za fascynującą osobę.

- Mnie? Daj spokój. - Wiercę się na fotelu. Kolejna sprężyna dźga mnie koło żebra.

- A więc co się między wami nie układa?

Nie odpowiadam, bo nie znam odpowiedzi. Zamiast tego wyniszczam sprawę.

- Mój mąż miał z nami pojechać na wakacje, ale w ostatniej chwili stwierdził, że nie jedzie, bo jego zdaniem powinnam się zastanowić i zdecydować, czy nadal chcę być jego żoną.

- A chcesz?

Powinam potwierdzić, ale tego nie robię.

- Być może pod koniec wakacji to on nie będzie mnie chciał.

- Chyba ważniejsze, czego ty chcesz?

- On też tak twierdzi.

- Ma rację.

Patrzę w świetle ognia z kominka, jak Pete pije kawę. Wyobrażam sobie, jak się pochyla i mnie całuje. Potrząsam głową, obraz znika.

- To chyba będzie dla ciebie interesujący miesiąc, prawda? - Uśmiecha się. Mógłby mieć trochę brzydsze zęby.

- I pracowity - ćwierkam. Skąd się wziął ten dźwięk? Oddycham głęboko. - W domu mamy terminarz pełen rzeczy, które należy zrobić. Giacomina, dziewczyna mojego taty, zaplanowała cały miesiąc. Lubię plany.

- Przede wszystkim powinnaś... - Pete kładzie dłoń na oparciu mojego fotela - wyrzucić terminarz.

Pete odprowadza mnie w strugach deszczu do domu. Giacomina i Papa wrócili już ze sklepu z nartami, jest pora kolacji. Jak ten czas leci! Wyjście na kawę trwało wiele godzin. Mafalda zaprasza Pete'a, a on nie odmawia. Od razu oczarowuje wszystkich; jest swobodny i zabawny, niczym długoletni przyjaciel rodziny. Myślę o swoim mężu, który w takiej samej sytuacji wolałby raczej słuchać niż mówić. Ja też lubię pomilczeć, ale kiedy wychodzisz za małomównego człowieka, ciężar konwersacji spoczywa zwykle na tobie. Odprężam się i pozwalam Pete'owi zabawiać towarzystwo.

Chiara i Etta opowiadają mi o meduzach w oceanie w Sestri Levante, on zaś mówi im o meduzach na wybrzeżu Jersey. Przy pożywnym gulaszu jagnięcym (Co robi Mafalda, że mięso jest tak kruche?) z chlebem dziewczynki niemal zakochują się w Pete'u. Uważnie słucha każdego słowa, a one, chcąc zrobić na nim wrażenie, na naszych oczach zmieniają się z dzieci w kokietki. Papa podpytuje gościa o mur, który chciałby wznieść za domem; Pete udziela mu użytecznych wskazówek. Papa dobrze rozumie się z Pete'em, podobnie jak z Jackiem. Ten Marmurowy Facet to wielki amerykański czarodziej. Omotał wszystkich domowników - wszystkich z wyjątkiem mnie. Ja się nie dam, mowy nie ma. Facet tak gładki na pewno nie jest szczerzy. Będę się dobrze bawić i na wszelki wypadek założę obrączkę. Łaskotanie, które odczuwam w obecności Pete'a, przypomina mi tylko, że żyję; wcale nie znaczy, że mogłabym się w nim zakochać; nie stanowi żadnego zagrożenia.

Układam dziewczynki do łóżek, a Mafalda zmywa naczynia, sprząta kuchnię i nakrywa stół do jutrzejszego śniadania. (Dobry patent na oszczędzenie czasu. Muszę o tym pamiętać w domu).

Papa i Giacomina siedzą na kanapie w salonie, przytuleni czytają gazetę. Ja siadam przy kuchennym stole, na krześle Pete'a Rutledge'a; no dobrze, już nazwałam krzesło na jego cześć, i co z tego? Wyszedł prawie godzinę temu, chociaż dziewczynki błagały go, żeby został.

- Napijesz się kawy? - pyta Giacomina, dotykając mojego ramienia tak jak kiedyś Mama.

- Mafalda już przygotowała czajnik do śniadania.

- Posprzątam po sobie, nie przejmuj się. - Giacomina z uśmiechem zapala gaz. Czysta góraska woda syczy w niebiesko-białym emaliowanym czajniku.

- Ty i Pete poznaliście się wczoraj na dyskotecę?

- Tak. Poprosił mnie do tańca. Szkoda, że się zgodziłam.

- Dlaczego?

- Jestem mężatką. - Mówienie tego na głos całkiem zabija pokusę. Warto o tym pamiętać.

- Taniec z mężczyzną to nic złego.

Patrzę na Giacominę. Czyżby żartowała? Myśl o przytulaniu się do obcego mężczyzny na alpejskim stoku, podczas gdy nad drzewami unosi się muzyka, to straszna rzecz. Giacomina wcale mnie nie zna. Wszystko albo nic. Wysłałam za Jacka MacChesneya pierwszej nocy, gdy się kochaliśmy. Nie na papierze, ale w głowie, tam się zaczął mój związek. Później, składając przysięgę przed księdzem, tylko to potwierdziliśmy. Żaden Amerykanin o zabójczym uśmiechu i długich nogach nie zmusi mnie

do złamania obietnicy. Co ja wygaduję? O czym myślę? Po niespełna dobre wyobraziłam sobie romans z kimś dopiero co poznanym. Włochy to niebezpieczne miejsce.

- Wszystko jest bardzo skomplikowane - mówi Giacomina.

- Co?

- Relacje między mężczyzną a kobietą.

- Nie, tak naprawdę to nie. Nic łatwiejszego. Składasz obietnice, po czym ich dotrzymujesz, i tyle.

- Łatwo powiedzieć.

- Nie, łatwo zrobić - upieram się. - Potrafię docenić przystojnego mężczyznę, który... - dlaczego tak mi trudno opisać Pete'a? - czyta poezję i opowiada zabawne historyjki. Ale to o niczym nie świadczy. Chyba odczuwam coś w rodzaju podziwu. - Nigdy tak naprawdę nie podziwiałam żadnego mężczyzny, dopóki nie zjawił się Jack MacChesney. Dlaczego teraz używam tego słowa w odniesieniu do Pete'a Rutledge'a z New Jersey? - Nie chodzi mi o podziw. Nie znam go na tyle dobrze ani nie poznam, żeby tak mówić. Powiedzmy, że jego towarzystwo sprawia mi przyjemność.

- Czyje?

- Pete'a.

- O, a ja myślałam, że może mówisz o mężu.

- Nie, o tym Amerykaninie.

Giacomina nalewa kawę, a ja patrzę, jak trzyma czajnik przez szmatkę w żółte i białe paski, a jej skromny złoty zegarek zwisa z przegubu, tarczą w moją stronę. Kiedy podaje mi filiżankę - przesuwają ją po stole, nie podnosi, tak jak Mama - mam ochotę jej się zwierzyć. Nigdy nie skłamałam matce. Zadawała mi pytania, jak przed chwilą Giacomina, i delikatnie prowadziła mnie do prawdy, dzięki czemu nie musiałam kłamać. Mogłabym przyznać się jej do najgorszych rzeczy, a ona i tak by mnie nie osądzała.

- No dobrze. Niech będzie. Trochę mi się podoba - wyznaję na głos.

- Jak nam wszystkim - uśmiecha się Giacomina. - Nie możesz być kobietą i pozostać obojętną. Widziałaś dziewczynki? - Potakuję. - Niektórzy mężczyźni tacy są. Iskrzą. Jak twój ojciec.

Zerkam na salon. Papa zasnął, jego głowa leży na oparciu kanapy niczym ozdobna poduszka. Po raz pierwszy wydaje mi się niemłody. W jego starzeniu się jest jednak coś niewymuszonego, naturalny wdzięk. To nie utrata, raczej zamiana podniet na wygodę. Włosy, teraz niemal całkiem srebrne, łagodniejsza linia szczęki i nieco wypukły brzusek zrobiły z niego dziadka. I on się na to zgadza. Z zadowoleniem.

- Wszystko jest pod kontrolą, Giacomino - głośno zapewniam samą siebie.

Leżę w łóżku, nie mogę spać (nigdy nie pijam kawy o tak późnej porze, co mi strzeliło do głowy?) i rozmyślam nad minionym dniem. Mam ten zwyczaj od dzieciństwa. Chcę zasnąć z czystym

kontem, na wypadek gdybym umarła we śnie. Przepraszam Boga za swoje wady, a przy okazji błagam Go, żeby pozwolił mi ogarnąć sytuację. Sporo się dzisiaj wydarzyło. Wyobrażałam sobie, że całuję mężczyznę, który bez wątpienia jest mną zainteresowany. Niedobrze. Zwierzyłam się mu z problemów w swoim małżeństwie. Niedobrze. Nie protestowałam, kiedy został na kolacji. Niedobrze. Zgodziłam się na ponowne spotkanie. Fatalnie. Teraz Pete Rutledge ma fanklub na Via Scalina 108. Obdarzyli go swoimi względami. Stał się częścią naszego życia! Czy ja się w nim zakochuję? Boże, to nienormalne! O co dziś chodziło Giacominie? Chce, żebyśmy zostawiła Jacka Maca, przeniosła się do Schilpario, wyszła za Pete'a Rutledge'a i zaczęła nowe życie? Jasne, że nie. Ale dlaczego myślę, że tego właśnie pragnie?

Siadam na łóżku.

Nagle uświadamiam sobie coś, co sprawia, że robi mi się niedobrze. Wciąż mam zahamowania! W tym problem! Chowam twarz w dłoniach, czuję, jak rumieniec wypełza mi na policzki. Myślałam, że już nie ukrywam uczuć, a decyzji dotyczących mojego ciała i życia nie podejmuję ze strachu, ale wciąż tak jest. Pete Rutledge sprawia, że tracę kontrolę nad swoimi emocjami i nie daję sobie z tym rady! Boję się, że narobi zamieszania i wtedy naprawdę wpadnę w kłopoty. W Big Stone Gap byłam taka zadowolona z siebie, wolna od pokus. Szczyciłam się tym, że pragnę jedynie swojego męża, że nigdy nie pożałowałam nikogo oprócz niego. Teraz jednak nie mogę tego powiedzieć. Nie mogę nawet tak pomyśleć, bo to nieprawda. Mam ochotę na romans z Pete'em Rutledge'em. Nieważne, że mi nie wolno, pragnę go. Dlaczego mu nie powiem, żeby dał mi spokój? Z zemsty za Karen Bell? Nie, nie wyznaję zasady: „Oko za oko, ząb za ząb”. Może właśnie o tym mówił Jack Mac. Może sądzi, że nie zdążyłam się wyszaleć, zanim wyszłam za mąż. Zostałam mężatką, ale nie porzuciłam nawyków starej panny: zabrałam je z Topolowego Wzgórza na Cracker's Neck, a teraz zaciągnęłam je przez Ocean Atlantycki do północnych Włoch! Ciągle jednak jestem tą samą kobietą i Jack MacChesney ma rację - brak mi uczciwości w kwestii własnych uczuć.

Pete obiecał dziewczynkom wyprawę w Dolomity, górskie pasmo graniczące z włoskimi Alpami. (Wiem, wiem, nie każcie mi opowiadać, jak do tego doszło: Pete przyszedł do nas z tablicą, żeby dziewczynki miały na czym rysować kredą, i zanim się zorientowaliśmy, całodzienna wycieczka została zaplanowana). To ponad siedemdziesiąt pięć kilometrów w jedną stronę, więc zamierzamy ruszyć bardzo wcześnie. Pete chce im pokazać kamieniołom, w którym wydobywa się marmur. Początkowo chcę zabrać Papę i Giacominę, ale zmieniam zdanie. Etta spędza czas ze wszystkimi, tylko nie ze mną, poza tym towarzystwo Pete'a jest miłe. Nie robię nic złego (wciąż to powtarzam), nie ma potrzeby unikać nowego przyjaciela. Rozśmiesza nas wszystkich. No i oczywiście chcę zobaczyć kamieniołom.

Dziewczynki walczą o miejsce obok niego. W końcu postanawiamy, że teraz usiądzie tam Chiara, a w drodze powrotnej Etta. Myślałam, że przez najbliższych pięć lat nie będę miała do czynienia z młodzieńczymi hormonami, ale pojawiły się przedwcześnie, w całej swojej chwale. Wyglądam

przez okno, a oni rozmawiają i chichoczą. Pete i ja co jakiś czas wymieniamy uwagi na temat drogi i odległości od celu, ale przez większość czasu siedzę pogrążona we własnych myślach.

Kamieniołom to ogromna jama u podnóża góry Assunta, nazwanej tak na cześć kobiety, którą kochało dwóch rywalizujących ze sobą braci. Umarła, a żaden z nich nigdy już nie pokochał innej. Pete opowiada o tym dziewczynkom, a one kiwiają głowami, szeroko otwierając oczy. Idziemy do kamieniołomu, Chiara podaje Etcie malutki słoiczek brzoskwiniowego błyszczyka do ust; moja córka wsadza do niego palce i ostrożnie smaruje wargi. Gdzie ona się tego nauczyła?

Kamieniołom jest głęboki, szeroki i czarny, wygląda jak jama piekielna w katechizmie, który Mama wiele lat temu podarowała mi na bierzmowanie. Robię krok do tyłu.

- Nic ci nie jest? - troszczy się Pete.

- Strasznie głęboko.

- No to nie patrz - mówi i odciąga mnie od krawędzi.

Odchodzimy od kamieniołomu na polanę pełną przyczep. To biura dyrekcji i podobnie jak w naszych kopalniach węgla w Big Stone Gap, wydaje się, że przycupnęły tu tylko na chwilę. Nie ma po co wznosić prawdziwego budynku; przyczepa wystarczy.

Pete prowadzi nas do największej przyczepy. Pokazuje dziewczynkom pudełka z próbkami, małe, chłodne kawałki wygładzonego marmuru, jasnoróżowe o złotych żyłkach, czarne pełne białych pasemek i moje ulubione, najrzadsze, błękitne jak lapis-lazuli z drobinkami, które przypominają czarny brokat.

- Podoba ci się najdroższy marmur - mówi do mnie Pete. Wkłada bryłkę do kieszeni moich dżinsów.

- To logiczne. - Biodro mnie mrowi w miejscu, w którym go dotknął. Wkładam rękę do kieszeni, żeby pozbyć się tego uczucia, cokolwiek to jest.

Pete pozwala dziewczynkom zabrać kawałki marmuru, które sobie wybrały. Gdy wracamy do furgonetki, oświadcza, że ma dla nas niespodziankę. Dziewczynki chichoczą podczas zjazdu z góry. Pete skręca z głównej drogi; nagle podskakujemy na zwirowej ścieżce, wzniesając tumany kurzu.

- Mamo, tu jest jak na naszej drodze - mówi Etta.

- Jakiej drodze? - chce wiedzieć Pete.

- Droga do kotliny Cracker's Neck¹. Tam mieszkamy.

- Cracker's Neck? - Wybuchają śmiechem.

- Ejże, nie wyśmiewaj się z Cracker's Neck - mówię.

- No właśnie! Nie wyśmiewaj się - powtarza Etta w przyływie lokalnego patriotyzmu.

- Jeśli uważasz, że to zabawne, to nie byłeś we Frog Level² ani w It-lee Bottom³ - dodaje.
- Muszę kiedyś zobaczyć to wasze Big Stone Gap - mówi Pete.

¹ *Cracker's Neck* (ang.) - dosł. kark wieśniaka.

² *Frog Level* (ang.) - poziom żaby.

³ *It-lee Bottom* (ang.) - makaroniarski zadek.

Jasne, mam ochotę mu powiedzieć. Przyjedź do Gap, poznasz mojego męża.

Na końcu zwirowej drogi znajduje się prymitywny parking, czyli kwadrat błotnistej polny, tak rozgniecionej kołami samochodów, że nie rośnie już na nim ani źdźbło trawy.

- Jesteśmy na miejscu! - oświadcza Pete.
- A co to jest? - pyta bez zainteresowania Etta.
- Nie, to jeszcze nie tu. Musimy dojść kawałek.

Wskazuje las. Idziemy za Pete'em i nagle przychodzi mi do głowy, że przecież nie znam tego faceta. Mógłby nas zabić, zostawić tutaj i nigdy by nie odnaleziono naszych ciał. Odwraca się i puszcza nas przodem, spoglądam mu w twarz i moje obawy znikają. To drzewa, tak wysokie, że zasłaniają niebo, i gęste podszycie sprawiły, że ciarki przechodzą mi po plecach.

- Skręćcie w prawo - mówi Pete do dziewczynek.

Skręcają, mijamy dwa potężne głązy. Na jednym widnieje czerwona strzałka.

- Patrzcie. Wskazówka! - wykrzykuje Etta. Kiwam głową, Chiara także - jej znajomość angielskiego jest bardzo ograniczona, nie wiem, czy moja kuzyneczka rozumie choćby połowę z tego, co mówi Etta. Porozumiewają się jednak tajemniczym językiem dziewcząt, teraz mam dowód, że jest uniwersalny. Słyszymy głośny syk, na początku jest trochę przerażający. To nie syk maszyny, jest też zbyt głośny jak na węża.

- Oto źródła mineralne na górze Assunta - oświadcza Pete. Przed nami znajduje się wodospad, spływa z intensywnie fioletowych skał, tak ciemnych, że niemal czarnych, porośniętych połyskującym, jasnozielonym mchem, i wpada do naturalnego zbiornika z przejrzystą wodą. Para wznosi się ku drzewom jak dym z papierosa w najlepszych ujęciach Bette Davis.

- Gorące źródła? - odwracam się do Pete'a.
- Niezwykle, prawda?

Dziewczynki podchodzą do skraju źródła i zanurzają ręce.

- Ciepłe, mam - mówi zdumiona Etta. - Jak w wannie.

Siadam na brzegu, zdejmuję buty i moczę stopy. Ciepło wędruje po całym moim ciele. Co za rozkosz. Słyszę w oddali dziewczęcy śmiech. Etta i Chiara wchodzą po wzgórzu, by dotrzeć do szczytu wodospadu.

- Ostrożnie! - krzyczę.

Znikają w wąwozie.

- Co ty na to? - dopytuje się Pete.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałam - mówię. Szkoda, że nie jestem sama, mogłabym zdjąć ubranie i położyć się w wodzie, by sole mineralne przenikły przez moją skórę i uleczyły duszę. Czuję zapach soli. Natychmiast odsuwam wizję samej siebie w tym źródle (zupełnie jakby Pete Rutledge potrafił czytać w myślach).

Pete zdejmuje buty i skarpetki, podwija nogawki spodni. Wchodzi do wody.

- Chodź do mnie - mówi.

Przez moment nie ruszam się z miejsca. Patrzę na niego przez parę. Podoba mi się za tą mgiełką, wygląda jak miraż, coś nierealnego, czego nie zdołam dotknąć.

- Chodź do mnie - powtarza.

Podwijam nogawki, po czym wstaję i powoli brnę ku niemu. Dno jest piaszczyste, co pewien czas trafiam na coś ostrego, jak muszla. Pete wyciąga do mnie rękę. Już mam do niego dotrzeć, kiedy nagle moja stopa wpada w jakąś dziurę. Pete łapie mnie za rękę, wyciąga z wody.

- Co to było? - Wpatruję się w dno.

Nie odpowiada. Patrzy na mnie. Otaczam rękami szyję Pete'a i kładę głowę na jego ramieniu, tylko na moment. Czuję szybkie bicie jego serca; już wiem, jak jest w jego objęciach. Gdybym mogła, pozostałabym w nich na zawsze, w tej unoszącej się z wody parze. Kropelki spływają z mojej łydki na jego rękaw. Wyciągam rękę i opuszczam nogawki. Kiedy patrzę w dół, Pete muska nosem moją szyję.

Słyszając w oddali śmiech Ety, wracam do rzeczywistości.

- Hm, może mnie puścisz - proponuję.

Pete nie słucha; niesie mnie na brzeg i ostrożnie stawia na półce skalnej.

- Jedźmy do domu - mówi cicho.

Pete Rutledge dopasowuje się do naszego życia w Schilpario, zupełnie jakby od początku był uwzględniony w wakacyjnych planach. Razem z nami jada posiłki, zwiedza Alta Città i jeździ pociągiem do Villa d'Este, wielkiego hotelu nad jeziorem Como, gdzie mieszkają wszystkie słynne gwiazdy filmowe. Od tamtego dnia na górze Assunta Pete przestał ze mną flirtować, ku mojej wielkiej uldze. Może piętnaście lat staropanieństwa nauczyło mnie zniechęcać zalotników. Mam taką nadzieję.

Gala przysłała telegram, w którym zaprasza nas wszystkich do Florencji. Jest przewodniczką wycieczki po Wielkiej Trójce - Rzymie, Florencji i Wenecji - i chce, żebyśmy spotkali się z nią w czasie weekendu. W telegramie wyrażam zgodę, ale nie piszę nic więcej. W ostatniej chwili Pete decyduje się jechać z nami, bo ma we Florencji sprawy do załatwienia. Dziewczynki są bardzo przejęte (no jasne). Jazda pociągiem sprawia nam dużą frajdę. Mafalda przygotowała lunch, dzieci przez całą drogę chichoczą i szepczą albo błagają Pete'a, by zagrał z nim w karty lub opowiedział, co widzimy za oknami.

- Byłaś kiedyś we Florencji? - dopytuje się Pete.

- Podczas miodowego miesiąca.

- Aha - mówi z uśmiechem.

We Florencji zaczynam rozumieć, dlaczego ściągali tu artyści. Gdziekolwiek spojrzysz, widzisz dzieło sztuki - promienie słońca na terakocie to obraz, układ kocich łbów to rzeźba, stary człowiek karmiący stadko gołębi - poemat.

- Mamo, możemy iść na most? - Etta wskazuje Ponte Vecchio nad rzeką Arno, skromną, mocną konstrukcję w kształcie litery U z cegieł o barwie dojrzałych brzoskwiń.

- Jasne. Ale najpierw spotkamy się z Galą.

Opuszczamy dworzec i idziemy na Piazza della Signoria, gdzie otaczają nas ozdobne kamienice, połączone ze sobą, lecz pomalowane na rozmaite odcienie szarości, błękitu i beżu. Zdobią je tylko lśniące czarne okiennice i złociste elementy wykończeniowe, ale to nieważne: sam kształt kamienic to dzieło sztuki. Stoimy na rogu ulicy San Marco i czekamy na Galę.

Etta wskazuje na kobietę po drugiej stronie wybrukowanego kocimi łbami placu.

- Patrzcie! Tam jest!

Etta nigdy nie spotkała Gali, ale zna ją z kaset wideo. Boże, ta to wie, jak urządzić wielkie wejście! Gala Nuccio wyłania się z tłumu turystów jak egzotyczny ptak z jeziora. Ludzie na placu zdają się rozstępować, żeby zrobić miejsce kobiecie, która idealnie pasuje do swojego dramatycznego imienia. Gala wędruje ku nam w białej letniej sukience z piki z turkusowymi liliami wodnymi na gorsie i dole, szerokim paskiem ściśniętej mocno kloszowej spódnicy muskającej jej kolana. Kwadratowy naszyjnik zdobi brązowy dekolt, wyraźnie widać rowek między piersiami. Gala ma na sobie ciemne okulary przeciwsłoneczne i olbrzymi słomkowy kapelusz, który chwyta wiatr niczym żagiel. Jakimś cudem chodzenie w czarnych szpilkach po kocich łbach nie sprawia jej najmniejszej trudności. Jak ona to robi?

Gala jest zachwycona naszym widokiem. Terkocze jak karabin maszynowy podczas rozmowy z Chiarą, z ciekawością wita się z Pete'em i wymienia z nim kilka anegdotek z Nowego Jorku.

Pete zabiera dziewczynki do katedry Świętego Pawła; Gala zaprasza mnie na cappuccino.

- Kto to? - piszczy w momencie, gdy Pete znika nam z oczu.

- Pete?

- A niby kto?

- Nowy znajomy.

- A gdzie jest twój mąż?

- Postanowił zostać.

- Duży błąd.

- Nic mnie nie łączy z Pete'em.

- Doprawdy?

- Gala, przysięgam.

- Może ciebie z nim nie, ale jego z tobą tak.

- Wie, że mam męża.

- Szczupli wysocy pół-Włosi nie zwracają uwagi na obrączki, skarbie.

Dotykam obrączki na palcu. Dzięki Bogu, że dziś nie zapomniałam jej założyć.

- To dżentelmen.

- Tak, bo wzięłaś dzieciaki. Jak znikną, zobaczysz, że się do ciebie dobierze.

- Jesteś okropna!

- Twój zapach nie zniknął po tym, jak wyszłaś za mąż, wierz mi. Feromony lekceważą małżeńskie przysięgi. Tak właśnie Matka Natura sprawia kłopoty. Jesteśmy zwierzętami. Zwykłymi zwierzętami, tak jak psy, krowy czy świnie. Raz cię powąchał i już po nim.

- Nie sądzę. - Nie mogę się nie roześmiać.

- Jack Mac to idiota. Puścił cię samą do Włoch! Musiałabyś być martwa, żeby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nie myśleć tu o seksie. Czy twojemu mężowi odbiło? Nie pilnuje cię w takim cudownym kraju, w którym wszystkie wyglądamy na szesnastolatki? Samotna kobieta we Florencji? To tak, jakby rzucić surowego hamburgera przegłodzonemu rottweilerowi. - Gala puszcza oko do przechodzącego mężczyzny. Nieznajomy przystaje, uśmiecha się i po chwili rusza przed siebie. - Jak ja uwielbiam swoją ojczyznę!

Tak jak mówił Pete, kościoły we Florencji pełne są arcydzieł tak zadziwiających, że aż niewiarygodnych. W katedrze Świętej Moniki oglądam malowidło ściennie przedstawiające Monikę z synem, świętym Augustynem. To chwila, w której ten łobuz został kapłanem, o czym jego matka marzyła przez całe życie. Jej spojrzenie, najwyższa radość wynikająca z ofiarowania ukochanego jedynaka Bogu, miesza się z głębokim żalem wynikłym ze straty. Chce mi się płakać. Patrząc na różowe i koralowe barwy na malowidle i myślę o własnym synku, o tym, jak na jego skórze wykwitły jasnożółte sińce, kiedy tuż przed jego śmiercią przyszła gorączka.

- Nic ci nie jest? - szepcze Pete.

- Skąd wiedzieli?

- Kto?

- Artyści. Skąd wiedzieli, co czuję?

- To ich specjalność - mówi mi Pete. Jak najszybciej zmiierzam do drzwi i wychodzę. Pete podąża za mną.

Dziewczynki idą do lodziarni za rogiem. Pete i ja siadamy na ławce.

- Co się stało?

- Nie wiem. - Łzy ponownie napływają mi do oczu. Pete obejmuje mnie ramieniem.

- Nie rób tego - mówię, a on szybko cofa rękę.

- Przepraszam.

- Etta tu jest. - Dlaczego to powiedziałam? Czy teraz pomyśli, że może mnie obejmować, kiedy nie ma Etty? Nie chcę tego. Czyżby?

- Czemu ten obraz doprowadził cię do łez?

- Nie będę o tym rozmawiać.

- Dobrze - mówi cicho.

Ja jednak chcę to z siebie wyrzucić, po tych wszystkich latach. Czy nie po to tu przyjechałam? Czy nie przyleciałam do ojczyzny, do Włoch, by znowu nauczyć się czuć? Patrząc na zatroskaną twarz Pete'a.

- Miałam... Mieliśmy syna. Młodsze od Etty. Miał na imię Joe. Zmarł prawie trzy lata temu.

- Jak?

- Na białaczkę.

- Przykro mi.

- To kolory na obrazie i pociągnięcia pędzlem wyglądały jak sińce Joego. - Patrząc na Pete'a i mogłabym przysiąc, że rozumie moje słowa. Nie wiem jak ani dlaczego, ale je rozumie. Nieważne, że jestem mężatką: potrzebuję pociechy, więc pozwalam się objąć; nie jestem jednak w jego ramionach, tylko gdzie indziej, ze swoim synem.

Etta i Chiara wciąż nie wracają. Szukam ich wzrokiem w tłumie.

- Kolejka była długa, tak szybko nie przyjdą - informuje Pete.

Siadam wygodniej i nagle Pete patrzy mi w oczy. Wiem, że lada moment mnie pocałuje. Zrywam się z ławki i wołam córkę. Zza rogu wyłania się roześmiana Chiara, za nią Etta. Gestem ręki daję znak, by do nas dołączyły.

- Mamo, dobrze się czujesz? - Etta patrzy na mnie, potem na Pete'a.

- Już w porządku. Przypomniał mi się Joe.

- Och - mówi.

- Kim jest Joe? - chce wiedzieć Chiara.

- Opowiem ci o nim - odpowiada Etta.

- Kto ma ochotę na sjęstę? - Pete bierze mój przewodnik i torbę. Wracam z dziewczynkami do hotelu. Pete idzie do siebie i zapowiada, że ma wielkie plany na kolację.

Zabiera nas do Cielo, małej restauracji w bocznej uliczce. Okazuje się niezwykle urokliwa - na ścianach wiszą stare garnki, sufit pełen jest maleńkich białych lampek na drutach. Po najsmaczniejszym posiłku w moim życiu, złożonym z gnocchi (kopytek) w delikatnym śmietanowym sosie, kotle-tów z jagnięciny z grilla ze świeżą szalwią i kielicha mocnego chianti oraz gorącego espresso i kęsa ptysia Etty, czuję się znacznie lepiej.

W drodze na Ponte Vecchio Pete szykuje następną niespodziankę i prowadzi nas pod mieszkanie Elizabeth Barrett i Roberta Browninga na rogu Piazza San Felice. Pokazuje okna, a ja wyobrażam sobie poetkę opisującą ze szczegółami uliczną paradę.

- Myślisz o wszystkim - mówię do Pete'a, a on tylko się uśmiecha.

Gala jedzie do Wenecji ze swoimi Amerykanami (nie mogła towarzyszyć nam podczas kolacji, zabrała turystów do opery). Rankiem wracamy do Schilpario. Dziewczynki biegną przed nami, słyszę, jak ich śmiech odbija się od kamiennych murów wąskiej uliczki.

- Odwiozę was do domu i pojedę do Rzymu - oświadcza Pete.

Czuję ukłucie rozczarowania. Co ja sobie myślałam: że Pete będzie zabawiał mnie w nieskończoność albo przynajmniej do końca mojego urlopu, dopóki nie spakuję walizek?

- W interesach? - pytam pozornie od niechcienia.

- Tak. - Milczy przez chwilę. - Pewnie się już nie zobaczymy.

- Rozumiem. - Jasne, że rozumiem. Pete widział, jak rozkleiłam się nad synem, i zrozumiał, że sytuacja jest nieco bardziej skomplikowana, niż sobie początkowo wyobrażał. No i dobrze, tak będzie najlepiej. Nie powinnam cieszyć się na spotkanie z nim i liczyć na to, że zabierze nas w różne miejsca, będzie oprowadzał i rozśmieszał.

- Za bardzo się tu zaangażowałem - mówi Pete.

- Rozumiem - odpowiadam. Mówię prawdę.

Rozdział dziewiąty

W Bergamo odbywa się przedstawienie kukiełkowe, Giacomina chce zabrać na nie dziewczynki, Papa więc też planuje spędzić z nimi dzień w miasteczku. Zia Meoli zaprosiła nas wszystkich na kolację. W ostatniej chwili postanawiam im towarzyszyć. Zrobię zakupy, kiedy dziewczynki będą na przedstawieniu. Pete nie odzywa się od powrotu z Florencji. Minął niemal tydzień, a im dłużej nie ma Pete'a, tym bardziej przytomnieję. To niesamowite, jak we Włoszech uczucia potrafią się wymknąć spod kontroli. Zbliża się pora naszego wyjazdu, zaczynam myśleć praktycznie. Dolar stoi tu mocno, a ja jeszcze nie kupiłam prezentów dla Ivy Lou ani dla Fleety. Zażądały skórzanych toreb, zamierzam im przywieźć najpiękniejsze torby w całych północnych Włoszech.

Sklepy w Bergamo są małe i eleganckie, ale na szczęście niezbyt drogie. Powinnam targować się ze sprzedawcami, nawet przećwiczyłam to z Papą. Usiłował wbić mi do głowy, że sprzedawcy nie oczekują od klienta, że zapłaci cenę widniejącą na metce, lubią negocjacje. Ja jednak jestem zbyt uprzejma i zbyt strachliwa, żeby się targować. Zamierzam tylko wybrać i zapłacić, i dlatego zakupy niemal natychmiast stają się męczarnią. Macham na nie ręką i idę na espresso. Między sklepami i na każdym rogu można znaleźć kafejkę. Wybieram największą, tam gdzie są przyjazne parasole w czerwono-zielone pasy, małe stoliki i gięte krzeselka, z których można podziwiać Fontannę Aniołów. Siadam wygodnie, opieram stopy o przenośny płotek, który oddziela ogródek od ulicy. Zamykam oczy i głęboko oddycham.

- Kogo my tu mamy?

Otwieram oczy i widzę Pete'a Rutledge'a. Serce zamiera mi w piersi, ale zręcznie to maskuję, pospiesznie zrywając się z miejsca.

- Jak tam Rzym? - pytam nieco zbyt szybko.

- Kupiłem fantastyczny marmur od pośrednika.

- Masz szczęście.

- Muszę przetransportować go do domu. W Basking Ridge czeka klient, który ma na drugie Rococo. - Wybucham śmiechem. Pete siada. - Kiedy wyjeżdżasz?

Nie odpowiadam od razu. Patrząc, jak białe anioły na fontannie wylewają wodę z dzbanów.

- Pod koniec przyszłego tygodnia.

Podchodzi kelner, Pete składa zamówienie dla nas obojga. Siedzimy w milczeniu; o czym tu gadać? Kelner przynosi espresso.

- Potrzebuję twojej pomocy, Pete. Muszę kupić torebkę dla Ivy Lou i drugą dla Fleety. Nie umiem się targować. Zrobiłbyś to za mnie?

- Rany - mówił Pete pod nosem, a po chwili wybucha śmiechem. Płaci rachunek i prowadzi mnie za łokieć między parasolami. Klepię go po plecach jak starego psa, w nadziei, że moja platoniczna serdeczność poprawi mu samopoczucie.

- Przy tej ulicy jest dobry sklep ze skórzanymi rzeczami. Papa mi o nim opowiadał.

Pete łapie mnie za rękę i przystaje.

- To mój hotel - mówi, wskazując prosty budynek z białej cegły, z markizami w czarno-białe pasy. Na mosiężnej tabliczce widnieją czarne, napisane kursywą litery *HOTEL D'ORSO*.

- Sympatycznie wygląda.

- Jest sympatyczny.

- Dobrze wiedzieć. Prawda? Gdzie jest porządny hotel. Ruszam przed siebie. Pete ponownie mnie zatrzymuje.

- Chodźmy do mnie - mówi.

Spoglądam mu w oczy. Ich błękit jest całkiem przejrzysty, choć Pete mruży powieki. Pochyliła się, jego usta są tak blisko moich, niemal ich dotykam. Jeśli go pocałuję, wiem, że pójdziemy do hotelu. Po prostu wiem. Trzymam dłonie w kieszeniach. Usiłuję zwinąć lewą rękę w pięść. Czy pamiętałam, żeby włożyć obrączkę? Czuję chłodny metal. Pamiętałam!

- Nie mogę. - Robię krok do tyłu.

- Dlaczego?

- Bo jestem mężatką. Teraz wiem, skąd się wziął ten stary zwyczaj noszenia obrączki. Ma przypominać, że człowiek jest zajęty, i trzymać go z dala od kłopotów.

- Ave Maria! Ave Maria! - Oglądam się i widzę Stefana, przyszłego męża Etty, na rowerze. Znakomicie, przyłapaną na gorącym uczynku. Fantastycznie.

- *Ciao*, Stefano! - wołam. Chłopak spogląda na Pete'a. - To Pete.

Witają się, a ja z ulgą robię krok do tyłu. Dzięki Stefanowi udało mi się odzyskać równowagę. Uświadamiam sobie, że przecież równie dobrze mogłam się natknąć na Ettę. Muszę z tym skończyć. To nieuczciwe, nie chcę brać w tym udziału. Niemal poszłam do tego hotelu i nienawidzę się za to. Stefano odjeżdża.

- Chodź do mojego pokoju.

- Nie.

- W porządku. Zgoda. Ale chcę wiedzieć jedno. Boję się tego pytania tak bardzo, że zamykam oczy.

- Chcesz tego?

- Oczywiście, że chcę. I nienawidzę siebie za to. Nawet nie cierpię o tym mówić!

- Zostań ze mną.

- Mówiłam ci, że nie pójdę z tobą do hotelu.

- Nie, mam na myśli Włochy. Nie wracajmy. Zostańmy tutaj. Popatrz tylko.

Spoglądam na kocie łby, na budynki z markizami, na Włochów, którzy nigdy się nie spieszą, którzy delektują się piękną pogodą i dobrym posiłkiem. Ludzie chodzą po ulicach tego miasteczka tak jak w Big Stone Gap. Patrzą na nas, kiedy przechodzimy. Nie powinnam się oszukiwać: znają mnie. Może nie z nazwiska, ale na chodniku przed hotelem widzą mężatkę pełną poczucia winy, usiłującą oprzeć się urokowi mężczyzny, który nie jest jej mężem.

- Pete?

- Tak?

- Jesteś stuknięty - mówię mu, ale wiem, że właściwie chodzi o mnie. To ja jestem stuknięta. Uważam, że mam wszystko pod kontrolą, chociaż wcale tak nie jest.

Znalazłam fantastyczną torebkę z krokodylej skóry w kolorze burgunda dla Ivy Lou i wielką beżową torbę dla Fleety (doskonałą do noszenia słodyczy). Spoglądam na swoje włoskie łupy na łóżku, bardzo z siebie dumna. Przyszłam, zobaczyłam, targowałam się. Niezupełnie. Pozwoliłam, żeby kobieta ze sklepu targowała się za mnie. Pytałam, ile co kosztuje, a potem, zamiast pertraktować, wzruszałam ramionami, a ona sama zaczęła obniżać cenę.

Kupiłam puchary czarny sweter dla Jacka i buty dla siebie. Pearl dostanie ręcznie robiony koronkowy szal na ślub. Nie musimy niczego kupować Etcie; dziadek zarzucił ją ubraniami i butami, nawet dał jej złoty łańcuszek z wisiorkiem w kształcie aniołka.

Nie widzieliśmy Pete'a Rutledge'a od dnia, w którym prawie mnie pocałował. Nie przyszedł na kolację do cioci Meoli. Zadzwoił raz w ciągu tygodnia, żeby powiedzieć, że jeszcze zobaczy, co z marmurem w Dolomitach, zanim wróci do New Jersey. Nie myślę o nim. Nieprawda. Myślę o nim i, jeśli mam być całkiem szczerą, wyobrażam sobie, co by się stało, gdybym pocałowała go wtedy na chodniku przed hotelem D'Orso.

- Ave Maria! *Telefono!* - woła Mafalda u podnóża schodów.

- *Ciao?*

- Dziewczyno, to ja, Iva Lou.

- Cześć, skarbie. Co u ciebie? Czekać, aż zobaczysz torebkę...

- Nie mam dużo czasu. James Varner nie może się wyleczyć z letniego przeziębienia, więc znowu jeżdżę bibliobusem.

- Dobrze. Co się dzieje?

- Kiedy wracasz?

- W przyszłym tygodniu.

- Psiakrew. Za późno. Skarbie, sytuacja awaryjna.

- Czy coś się stało Jackowi?

- Nic mu nie jeeest. - Iva Lou wydłuża słowo „jest”, aż w słuchawce rozlega się syk.

- A tobie?

- Dziewczyno, nikomu nic nie jest. Ale musisz wracać do domu. I się spieszyć.

- Dlaczego?

- Mam nie najlepsze wieści z Coeburn.

- Co? - Nogi uginają się pode mną. Siadam na schodach.

- Tak. Nie chcę cię ranić, skarbie, ale chodzą słuchy, że Jack Mac zamierza się z tobą rozwieść i ożenić z tą koszmarną Karen Bell. Wszyscy myślimy, że to jakiś głupi kryzys wieku średniego, i na pewno wynika z samotności. Pewnie facet okropnie za tobą tęskni. Musisz wrócić do domu i wziąć sprawy w swoje ręce, skarbie. Płonie stodoła. Rozumiesz? - Słyszę, jak Iva Lou się zaciąga; pali tylko w chwilach wielkiego stresu.

- Jak mógł to zrobić? Mówił, że poczeka. - To wszystko moja wina. Spędzałam lato z Pete'em, a tysiące kilometrów stąd Jack Mac wyczuł, że sercem też nie jestem z nim, zatem i on mnie opuścił.

- Muszę pomyśleć, jak się pozbyć tej kłępy.

- Iva Lou, nic nie rób!

- Mężczyzna nigdy nie zostawi kobiety, jeśli nie znalazł innej. Gdyby jej nie było, nie miałybyś problemu.

Chyba pożegnałam się z Iwą Lou, ale wcale tego nie pamiętam. Trzymam słuchawkę jak chochlę. Sygnał przyciągnął tu Mafaldę. Wyjmuje mi z rąk słuchawkę i odkłada ją na miejsce.

- Gdzie dziewczynki?

- Poszły do koła wodnego.

Wracam do swojego pokoju i siadam na łóżku. Nagle ogarnia mnie zdumiewający spokój. Wierzę, że mężczyzny nie należy trzymać na krótkiej smyczy, tylko na długiej; jeśli dajesz mu wolność, zawsze do ciebie wróci. Może Jack Mac właśnie w taki sposób sprawdza długość tej smyczy. W końcu o to chodziło, gdy postanowiliśmy spędzić wakacje osobno. Dzięki tej podróży mieliśmy zdecydować, czego pragniemy. Nic nie mogę z tym zrobić, dopóki nie powrócę do domu. Nie zamierzam zatruwać sobie cudownego pobytu w Schilpario myślami o Karen Bell, i nie będę dzwonić do Jacka. Zachowam spokój. Po raz pierwszy w życiu nie wpadnę w panikę i nie będę zamartwiała się czymś, na co nie mam żadnego wpływu.

Zsuwam nowe mokasyny z błękitnego zamszu (jak ja kocham włoskie buty!) i wkładam traperki. Pójdę w góry, to mnie uspokoi. Mafalda zapewnia, że zaopiekuje się dziewczynkami. Idę ulicą, mijam domy i miejski rynek. Ławeczki są puste, przy stołach szachowych też nikt nie siedzi, plac zapełni się dopiero w trakcie *la passeggiata*.

Docieram do drogi prowadzącej na pastwiska nad miasteczkiem. Drzwi kaplicy Świętej Klary są podparte puszką farby. Właśnie w tym miejscu wiele lat temu poślubiłam Jacka Maca (tu odbyła się druga ceremonia, żeby ojciec mógł poprowadzić mnie do ołtarza). Coś każe mi wejść do środka.

Woń farby miesza się z ciężkim zapachem kościelnych kadzideł. Wchodzę na galerię dla chóru, jakbym coś zgubiła i nagle sobie przypomniała, gdzie. Rozglądam się dookoła w nadziei, że pamięć mnie nie zawiedzie. Nie zawodzi. Tam jest, Błogosławiona Maryja w staroświeckiej sukni do kostek i gwiazdzistej koronie. To witraż wykonany przez mojego pradziadka - wspinam się i dotykam żłobień każdej płytki, granatów i lśniących burgundów; części idealnie do siebie pasują. Żeby zobaczyć, co przedstawia obraz, trzeba się cofnąć.

Przypominam sobie swoją patronkę, Ave Marię Albricci, która zajęła się moją ciężarną matką w drodze do Ameryki. Nie mogę zapomnieć, kim byłam, zanim wyszłam za Jacka MacChesneya: dziełem sztuki, wykonanym przez matkę. Opisywałam samą siebie mało znaczącymi słowami - prosta, zwyczajna, czasem zabawna. Tymczasem one nie są w stanie mnie nazwać, nie potrafią wyrazić tego, co jest we mnie. Mam swoją wartość. Nie można mnie wyrzucić jak starych butów ani uważać za coś oczywistego, jak woda w kranie. Jestem kimś więcej niż żoną Jacka MacChesneya, kobietą, którą się zmęczył i wymienił na bystrą i seksowną panią z tartaku. Daj spokój, Jack, to do ciebie nie pasuje. Ożeniłeś się ze mną, pamiętasz? Uważasz mnie za okropną żonę. Może i nią jestem. Może i nie kocham się z tobą, ale daj spokój, przestało mi na tym zależeć po śmierci Joego. Byłam w żałobie. Cierpiąc, nie mogłam zadbać o potrzeby Jacka. Nie mogłam nawet zająć się sobą. Weszło mi to w zwyczaj; unikałam bliskości. Za bardzo cierpiałam. Pragnęłam się wycofać i zostać sama. Nie mogłam się sobą dzielić. Chciałam kontrolować jedyną rzecz, na którą miałam wpływ, kiedy straciłam Joego: to, komu pozwalałam zbliżyć się do siebie. Jeśli Jack MacChesney tego nie rozumie, jeśli okazał się tak płytki i samolubny, to nie jest mężczyzną, za jakiego go brałam. Karen Bell. Dajcie spokój.

Całuję witraż Błogosławionej Maryi. Nie myślę o świętych relikwiach, ale o swojej matce. Wiedziałyby, co robić w takiej sytuacji; przemówiłaby mi do rozumu. Właściwie to mam nadzieję, że gdziekolwiek jest, nie wie, jak spędzałam to lato (jakże odpowiednio do sytuacji odczuwam nieco katolickiego wstydu w tej pięknej kaplicy).

Wychodzę. Popołudniowe słońce razi mnie w oczy, więc mrużę powieki. Otwieram je po chwili i widzę, że na końcu ścieżki stoi Pete Rutledge, oparty o wypożyczoną przyczepę z kamieniołomu. Na początku myślę, że nie jest prawdziwy. Tylko dlaczego biegnę ścieżką i rzucam mu się w ramiona? Dlaczego płaczę?

- Co ci się stało? - pyta, odsuwając mnie od siebie i lustrując od stóp do głów.
- Targowałam się i kupiłam okazji torebkę dla Ivy Lou - mówię, pospiesznie wycierając oczy.
- Dobra dziewczynka. Przepraszam, że nie pomogłem ci zbić ceny.
- Wróciłeś.
- Musiałem cię znowu zobaczyć.
- Dlaczego?

- Jesteś mi winna pieniądze - mówi z poważną miną. - Czterdzieści siedem dolarów. Za bilety do Florencji.

- Przepraszam. Mam pieniądze w domu.

- Nie chcę pieniędzy. - Uśmiecha się łagodnie, przyciąga mnie do siebie i wkłada ręce w tylne kieszenie moich dżinsów. Chwila jest aż nazbyt odpowiednia. Mogłabym go mieć bez żadnych wyrzutów sumienia. Kto by się dowiedział? Tysiące kilometrów stąd mój mąż uciał sobie romans.

- Chcesz zobaczyć łąkę pełną dzwonków? - pytam.

- Dobrze.

I tak odziana w odpowiednie obuwie i silna, z nogami umięśnionymi po miesiącu wspinania się, prowadzę Pete'a Rutledge'a ścieżką na pasmo górskie nad Schilpario. Przyklękam i patrzę na niego. Brzęczenie pszczół zagłusza łomot mojego serca po wspinaczce (czy też raczej z nerwów). Chwytam oddech.

- Boże, nigdy dotąd nie widziałem niczego takiego.

- Patrz. Patrz. Kozy. - Wskazuję na odległą grań, gdzie chłopiec odgania zwierzęta od skraju pastwiska. - Czy to nie jest biblijny obrazek?

- Tak. - Pete mruży oczy.

Chcę mu opowiedzieć o Karen Bell, ale nie potrafię. Uznałby Jacka za drania, a tego nie chcę. Niech myśli, że wracam do męża, który kocha mnie nad życie. Do męża, który przez całe lato ciężko pracował i tęsknił do mnie każdej nocy, i marzył o wzięciu mnie w ramiona po moim upragnionym powrocie. Do męża, który nawet nie spojrzy na inne kobiety, bo żadna z nich nie dorasta mi do pięt, ani te młode, ani te piękne, ani te okropne flirciary. Do męża, który pragnie seksu wyłącznie ze mną, także w swoich fantazjach. Do męża, który widzi moją twarz, kiedy stawia ścianę z płyty kartonowo-gipsowej, i na moją cześć idealnie wykonuje swoją pracę. Do męża, który uważa moje fantazje o innym za zdrowe, normalne i korzystne dla naszego związku. Do męża, który jest tak cudowny, że mnie kocha, nawet gdy źle go traktuję. Do męża, który nie sądzi, że będę miała coś przeciwko wyjazdowi na wakacje bez niego, jakby był suszarką do włosów, którą niechcący zapomniałam spakować.

Rześki, chłodny wiatr porusza dzwonkami, nadciągnęła samotna biała chmura.

- Pragnę cię, Ave Maria. - Nie patrzy na mnie, za to ja uważnie mu się przyglądam. Wietrzyk targa włosy Pete'a, a jego oczy, zmrużone przed słońcem, mają taki sam kolor jak dzwonki.

- Mówisz rzeczy, które...

- Co?

- Rozklejają mnie. - Przewracam się na bok i toczę się jak dziecko. Pete robi dokładnie to samo. Nagle nieruchomiejemy, pełzną ku niemu. Śmiejemy się głośno, mogłabym przysiąc, że pasterz, który jest co najmniej piętnaście kilometrów stąd, patrzy w naszym kierunku z niesmakiem, zły za zakłócanie spokoju tej sielskiej okolicy.

- Pete, wcale mnie nie pragniesz.

- Niby dlaczego?

- Bo nie daję sobie rady.

- Z czym?

- Z targowaniem się. Z żalobą. Pożądaniem. Kryzysem wieku średniego mojego męża. Z niczym. Od wszystkiego uciekam. Znajdź dzielną dziewczynę, w której się zakochasz. Tego właśnie potrzebujesz.

- Skąd możesz wiedzieć, czego potrzebuję?

Od dziesięciu lat nikt się za mną tak nie uganiał. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam od Jacka, że mnie pragnie, nie mogłam w to uwierzyć. Uwielbiam pierwsze chwile z mężczyzną. Mówi ci, że jesteś piękna, że nie ma takiej drugiej jak ty i że jesteś jedyną osobą na świecie, z którą może szczerze rozmawiać. Co za poczucie więzi i bliskości!

- Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś? - chce wiedzieć Pete.

- Chciałam, żebyś zobaczył dzwonki.

- Już kiedyś widziałem dzwonki. - Mówi to w taki sposób, że wybucham śmiechem.

- Ale nie takie.

- Nie. Nie takie. - Patrzy na mnie. - Zapytałaś, czemu wróciłem. Mam ci powiedzieć?

- Jestem ci winna czterdzieści siedem dolarów.

- Bez żartów.

- Dobrze. Bez żartów.

- Zostawiłaś mnie pod hotelem w Bergamo. Miałem fatalną noc. Chciałem o nas zapomnieć, dlatego już nie pojawiłem się w Schilpario. Ale nie mogłem. Musiałem cię znowu zobaczyć.

- Dlaczego?

- A dlaczego ty zmusiłaś mnie do wspinaczki na tę górę? Ty też tego pragniesz.

Nie odpowiadam. Leżymy na plecach, patrząc w niebo. Pete przetacza się na mnie. Przesuwam nogę, żeby wbić obcas buta w ziemię i się wysunąć, on jednak obejmuje mnie nogami i nie mogę się poruszać. Chcę powiedzieć coś w rodzaju „złaż ze mnie”, ale podoba mi się jego zapach, ciepły oddech i to, że mnie tak przygwoździł. Wsuwa mi dłonie pod plecy i nieco mnie unosi, całuje mnie w szyję. Nie mam co zrobić z rękami, poddaję się. Obejmuję go, dotykam jego pleców i ramion, a potem biorę jego twarz w dłonie. Teraz jestem pewna, że mam wielki, wielki kłopot.

Wargi Pete'a dotykają moich tak delikatnie, że czuję się w obowiązku coś powiedzieć, ale milczę. Chcę się całować z tym mężczyzną. Po raz pierwszy od wielu lat znowu jestem w swoim ciele. Czuję swoje kości, słyszę bicie serca i oddech. Moje usta przywierają do warg Pete'a jak do kubka gorącego miodu. Nie jestem już sobą. Znalazłam się tak daleko od tego, co znam, że nawet nie mam imienia. Powietrze mnie przenika, jakbym była parą. Czuję, że ciało Pete'a zaczyna się poruszać. To-

czymy się na dzwonki. Chcę, żeby mnie wziął. Słońce mnie oślepia, Pete je zasłania i znów mnie całuje. Rozpina moją kurtkę i obejmuje mnie w talii. Pewnie mam z osiemdziesiąt stopni gorączki - żar bije ze mnie jak z pieca. Odrywam się od Pete'a i spoglądam na grań, kozy i pasterz zniknęli. Nie ma świadków! Jesteśmy sami. Mogę zrobić to, czego pragnę, być sobą, zrobić coś tylko dla siebie. Czy na to nie zasłużyłam? Czy w życiu nie chodzi o rozkosz, poczucie bliskości i dzikie pocałunki? A co innego się liczy? Trzeba żyć - tylko jak? Przecież mój mąż, pewnie właśnie w tej chwili, uprawia seks z kobietą, która nosi tabliczkę z zaciskiem i zbyt obficie skrapia się wodą Charlie. Pocałuj tego mężczyznę, przekonuję samą siebie. On cię rozumie.

- Pete. Przestań. - Mówię to tak cicho, że Pete nieruchomieje.

- Dlaczego?

- Nie mogę. Nie, złe słowo. Mogę to zrobić. Ale tego nie zrobię.

- Ave.

- Nie. Nie zrobię tego. Chcę, ale nie zrobię. Nie można robić takich rzeczy wyłącznie z egoizmu. To musi mieć znaczenie.

- O kim ty mówisz? O ludziach czy o sobie?

Kręcę głową. Już kiedyś słyszałam ten ton i te słowa. Jack MacChesney uważał tak samo. Kiedy ktoś jest zbyt blisko mnie, zawsze uogólniam i przemawiam w imieniu dużej grupy: tym razem w imieniu wielkiej społeczności kobiet mających ochotę na seks z mężczyzną, który nie jest ich mężem. Mówię o „tych kobietach” - nie mówię „ja”.

- Tak, myślę o sobie. Dobrze mi z tobą. Ale to jest złe. Zapinam kurtkę i mocniej wiążę sznurówki.

- To nie jest złe. To, co nas łączy, nie jest złe - mówi cicho Pete.

- Nie, nie jest. Byłoby nam ze sobą doskonale. Ale ja mam męża.

Pete wstaje i przeczesuje włosy palcami, jak zawsze. Robi kilka kroków po ścieżce ku grani. Jest wysoki, na tle słońca wygląda jak bohater teledysku - milczy, patrzy na mnie, czeka, aż zagra muzyka.

- Pete? - Prostuję nogą dzwonki zgniecione przez nasze harce. - Podobasz mi się, ale cię nie kocham. Przepraszam. Kiedyś pewien mężczyzna miał jedną zasadę - kochał się tylko wtedy, gdy dał kogoś uczuciem.

- Facet był świętym.

- Nie, nie jest święty. To mój mąż. - Gdybym tylko mogła powiedzieć mu prawdę. Jack Mac nie zachowuje się jak mój mąż, pewnie tego lata pogwałcił własną zasadę.

Chcę się delektować ostatnią nocą w Schilpario, wcześniej idę spać. Po tarzaniu się po pastwisku z marmurowym potentatem z New Jersey dochodzę do wniosku, że przyda mi się trochę czasu w samotności. Kiedy żegnałam się wczoraj z Pete'em, towarzyszyły mi Etta i Chiara. Chyba były bardziej

przygnębił ode mnie. Pete wydawał się zrezygnowany. Potrzebuję odosobnienia i odpoczynku. Jadę do domu na bitwę, mam przecucie, że przegram.

Przewracam się na bok i próbuję zapomnieć pocałunki Pete'a. Nie mogę kłaść się na plecach, bo czuję go na sobie, zupełnie jakby leżał w tym łóżku. Tak, te pocałunki były prawdziwe, a prawdziwe pocałunki są niebezpieczne. Mogłabym iść do niego i poprosić o więcej. Dzięki Bogu, że Pete mieszka tak daleko.

Chyba sprawia mi przyjemność myśl, że w New Jersey Pete będzie usychał z tęsknoty za mną. Mogłam się z nim kochać i wyrównać rachunki z Jackiem MacChesneyem. Mam jednak sumienie. Nie mam wpływu na to, co robią inni, w tym mój mąż. Za to znam swoje serce. Nie byłabym w stanie spojrzeć sobie w oczy, gdybym kochała się z innym mężczyzną. Od dziś na pewno nie zdejmę już obrączki. Przyjdzie dzień, w którym pomyślę o Pete'u, marmurowych kominkach i drzewach południowego New Jersey jak o skrawku nieba tu, na ziemi, ale nie pragnę tego skrawka. Mam swój bezpieczny zakątek, dom w kotlinie Cracker's Neck. A może on nie należy już do mnie? Może zabrała mi go Karen Bell? Jedno wiem na pewno: jeszcze nigdy w życiu nie byłam taka zagubiona. Przez ten bałagan zatęskniłam za czasami staropanieństwa; wtedy wszystko wydawało się łatwe. Bycie *femme fatale* wymaga sporo wysiłku.

Wyczerpana Etta śpi spokojnie. W drodze do Włoch nawet nie zmrużyła oka, a teraz jest jedną z tych zblazowanych Amerykanek, które wykorzystują czas podróży na odespanie zaległości. Moja córka bardzo wypiękniała tego lata. Jest też pewniejsza siebie, ma osobowość i poczucie humoru. Cóż za szczęście, że trafiło mi się takie wspaniałe dziecko. Siedemdziesiąt dwa razy napisała „Stefano” z tyłu swojego notesu. We Włoszech nawet Etta stała się romantyczna.

Chyba nie wyczuwa, jak bardzo obawiam się tego powrotu do domu. Robię wszystko, by uchronić ją przed moim niepokojem. Może oszukuję samą siebie; może to dziecko jest jak koralowa gąbka przyniesiona z plaży w Sestri Levante. Może chłonie wszystko i staje się to częścią niej samej. A może zorientuje się później i mnie za to znienawidzi. Oby nie.

Lotnisko Tri-Cities jest puste. Etta i ja wysiadamy z małego turbośmigłowca i idziemy po bagaże. Patrzę w szybę widokową na pierwszym piętrze lotniska, oczekując, że ujrzę za nią Jacka, stąd podobnego do manekina w sklepie. Nie ma tam jednak nikogo. Etta i ja wchodzimy do strefy odbioru bagażu.

- Tatuś! - krzyczy Etta i biegnie ku ojcu.

Jack przytula ją i całuje, Etta go ściska. Jack dobrze wygląda; za dobrze, jest szczupły i opalony, skóra łuszczy mu się na nosie. Spodnie opinają jego uda, pewnie od pracy na budowie - nie chcę myśleć o tym, co jeszcze mógł robić ani z kim. Teraz jestem tylko Mamusią, patrzę, jak tulą się do siebie. Zawsze uwielbiałam widok córek z ojcami. Jack spogląda na mnie z uśmiechem.

- Czy mamusia nie jest piękna? - mówi głośno Etta.

- Owszem, jest - mówi Jack i muska moje wargi w zdawkowym pocałunku.

„Na tyle piękna, żebyś jej nie zdradzał?” - mam ochotę zapytać, ale mówię tylko:

- Dziękuję.

- Etta, skarbie, zgadnij, kto jest w aucie?

- Kto, tatusiu?

- Może zajrzysz?

Etta otwiera drzwi. Kot Sio spaceruje po fotelach, z ogonem wygiętym jak ozdobny świąteczny łańcuch. Skacze wprost w jej ramiona.

- Boże Wszechmogący, czy twój bagaż się rozmnożył? - śmieje się Jack, niosąc nasze torby do samochodu.

- Nauczyłam się targować - mówię, jak najwierniej naśladowując Galę Nuccio.

W drodze do Big Stone Gap Etcie nie zamykają się usta, co mnie cieszy. Nie chcę zaczynać rozmowy z mężem, bo wiem, że będzie poważna. Najlepiej dla nas wszystkich, jeśli zachowam bez troskę. Kiedy wjeżdżamy do Gap, na szczycie wzgórza widzę reflektory na scenie Teatru pod Chmurką. Różowe i białe snopy światła wystrzeliwiają w błękitny zmierzch. Zawsze najbardziej lubiłam tę porę dnia. Jeszcze kilka lat temu spędzałam każdy wieczór w teatrze. Pędzimy przez miasteczko, nie mówię ani słowa. Skracamy z Shawnee Avenue, wyjeżdżając z Gap od południowej strony w kierunku Cracker's Neck. Etta spogląda na ojca.

- Tatusiu, możemy zatrzymać się w Glencoe? Przywiozłam coś Joemu.

Jack skręca w Beamontown Road. Gdy dojeżdżamy do wejścia, okazuje się, że ozdobna brama jest zamknięta na kłódkę. Jack zaczyna skręcać do domu.

- Zatrzymaj. Przeskoczmy przez płot - mówię. Jack dziwnie na mnie patrzy. - Zawsze to robimy.

Wychodzę z furgonetki, omijam bramę i przechodzę przez niski płotek na cmentarz. Etta wręcza mi Sio, potem pomagam jej przejść.

Za nią idzie Jack. Zapada noc, nagrobki toną w delikatnej mgle. Wspinam się po wzgórzu prowadzącym do kwatery Mulliganów. Nawet nie czuję tego w nogach; wędrówki po Alpach poprawiły mi kondycję. Mimo zapadającej nocy wciąż widać nagrobek Joego. Wodzę palcami po żłobieniach w literach tworzących jego imię oraz napis „Ukochany syn i brat”. Czarny marmur. Białe żyłki.

- Jak się wam podobają niecierpki? - odzywa się zza mnie Jack. Etta stawia kota na ziemi, podchodzi do nagrobka i pociąga nosem. Czerwone i białe niecierpki tworzą piękne, jaskrawe obramowanie.

- Śliczne.

- Mamusiu, to jak marmur na górze Assunta.

- Wiesz, czego bym chciała? - mówię do córki. - Żeby to był ten niebieski marmur z czarnym brokatem.

- O czym ty mówisz? - pyta cicho Jack.

- We Włoszech byliśmy w kamieniołomie, w którym wydobywa się marmur.

- Mamo, zdejmij ten kamień z grobu - mówi Etta.

- Nie, nie zabieraj go - prosi Jack.

- Dlaczego?

- Położył go tu Lew Eisenberg. To ma coś wspólnego z żydowską wiarą.

Zostawiamy kamień. Zanurzam rękę w kieszeni i kładę obok niego bryłkę marmuru o barwie lapis-lazuli.

- Skarbie, weź Sio - mówię do Etty. Podnosi kota. Na cmentarzu jest zbyt ciemno, by odczytać napisy na nagrobkach. Pora wracać do domu.

Biorę długą kąpiel i uświadamiam sobie, jak bardzo brakowało mi naszej dużej białej emaliowanej wanny i wody tryskającej z rur. We Włoszech wciąż ma się wrażenie, że trzeba oszczędzać wodę, ledwie kapie z ich kurków. To jedyna niepochlebna rzecz, jaką mogę powiedzieć o tym kraju. Gdyby mieli lepszą hydraulikę, byłby rajem na ziemi.

Wstaję z wanny, w ogóle się nie przytrzymując. Jestem w dobrej formie, mogę podnieść się z wody niczym Wenus. Palcami u stóp chwytam korek i go wyciągam - widać stopy też mam silniejsze. Wycieram się i wkładam nową koszulę nocną - z białej bawełny, na ramiączkach, ozdobioną na dekolcie małymi rozetkami ze wstążek. To pożegnalny prezent od Giacominy. Traktuje mnie bardziej jak siostra niż przyszła macocha.

Jack leży już w łóżku, nie śpi. Wsuwam się pod kołdrę po swojej stronie.

- Dobrze wyglądasz - mówi do mnie. To jednak nie jest zachęta. Brzmi jak komplement pod adresem dania z suszonej wołowiny.

- Dzięki. Sporo chodziłam. Chyba zacznę biegać. Miło być w dobrej formie.

- Świetnie.

- Jack?

- Tak? - odpowiada bardzo szybko. Może chce mi coś powiedzieć?

- Jak minęło lato?

- Całkiem nieźle.

- Tęskniłeś za mną?

- Bez ciebie i Etty było inaczej.

- Wiem, że tęskniłeś za Ettą. Ale chodzi o mnie. Tęskniłeś za mną? Jack patrzy na sufit. Ma ręce założone za głowę.

- Jasne, że za tobą tęskniłem - mówi do sufitu.

- Tylko się upewniam. - Przekręcę się na drugi bok. On też się odwraca w moją stronę, ale nie wyciąga ręki i nie przytula mnie do siebie. Zamiast tego kładzie dłoń na moim udzie.

- Naprawdę nabrałaś mięśni w tych Alpach - zauważa.

To ostatnia rzecz, którą pamiętam, zanim budzę się rankiem.

Iva Lou spotyka się ze mną w aptece na śniadaniu. Mam dla niej nową torebkę, ona dla mnie garść pletek. Pogłoska o Tayloe Lassiter okazała się prawdziwa; dziewczyna nosi kolczyki z jednokaratowych brylantów w uszach. Doktor Daugherty dał Zackiemu tabletki na uspokojenie, żeby poradził sobie z paranoją w kwestii złodziei. Pearl i doktor Taye Bakagese są coraz bardziej zakochani.

- No już, przejdźmy do rzeczy - mówi Iva Lou, smarując tost masłem.

- Jesteś pewna tej historii z Jackiem i Karen Bell?

- Nie przyłapałam Jacka na gorącym uczynku, ale w zasadzie jestem pewna. Powiem ci wszystko, co wiem. Nie myśl sobie, że przyszło mi to bez wysiłku. James Varner w końcu wyzdrowiał i chce jak najszybciej powrócić za kółko bibliobusu, ale nie pozwolę mu na to, bo jeśli mnie zastąpi, nie będę mogła jeździć do Coeburn i stracę źródło informacji.

- A kto jest tym źródłem?

- Najlepsza przyjaciółka Karen Bell, Benita Hensley. Bibliotekarka z Wise.

- Świetnie.

- Jak Jack Mac się do ciebie odnosi?

- Jak do siostry.

- Niedobrze.

- Może to już koniec, Iva Lou.

- Nie mów tak! Nigdy tak nie mów! Naprawdę się kochacie! Pomyśl, jak długo czekaliście na siebie. Daj spokój.

- To o niczym nie świadczy.

- Tyle czekałaś i chcesz to wszystko stracić? I to z jakiego powodu? Seksu? Co się z tobą dzieje? Nie zależy ci?

- Iva Lou, coś mi się przytrafiło.

- Coś okropnego. Wiem, skarbie. Zostałaś zdradzona. Strasznie mi przykro. - Iva Lou smaruje tost pomarańczowym dżemem.

- Poznałam kogoś.

- Co takiego? - Patrzy na mnie. Z tonu mojego głosu domyśliła się, że chodzi o mężczyznę. - Zakochałaś się, to chcesz mi powiedzieć?

- Nie, nie jestem zakochana. Ale on mógł zakochać się we mnie.

- Jaki on?

Opowiadam Iwie Lou o Pete'u Rutledge'u, o pocałunkach na łące pełnej dzwonek.

- No cóż, to okropnie romantyczne, zaraz się rozplącę. Mówisz jednak, że go nie kochasz. Dlaczego więc chcesz zostawić wszystko, co masz?

- Nie chcę. Nie umiem ci tego wytłumaczyć, Iva Lou. Naprawdę nie chcę. Ale miłość do Etty i Joego w końcu zastąpiła romantyczną miłość do Jacka. Miłość do dzieci jest dla mnie ważniejsza niż uczucie do męża i ochota na Pete'a. Czy też na jakiegokolwiek mężczyznę. Wstydzę się tego. Wiem, że mąż powinien być najważniejszy, i właśnie stąd, z tego uczucia, bierze się miłość do dzieci. Gdy Joe jednak zachorował, uświadomiłam sobie, że między mną i Jackiem zmieniło się już po narodzinach Etty. Córka stała się miłością mojego życia. Kiedy pojawił się Joe, byłam zachwycona, że mogę dać Etcie brata, a Jackowi syna. Ale wiedziałam też, że Jack spadł na trzecią pozycję. Po Etcie i Joem, moich nowych miłościach.

- Och, strasznie to poplątałaś. - Iva Lou szpera w torebce i wyciąga papierosy. - Wiem, wiem, rzucę.

Wtyka papierosa między wargi i zapalając go, kiwa dłonią, żebym kontynuowała.

- Nie chcę, żeby to brzmiało zbyt skomplikowanie.

- Skarbie, to nie powinno tak wyglądać. Są dwa rodzaje miłości, żadna nie jest ważniejsza od drugiej. Różnią się od siebie. W miłości do męża chodzi o ciebie, miłość do dzieci jest bezinteresowna.

- Wiem. Kłóci się to ze wszystkim, w co wierzę. Jak myślisz, czy Jack czuł, że jest numerem trzecim? Nie brak mu rozumu.

- Masz rację. To pierwsza prawdziwa rzecz, jaką dziś powiedziałaś.

- Nawet nie jestem na niego wściekła. Co się ze mną dzieje?

- Mechanizm obronny. Poddajesz się ze strachu, że całkiem go utracisz.

- Nie mamy już ze sobą o czym rozmawiać.

- Rozmawiacie o Joem?

- Nie.

- W tym problem. Wciąż o nim myślicie, a nikt nic nie mówi. Obwiniasz go. Jack nie zaraził Joego białaczką.

- Nie, ale również go nie ocalił, prawda? - Nie wierzę, że to powiedziałam. Zdarzało mi się o tym pomyśleć, ale nigdy nie wypowiedziałam tego na głos.

- Ave, posłuchaj mnie. Jack nie mógł uratować Joego. Nikt nie mógł.

- Ale...

- Nie ma żadnych ale. Przestań. Niszczysz tym swoje małżeństwo. I wciąż kurczowo trzymasz się złych uczuć, na które nie ma już miejsca.

- Wiem. - Iva Lou ma rację.

- Co planujesz? - Patrzy na mnie. - Bo, skarbie, gwarantuję ci, że cholerna Karen Bell ma jakiś plan. A ty?

Rozdział dziesiąty

Fleeta, która zarzekała się, że nie chce mieć nic wspólnego z bufetem, teraz siedzi do późna i piecze desery. I to wcale nie te najprostsze. Pearl kupiła aluminiowe lady do ciastek, osłonięte szkłem, żeby eksponować aksamitne torty, orzechowo-cynamonowe keksy z lukrem posypane orzeszkami w cukrze i wysokie na kilometr ciasto czekoladowe z polewą. („Sekret polega na tym, żeby dodać do masy kubek mocnej kawy zamiast wody” - zdradziła mi Fleeta). Za ladą wisi tabliczka SPECJALNOŚĆ DNIA! i tablica z wypisanymi nazwiskami jubilatów (mają prawo do darmowego deseru lodowego w dniu urodzin). To niewiarygodne, Pearl trafiła w dziesiątkę. Strzeż się, Norton.

- Mówię ci, mam kupę pracy, ale ją uwielbiam - twierdzi Fleeta, wchodząc za ladę.

- Myślałam, że nie chcesz bufetu w aptece.

- Nie chciałam, dopóki się nie pojawił. A potem spodobało mi się pieczenie i przygotowywanie lunchów. Właśnie dodałam do menu fasolową i chleb kukurydziany. Widzisz?

- Fleeta, trafiłaś na namiętność swojego życia.

- Może. - Fleeta oblewa się rumieńcem; nie chce wyobrażać sobie siebie jako namiętnej osoby.

Ed Carleton nieźle sobie poradził jako mój zastępca. Wdrożył się; nowe recepty są z tego ranka. Dobrze się czuję, wkładając fartuch i zajmując swoje miejsce za ladą. Tęskniłam za pracą. Przeglądałam nowe recepty. Jest tu recepta Alice Lambert na bardzo mocny lek osłonowy, zazwyczaj wypisywany chorym na raka, by osłabić mdłości po chemio- i radioterapii.

- Fleeta? Co się dzieje z Alice Lambert?

- Mówiłam Eddiemu, żeby wysłał jej recepty do apteki Pomoc w Appalachii.

- Nie, w porządku.

- Ma raka. Pewnie skąpstwo ją wykończyło.

Co za lojalność. Fleeta nie może przebaczyć Alice jej zachowania po śmierci mojej matki. Kiedy odliczam dwadzieścia cztery maleńkie różowe tabletki i kładę je na nożu, skąd trafiają do butelki, zastanawiam się, czemu jest mi smutno. Czyżby dlatego, że Alice Lambert to ostatnia postać z mojego dawnego życia? Czy po jej śmierci przejdzie ono do historii?

Etta jest w miasteczku, spędzi tę noc u przyjaciółek. Na pewno opowie im o swoim uczuciu do Stefana, o Pete'u Rutledge'u i brzoskwiniowym błyszczyku. Nad łóżkiem zawiesiła plakat z Tomem Cruise'em. Zapewne pod wpływem Pete'a zaczęła gustować w brunetach o zabójczym uśmiechu.

Jack pracuje dziś do późna, tak przynajmniej twierdzi. Ja kładę się o zwykłej porze; często po przebudzeniu widzę, że mój mąż, już ubrany, parzy kawę. Usiłuję nie zasypiać, żeby sprawdzić, czy w ogóle się kładzie; wiem, że pewnej nocy zasnął na fotelu w salonie, przy włączonym telewizorze. Czekam na właściwy moment, by porozmawiać, ale on najwyraźniej wciąż nie nadchodzi. Może Jack mnie unika, nie jestem pewna.

Po raz pierwszy od powrotu mam okazję obejrzeć dom. Muszę schować fotografie z wakacji. Zanudzałam wszystkich znajomych, od St. Paul po Pennington Gap, zdjęciami pokrytych śniegiem szczytów Alp - już dość. Wysłałam kilka odbitek Papie, resztę schowam do pudełka, gdzie poczekają, aż przełożę je do albumów. Wyciągam pudełko z szafy w korytarzu. Słyszę miauczenie. Sio patrzy na mnie, zirytowany, że znalazłam jego kryjówkę. Pospiesznie całuję go w łebek.

Przeglądam zawartość pudełka. Jest prawie pełne, naprawdę muszę kupić albumy na zdjęcia. Wbijam wzrok w twarze na fotografiach. Wyglądamy na szczęśliwych; jesteśmy rodziną. Zdjęcia z ostatnich świąt są równie pogodne i radosne jak te sprzed wielu lat. Wracaliśmy do równowagi, byliśmy gotowi znowu świętować. A jednak coś czułam. Bałam się, już wtedy, że Jack Mac odsuwa się ode mnie. To nie była paranoja. Wiem, że wszyscy mężczyźni oglądają się za kobietami, ale nie mogłam zapomnieć o tym głupim balu na Halloween. Pamiętam go z najmniejszymi szczegółami, pamiętam nawet mdły zapach popcornu, gdy patrzyłam, jak mój mąż gawędzi sobie z Karen Bell. Co za głosik w głowie szepcze nam: „Uważaj!”? Skąd wiemy, kiedy poważnie potraktować sygnały ostrzegawcze, zamiast zwalić je na napięcie przedmiesiączkowe, starzenie się albo kiepski dzień?

Odkładam zdjęcia do pudełka. W szafce wiszą płócienne robocze kamizelki Jacka. Nie prał ich pod moją nieobecność (no jasne): po prostu je nosił i odwieszał. Ściągam kamizelki z wieszaków i idę na oszkloną werandę, żeby je wyprać.

Wyjmuję z kieszeni klucze, gwoździe, śruby i kartki papieru. Układam wszystko w schludny stosik na suszarce. Kiedy wrzucam kamizelki do pralki, słyszę szelest. Wyciągam jedną z nich i raz jeszcze przeszukuję kieszenie.

Po chwili trafiam na małą, poskładaną kartkę. Przypomina mi liściki z czasów liceum, jej brzegi są postrzępione. Rozwijam ją i czytam:

Najdroższy Jacku,

To było najlepsze lato w moim życiu. Pamiętaj, że cię kocham.

Zaczekam. Karen.

Ostrożnie składam karteczkę. (Dlaczego?). Jestem odrętwiała. Ten list sprawił, że wszystko stało się prawdziwe, wszystko, włącznie z tym sercem, które narysowała zamiast „o” w słowie „kocham”.

Poznałam Karen Bell. Nie była dla mnie żadną rywalką! Co widział w niej mój mąż, skoro miał mnie? Bardzo się staram dodać sobie otuchy, ale po chwili ogarnia mnie rozpacz i nienawiść do samej siebie. Odrętwienie mija, pojawia się złość. Jestem tak wściekła, że mogłabym zniszczyć ten dom, spalić go i nawet nie obejrzeć się za siebie. Nie powinnam w nim przebywać, lepiej wyjdę.

Rozglądam się w poszukiwaniu kluczyków do jeepa. Zazwyczaj zostawiam je na stoliku. Kiedy nie mogę ich znaleźć, zaczynam demolować dom. Najpierw rozrywam poduszki na sofie, potem przewracam krzesła, otwieram szafki w kuchni i wyrzucam ich zawartość - tłukę szkło, słoiki z dżemem; puszki z przyprawami oraz pojemniki z ryżem spadają na podłogę niczym krople deszczu. Biegnę do sypialni i zdzieram pościel, rozrywam poduszki; pocę się, jestem całkiem mokra i tak zła, że za chwilę chyba zacznę wrzeszczeć. Podnoszę materac i rzucam go na podłogę. Czego szukam? Chyba postradałam zmysły. Gdzie są te klucze? Słyszę w głowie ogłuszający łomot, tak donośny, że chętnie dziabnęłabym się nożem, żeby tylko ucichł.

- Co ty wyprawiasz? - Ten głos przedziera się przez dudnienie w moich uszach.

W progu sypialni stoi Jack.

- Ty, ty... Nienawidzę cię!

- Co się dzieje? - mówi drżącym głosem.

Przyłapałam go i o tym wie.

- Dlaczego nie mówisz mi prawdy?

- O co ci chodzi? - Teraz ma łagodny wyraz twarzy.

Nie chce mnie ranić prawdą ani niczym innym.

- Ty... Ty... - Szperam po kieszeniach. Gdzie ja odłożyłam ten list? Znajduję go i ostrożnie wyciągam, jak sędzia prezentujący dowód. - Patrz. Patrz tutaj. Kochasz tę kobietę!

- Ave, posłuchaj mnie.

- Po co? Jesteś kłamcą. Będziesz mnie oszukiwał. Wynieś stąd te materace. Pieprzyłeś ją przez całe lato, tu, w tym pokoju. W naszym łóżku. Gdzie kładłam nasze dzieci. Jak mogłeś? Będę cię nienawidziła do samej śmierci.

Przeciskam się obok niego, idę do drzwi wejściowych. Nagle, w przebłysku trzeźwości, przypominam sobie, gdzie są kluczyki - zostawiłam je w jeepie.

- Dokąd idziesz?

- Nie odzywaj się do mnie - mówię. Biegnę do auta. Słyszę, że Jack mnie goni. Wskakuję na fotel, Jack usiłuje wyciągnąć mnie z jeepa. Łapie mnie w pasie. Prostuję nogi i go kopię, jak dobrze, że mam takie mięśnie. Próbuje się bronić, ale nie może.

- Ty już wybrałeś. Teraz leć do niej. No leć!

Cofa się, a ja przekręcam kluczyk i wrzucam wsteczny bieg. Zanim Jack zdoła wykonać jakikolwiek ruch, już zjeżdżam z góry. Nie oglądam się za siebie.

Do Knoxville w Tennessee jest długa droga. Jeszcze dłuższa, gdy nie ma się pieniędzy: zostawiłam torebkę w Cracker's Neck. Dzięki Bogu, mam kartę benzynową przyklejoną pod fotelem dla kierowcy. Płacę za benzynę, pytam pracownika stacji, czy mogę kupić za punkty z karty trochę jedze-

nia. Wzrusza ramionami, kupuję więc w sklepie na stacji precele, dietetyczną colę, dwa jabłka, kubek kawy i listek ibuprofenu, bo pęka mi głowa.

Droga do Knoxville prowadzi prosto na wzgórza Tennessee. Dobrze, że nie muszę zbyt wiele myśleć podczas jazdy. Pędzę z prędkością prawie stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Mam nadzieję, że zatrzyma mnie policja. Będę miała co opowiadać.

Czuję dziwną ulgę po swoim wybuchu, niemal radość. Ból i wściekłość ustąpiły pod wpływem endorfin, które pulsują w moim ciele, uspokajają mnie. Iva Lou miała rację. To był mechanizm obronny - brak reakcji na romans mojego męża okazał się pozorny. Kryję w sobie mnóstwo emocji, o których nie wiedziałam. Najgorsza jest świadomość, że tak bardzo się pomyliłam co do Jacka. Myślałam, że jego uczucie do mnie jest zbyt silne, by jakaś Karen Bell czy inna kobieta przyszła i wzięła go sobie. Jak żałośnie wyglądał, kiedy powiedziałam mu, że wiem. Nie ma na świecie nic gorszego niż twarz mężczyzny, kiedy wszystko się wyda. Nigdy tego nie zapomnę.

Moje małżeństwo się rozpadło. To przykre, ale nawet nie w połowie tak okropne jak utrata Joego. Natychmiast porównuję te dwa wydarzenia, bo od trzech lat wszystko mierzę tamtą stratą. Nic na to nie poradzę. Uświadamiam sobie, że to, co robiłam od śmierci Joego, było jałowe. Postanowiłam, że będę wiecznie zajęta aż do dnia, w którym znów spotkam się z synem. Wypełniam życie pracą, rozrywką, podróżami, czasem nawet myślę o czymś poza zobaczeniem Joego raz jeszcze; mimo wszystkich zajęć jednak ta myśl powraca niczym bumerang. Ból nie mija. Jest dla mnie czymś tak oczywistym jak oddychanie.

Szybko znajduję dom Theodore'a (to dziwne, zazwyczaj brak mi zmysłu orientacji). Jest późno, dzięki Bogu, pali się u niego światło. Pukam do drzwi. Theodore wygląda przez okno; na mój widok podchodzi do drzwi i otwiera je na oścież.

- Co się stało?

- Jack ma inną. Tę, o której ci mówiłam. Z balu Halloween. To wszystko prawda.

- Wchodź.

Wkraczając do salonu Theodore'a, już czuję się lepiej. Dobrze mi w otoczeniu znajomych sprzętów i w towarzystwie kogoś, na kogo mogę liczyć. Uwielbiam jego dom, pachnie Theodore'em. Na półkach stoją te same albumy, które miał w domku w Big Stone Gap. Ta sama kanapa, ten sam stół do kawy, te same fotele. Nic się nie zmieniło. Kiedy jestem z Theodore'em, znajduję się w bezpiecznej krainie, jedynym pewnym miejscu w swoim życiu.

- Wyglądasz upiornie.

- Nie mam pieniędzy.

- Co?

- Nie wzięłam torebki.

- Po prostu wyszłaś?

Potakuję.

- Czy Jack Mac wie, gdzie jesteś?

- Nie.

- Powinniśmy do niego zadzwonić i powiedzieć, że nic ci nie jest.

- Nie znam telefonu Karen Bell. - Wybucham płaczem i rzucam się na materac.

- Tak się nazywa? - Theodore wręcza mi pudełko chusteczek. - Beznadziejnie.

Sposób, w jaki wypowiedział słowo „beznadziejnie”, mnie rozśmiesza. Nieźle. Płaczę i śmieję się jednocześnie, jak wariatka, w którą zapewne zmienię się przez to wszystko.

- Nie zadzwonię do niego.

- A Etta?

- Poszła na noc do przyjaciółki. Tara ma dziś urodziny. Theodore podnosi słuchawkę.

- Co ty wyprawiasz?

- Dzwonię do ciebie. W porządku? Pozwól mi zadzwonić do twojego domu.

Jestem zbyt zmęczona, żeby walczyć. Słyszę, jak Theodore mówi Jackowi, że tu przyjechałam, a potem długo słucha, wcale się nie odzywając. Świetnie. Jack opowiada mu całą tę ponurą historię. Czy mój mąż raczył wspomnieć, że jego dziewczyna smaruje się samoopalaczem? Jest *bronzata* niezależnie od pory roku. Theodore odkłada słuchawkę.

- Teraz przynajmniej znam jego zdanie.

- Zostawiłam dowód w domu! - Siadam nagle.

- Jaki dowód?

- List. Napisała do niego list, napisała, że go kocha i na niego zaczeka.

- Skarbie, znalazłaś list, który napisała ona - nie on. To jej punkt widzenia. Może i ona go kocha, ale on nie kocha jej.

- Skąd wiesz?

- Powiedział mi to.

- A ty mu wierzysz? Ocknij się. Ma dziewczynę, i to od dawna - spędził z nią całe lato. Potrzeba ci więcej dowodów?

- Wiem. Rozumiem. To przypomina kiepski film z Connie Francis, chociaż chyba wszystkie były nieźle. Powiedzmy, że twój mąż miał latem przyjaciółkę, ale to już przeszłość. Nie wiem, co znaczy dla niego przyjaciółka - może tylko wspomnieli o romansie, może trochę flirtowali, a może poszli na całość. To już nie ma znaczenia. Skończyło się. Jack chce, żebyś wróciła do domu.

- Ot tak?

- Nie ot tak, ale owszem, chce, żebyś wróciła do domu i z nim porozmawiała.

- Theodore, dlaczego jesteś taki spokojny?

- Bo ty zachowujesz się jak wariatka.

- Co takiego? Wypraszam sobie. Może ktoś stanie po mojej stronie? To mnie zdradzono.

- Tak, tak, tak. Biedactwo.

- Theodore!

- Rozdarłaś poduszki, Jack od czterech godzin usiłuje pozbiierać puch.

- Tak mi przykro, doprawdy.

- Kochasz go. Po co to wszystko robisz?

- Bo racja jest po mojej stronie. Ja nie zdradzałam.

- Powiem ci coś na temat mężczyzn. - Theodore siada obok mnie.

- Nie chcę rozmawiać o mężczyznach.

- Dobrze, dobrze, porozmawiajmy o jednym mężczyźnie. O Amerykaninie we Włoszech, z którym tańczyłaś. I z którym chodziłaś na wycieczki. I jadłaś posiłki. Co z nim?

- To co innego.

- Czemu?

- Oparłam się!

- Czyżby?

- Tak. Mam zasady. Jestem odpowiedzialna. Mogłam zrobić, co chciałam, ale tego nie zrobiłam - z szacunku dla swojego małżeństwa.

- Jestem pod wrażeniem. A więc tarzałaś się po Alpach z facetem z New Jersey, a tymczasem twój mąż siedział w domu, bo zrezygnował z wyjazdu, a ty nie prosiłaś go, żeby się zastanowił. Zadał się z inną pod twoją nieobecność - i ty się na niego wściekasz?

- Ile razy mam ci powtarzać: nie kochałam się z Pete'em!

- Ale chciałaś!

- To nie to samo.

- Dziękuję za wyjaśnienie. - Theodore wstaje i idzie do kuchni. - Poza tym nie wiemy, czy Jack uprawiał seks z Sharon. Z Karen Bell.

- Mój mąż bardzo lubi seks. Rozumiesz?

- Nie musiałaś mi tego mówić.

- A my w ogóle się nie Kochamy. Wróciłam z Włoch i nic. Nic. Zupełnie nic.

- Spójrzmy na to z boku, dobrze? - Theodore mówi jak profesor: w końcu nim jest. - Jesteś zmęczona. Urażona. Jesteś zła. Jesteś...

- Zdradzona.

- Zdradzona. Ale nie jesteś uczciwa.

- Co takiego? Jestem wyjątkowo uczciwa!

- Wcale nie. Myślisz, że tobie wolno wyjechać i mieć letni romans, choćby nieskonsumowany, i że to tylko twoja sprawa, ale oczekujesz, że Jack zostanie w domu, przejmie wszystkie obowiązki, bę-

dzie lojalnie czekał, aż poradzisz sobie z tym, przez co przechodzisz, a potem wrócisz, a on znowu będzie mógł być twoim mężem. Gdyby nie ta Karen Bell, musiałabyś od niego odejść.

- Dlaczego?

- Bo nie miałabyś w domu mężczyzny, tylko wycieraczkę. Najpierw postanawiasz urwać mu jaja, a potem wściekasz się, bo jest za mało męski.

- Nic nie rozumiem.

- Jak śmiesz latami być dla niego okropna i oczekiwać, że przejdzie nad tym do porządku dziennego? Dziwne, że nie przespał się z połową Big Stone Gap. Przynajmniej wybrał kobietę z Coeburn - w ten sposób uniknął wielu plotek. Nie chciał cię upokarzać, a jeśli cokolwiek zrobił, skończył z tym przed twoim powrotem. Czego chcesz więcej?

- Chcę...

- Nie wiesz, prawda?

- Nie wiem. (Za to jestem całkiem pewna, że jeśli jeszcze kiedyś wyjadę z domu w Cracker's Neck, na pewno nie zjawię się tu po pociechę).

- Wiesz, obrączka nie ma magicznej mocy. Nie upoważnia cię do okrucieństwa ani nie powstrzymuje od zdrady. Wierzysz, że możesz traktować go, jak chcesz, bo dostałaś dożywotnią gwarancję, że twój mąż nie odejdzie. Możesz być podła i niedobra dla Jacka, ale mój Boże, wiąże was przysięga. Masz się za kobietę silną, o wysokim morale, ale jesteś najgorszą oszustką.

- Jak możesz tak do mnie mówić? Przecież mnie znasz.

- Owszem, znam cię, i wiem, że nie kochałaś się z tym Pete'em tylko ze strachu, że nie jesteś dość dobra. Wiedziałaś, że seks z tobą nie będzie się dla niego niczym różnił od seksu z każdą inną bystrą i ładną kobietą - chwilowa uciecha i tyle. Ty chciałaś, żeby cię pragnął, więc go zwodziłaś, nie mając najmniejszego zamiaru niczego mu ofiarować. Tego faceta też powinnaś przeprosić.

Zwijam się w kłębek. Theodore ma rację.

- Jestem zmęczony. W górnej szufladzie komody leży twoja nocna koszula. Zostawiłaś ją tam po ostatniej wizycie. Kładź się spać.

Theodore idzie do swojej sypialni i zamyka drzwi. Słyszę, jak włącza telewizor. Sączące się przez szczelinę pod drzwiami światło błyska i mruga, słysząc stłumione głosy i śmiech. Wyciągam się na materacu i płaczę. Dziś nie będę spała. Wcale nie chcę.

Droga powrotna z Knoxville mija zbyt szybko. Nie przekraczam dozwolonej szybkości. Pewnie usiłuję przedłużyć jazdę. Szkoda, że podróż nie potrwa z tydzień. Niestety, zajmuje mi dokładnie trzy godziny. Wyjechałam o świcie, wracam więc jeszcze przed powrotem Etty od Tary.

Furgonetka Jacka stoi na zwykłym miejscu obok domu. Parkuję jeepa i chwilę w nim siedzę. Słyszę skrzypienie siatkowych drzwi. Sio otworzył je i biegnie na werandę. Unosi głowę i węszy. Potem patrzy na mnie jak na wariatkę, bo siedzę nieruchomo w jeepie. Dotąd nigdy tego nie robiłam.

Zwykle biorę rzeczy i wysiadam. Dotychczas kot nie widział Ave Marii Tchórzliwej. Nie wściekam się na Theodore'a, że był ze mną szczery, ale może nie chciałam wiedzieć, jak okropnie postępowałam. Wstyd nie pozwalała mi wyjść z auta.

Może myślałam, że w moim życiu zapanuje spokój i wszystko samo się zrobi. W głowie słyszę słowa Ivy Lou: „Jaki masz plan, jaki masz plan?”. Powinnam była wiedzieć, że potrzebuję planu. Muszę pracować na wszystko, co mam, w tym na normalność i rutynę. Wysuwam nogi z auta, idę po schodach i wchodzę do domu.

W środku jest czysto. Wciąż czuję aromat przypraw, które wysypałam na kuchenną podłogę; zapach kminku i cynamonu unosi się nad szparami w starym drewnie. W kuchni panuje nienaganny porządek. Zawracam i zaglądam do naszej sypialni, również sprzątniętej. Łóżko jest zasłane, ale brakuje poduszek. Muszę kupić nowe. Nie da się naprawić starych.

Wychodzę na oszkloną werandę i na pole za naszym domem. Na podwórzu jest Jack, układa drewno w stos, wygląda to niemal artystycznie, jak barokowy treliaż. Patrzy na mnie. Przerzywa pracę. Wiem, że muszę podjąć decyzję, a to, co zrobię w tej chwili, przesądzi o losie naszego małżeństwa. Teraz, gdy byłam wobec siebie szczerą (dzięki, Theodore), nie ma już odwrotu. Muszę myśleć trzeźwo. Chodzi o nasze życie. O życie mojej córki, mojego męża, wielopokoleniowej rodziny.

Szkoda, że nie ma wzorców przyzwoitego małżeństwa. Stare filmy nie pomogą. Ludzie w nich zawsze byli szczęśliwi. W małżeństwie mojej matki i Freda Mulligana panował chłód, od początku wiedziałam, że ja tak nie chcę. To, że dziewczyna, obecnie kobieta, która miała nie wychodzić za mąż, tkwi po uszy w małżeńskich kłopotach, zakrawa na kpinę.

Ale przecież ja tego nie wybrałam. To Jack MacChesney mnie wybrał, a ja ani razu, przez te wszystkie lata, nie wybrałam jego. Oczywiście, zgodziłam się, kiedy poprosił mnie o rękę. Przyjęłam jego oświadczyzny, ale to nie ja dokonałam wyboru. Jak się czuł przez ten cały czas, kiedy usiłował mnie uszczęśliwić? Kiedy miał nadzieję każdego dnia, że właśnie dziś Ave Maria wybierze jego? Ja jednak nigdy tego nie zrobiłam. Kochałam go, bez wątplenia. Wydałam na świat jego dzieci. Ale nigdy go nie wybrałam. Nigdy.

Pole, które zazwyczaj mnie przytłaczało, wygląda teraz jak zagon trawy. Góry kurczą się i znikają w mokrej ziemi. Niebo, rozpięte nade mną jak błękitne prześcieradło, zaraz runie. Jedyne wieczne rzeczy to te, które wybieramy. Te, dla których byśmy umarli. Za co ja bym umarła? Za swoje dzieci, bez wątplenia. Ale czy oddałabym życie za Jacka MacChesneya? Podchodzę do niego, on na mnie patrzy. Siadam na jego treliażu z drewna na opał. Tyle razy powtarzałam sobie, co mu powiem po powrocie z Knoxville, ale teraz nie wiem, od czego zacząć.

- Przykro mi, że zdemolowałam dom. - Dobry początek?

- Trudno było pozbierać ryż. Prawie przez cały dzień odkurzałam. Jak podróż?

- Dziwnie.

- Ave, chcesz wiedzieć, co zaszło? - Zakładam, że mówi o Karen Bell.

- Nie - odpowiadam.

- Powiem ci - proponuje.

- Nie, skarbie. To twoja sprawa. Nie moja. - To jedyna strategia, jaką mam, jedyna, jakiej mogę się trzymać: nie chcę wyobrażać sobie ich razem. Przez to nie ruszyłabym z miejsca, tyle wiem na pewno.

Mąż siada obok mnie. Przez długi czas milczymy.

- Jack, co powinniśmy zrobić?

- A co chcesz zrobić?

- Chyba przede wszystkim chciałabym, żebyś zdjął ze mnie cierpienie - mówię.

- Nie mogę.

- Wiem.

- Jeśli chcesz, żebyśmy oszedł, odejdę. Zostawię ci wszystko. Dom. Ale chcę Ettę na połowę roku. Tylko na tym mi zależy - mówi cicho.

- Widzę, że o tym myślałeś.

- Bo nie mogę patrzeć na twój ból.

- Naprawdę mnie kochasz, co? - Biorę go za rękę.

- Tak, kocham cię.

- To mnie zawsze zdumiewało, wiesz?

- Co?

- Ta twoja miłość. Nigdy nie potrafiłam w nią uwierzyć.

- Dlaczego?

- Może nigdy nie wierzyłam, że na nią zasługuję. A może łatwiej mi nie czuć. Przez większość życia to się sprawdzało. Ożeniłeś się z zimną rybą.

- Nie jesteś zimna. Skrzywdzono cię. - Jack wstaje. I nagle robi coś bardzo dziwnego: klęka przede mną. - A ja skrzywdziłem cię jeszcze bardziej.

Kładzie głowę na moich kolanach i płacze. Nagle dociera do mnie coś bardzo ważnego, coś, dzięki czemu być może zdołamy ruszyć z miejsca: nigdy mnie nie wini, nigdy mnie nie osądza. Kocha mnie taką, jaka jestem. Nigdy nie odwdzieczyłam mu się tym samym. Nigdy go nie doceniałam. Ale czy doceniłabym kogokolwiek? Żaden mężczyzna nie był w stanie sprostać moim oczekiwaniom.

- Jack, popatrz na mnie. - Patrzy. - Myślałam, że się zmieniłam. Myślałam, że zmieniłeś mnie swoją miłością, tym, że dałeś mi dzieci, dzieliłeś ze mną życie. Myślałam, że pozwoliłam ci się zbliżyć do siebie, ale to nieprawda.

- Wiedziałem, jaka jesteś, kiedy cię pokochałem. Nie łudziłem się, że będzie łatwo. Wiedziałem to, gdy postanowiłem z tobą być. Pamiętasz, jak zapadłaś w Wielki Sen?

Jasne, że pamiętani, wiele lat temu przewróciłam się i spałam przez cały tydzień. Wtedy doktor Daugherty stwierdził, że to załamanie nerwowe.

- Już miałem się wycofać. Pomyślałem, że drzemie w tobie coś, czego nikt nigdy nie pozna ani nie zrozumie. Nie mogłem jednak z ciebie zrezygnować. Nie mogłem. Miałem taką możliwość, miałem pretekst, ale coś zmusiło mnie do pozostania. Dużo o tym myślę. Dlaczego zostałem? Z miłości? A może dlatego, że mnie potrzebujesz, i tego właśnie chcę? Sam nie wiem.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- Ty chcesz, żebym cię wybrała. - Teraz ja płaczę. - Nigdy cię nie wybrałam. Ale robię to teraz. Dzisiaj. Jeśli nadal mnie chcesz.

Zaraz pęknie mi serce. Ten dobry i przyzwoity człowiek musiał pędzić przez moje zwariowane życie. Nie zawsze było strasznie, czasem nawet czułem się szczęśliwy. Łączyły nas wspaniałe chwile, tragedia, rutyna, świetny seks, brak seksu. Wszystko to jednak zostało zbudowane na piasku. Nie ma fundamentów, bo ja nigdy nie włożyłam serca w nasz związek. Miałam trzydzieści sześć lat i doszłam do wniosku, że już czas wyjść za mąż. Tak, kochałam Jacka, ale czułam też, że taka okazja się nie powtórzy. Zmusiłam się, żeby pokonać swój strach. Nie zamierzałam dopuścić do tego, żeby cokolwiek jeszcze mnie powstrzymało. Zamierzałam żyć. Nie myślałam o tym, jak, tylko że mam do tego prawo. Mam prawo żyć z porządnym mężczyzną, który mnie kocha.

Myślałam, że wiem, w czym rzecz. Że to kwestia mojego dzieciństwa, z jego dziwnymi sekretami ukrytymi pod powierzchnią. Wierzyłam, że kiedy odnajdę biologicznego ojca, wszystko się ułoży. Mario da Schilpario udzieli mi odpowiedzi. Byłam tego pewna! To tylko częściowo rozwiązało moje problemy. Kiedy pogodziłam się z Fredem Mulliganem, ulżyło mi. Kiedy pogodziłam się z kłamstwem, w którym tkwiła Mama, by mnie chronić, czułam się zdopingowana do działania. Wiedziałam to wszystko i myślałam, że ta wiedza, ta świadomość mnie zmieniły. Samo jednak zrozumienie nie pomogło mi niczego naprawić. Wracam do dawnych zwyczajów. Zamykam się. Wyłączam. Nikogo do siebie nie dopuszczam. Traktuję innych z góry, jakbym była od nich lepsza. Uważam, że mój ból upoważnia mnie do takiego zachowania. Że słabych ludzi wykańczają złe rzeczy, które się im przytrafiły. Że słabi ludzie potrzebują seksu, by poczuć swoją wartość. Że słabi ludzie nie potrafią przestrzegać reguł. Nie byłam słaba! Byłam silna, tak silna, że nic do mnie nie docierało. Co za wspaniała nagroda za to, że nie potrzebuję się ludzi. Jesteś bezpieczna i sama, nawet w małżeństwie. Ale wszyscy ci, którzy naprawdę żyją, biorą to, co przyniesie im los - dobre i złe, dzikie i spokojne - nie są słabi. Są ludzcy. Dawno temu doszłam do wniosku, że jeśli się odsunę, nikt mnie nie zrani. Dzięki temu uniknę bólu, a jeśli zepchnę go bardzo głęboko, w ogóle zapomnę, że istnieje. Nie przyjmę go do wiadomości, a on nie zrobi mi krzywdy. Theodore ma rację. Jestem winna temu człowiekowi przeprosiny. I co jeszcze?

- Kiedy wróci Etta?

- Iva Lou zabierze ją od Tary i zawiezie do siebie na pizamowe party. Powiedziała, że ją przenocuje.

- To dobrze. - Wstaję. - Nie chcę wracać do tego, co było.

- Ja też nie.

- Chcę zacząć od początku. Z całą tą wiedzą, którą mam.

- Nie wiem, czy zdołasz się zmienić. Ani czy ja zdołam.

- To nie tylko zmiana, Jack. To zbudowanie od nowa naszego małżeństwa.

- Wiesz, jak to zrobić?

- Coś wymyślimy.

Prowadzę męża do domu. Mijamy oszkloną werandę, kuchnię, wchodzimy do sypialni i łóżka bez poduszek. Zacznę od kochania się ze swoim mężem. Będę obecna w jego ramionach, każda komórka mojego ciała dostroi się do jego komórek, będę czujna, uważna i potraktuję go jak rzadki i cenny skarb, którym jest. Tym razem - i każdym następnym - wybiorę go spośród wszystkich ludzi całego świata. Mojego pięknego męża o szerokich ramionach (dobrze, że na te barki wziął odpowiedzialność za nas oboje) i słodkich orzechowych oczach. Nie czekam, aż mnie pocałuje; sama to robię.

- Coś nowego - mówi z uśmiechem.

- Współpracuj - nakazuję, a on się śmieje.

Powoli ściągam z niego ubranie, najpierw buty, potem skarpetki. Dotykam jego stóp, masując je z czułością. Jack zdejmuję koszulę przez głowę; powstrzymuję go. Sama go rozbieram i po raz pierwszy patrzę na jego szyję i na miejsce, w którym barki przechodzą w ramiona, i na mięśnie rąk. Czy odróżniłabym ciało męża od ciał innych mężczyzn? Od teraz tak, całuję każdy pieg na mocnych, brązowych ramionach, aż do nadgarstka. Jego dłoń, długie palce, drobne blizny na kciuku po noszeniu drewna, kwadratowe różowe paznokcie. Ma taką szeroką pierś; kiedy leżę na nim, czuję, jak unosi się i opada. Przylegamy do siebie szczelnie jak ludzie, którzy są ze sobą od lat. Traktowałam to wszystko jako coś oczywistego. Jak mogłam pozwolić, żeby uciekło nam tyle czasu? Czy uważałam, że mi to niepotrzebne, że mogę wyrzucić tego mężczyznę ze swojego życia? Co ja sobie myślałam? Że pójdę stąd i znajdę sobie kogoś innego? Lepszego? Wodzę dłońmi po jego plecach i wiem, że nikt nie jest lepszy. W miłosnym zespoleniu także można odkrywać się wciąż na nowo. Dlaczego matka mi tego nie powiedziała? Teraz widzę pewne rzeczy tylko dlatego, że ich szukam. Jakie to smutne, że były tu przez cały czas, a ja z nich zrezygnowałam, jakby nie miały żadnej wartości. Proste rzeczy: miłość mojego męża, jego wiara we mnie, jego wytrwałość. Udawałam, że to się nie liczy. Miłość jest taka krucha. Całuję jego powieki. Chcę, żeby mnie teraz zobaczył.

Poniedziałek jest słoneczny, ale chłodny. Dziś inauguracja nowego roku szkolnego. Dobrze, że Etta nie musiała brać płaszcza przeciwdeszczowego. Marzyła, żeby pochwalić się nowym swetrem w

pasy, prezentem od dziadka, i na szczęście pogoda na to pozwala. Całuje mnie i wybiega z jeepa. Czuję coś lepkiego na policzku. To brzoskwiniowy błyszczak Chiary.

Już miałam skręcić w stronę domu (powinnam posprzątać szafę), ale zamiast tego jadę do dzielnicy Cadet w Big Stone Gap, w zachodniej części miasta, przez most i wzdłuż Powell River. Sporo się zmieniło; próbuję sobie przypomnieć, kiedy byłam tu ostatnio. Z pewnością ponad rok temu; zawiązałam jakieś tabletki Oneidzie Mitchell. Widzę, że pojawiło się tu osiedle mieszkalnych przyczep i całonocny sklep z żywnością.

Na końcu ślepej uliczki Morrissey Street stoi różowy dom. Minęło ponad trzydzieści lat, odkąd byłam tu po raz ostatni. Alice Lambert mieszka pod numerem 11, w prostym, jednopiętrowym domu z tarasem. Ogródek całkiem zarósł; wśród krzaków stoją dwa betonowe posązki chłopca i dziewczynki, chyba holenderskie.

Słychać stąd szum rzeki; widać brązową wodę wśród drzew, które rosną przy drodze. Skrzynka pocztowa jest otwarta, pełna ulotek i przesyłek reklamowych. Podnoszę je po drodze do wejścia.

Na starych, pomalowanych na srebrny kolor drzwiach z siatką widnieje napis WITAJ i dwie zardzewiałe stokrotki. Plastikowe greckie urny po obu stronach wejścia są pełne chwastów. Usiłują spod nich wypełznąć żółte kwiatki. Pukam do drzwi. Pod wiatą na samochód widzę starego cadillaca Lambertów, więc zakładam, że ciotka jest w domu. Słyszę jakiś szelest, w końcu drzwi się otwierają. Jestem zaszokowana widokiem ciotki Alice. Ledwie ją rozpoznaję - waży nie więcej niż czterdzieści pięć kilo.

- Ciociu Alice?

- Witam - mówi przez drzwi z siatką.

- Wpadłam na chwilę. Myślałam o tobie.

- Naprawdę?

- Tak.

- Niby dlaczego?

- Myślałam o tym, że przyszedł na pogrzeb mojego syna, a ja nigdy ci nie podziękowałam.

- To nic takiego. - Odwraca wzrok.

- Nie, nie, to bardzo miło z twojej strony. Dziękuję. - Po zrealizowaniu recepty Alice w aptece każdego dnia czułam się coraz gorzej, że ani nie dzwonię, ani nie odwiedzam ciotki.

Ciotka Alice stoi przede mną. Nie odsuwa się, by zamknąć drzwi, ale i nie zaprasza mnie do środka. Tak to zawsze było z krewniakami mojego ojczyma. Nigdy nie wiedzieli, co zrobić, by ludzie czuli się u nich jak w domu, a przynajmniej mogli się odprężyć. Może i nie mieli złych intencji, ale niestety, całej tej rodzinie brakowało dobrych manier. Mama mawiała, że nie mają *creanza*, właściwego wychowania.

- Mogę wejść? - pytam.

- Pewnie. - Wzrusza ramionami.

Otwieram szeroko drzwi. W jej małym domu nie ma bałaganu, ale wszędzie widać brud. Na wszystkim osiadła warstwa kurzu, okna są szare, dywanom przydałoby się wytrzepanie. Biedaczka. Jest zbyt słaba na porządki.

- Napijesz się herbaty?

- Nie, dziękuję.

- Niewiele mam w domu.

- Nic nie szkodzi.

Milczymy, aż w pewnym momencie Alice mówi:

- Mam raka.

- Przykro mi.

- Wiesz, że straciłam Wayne'a.

- Tak.

- Miał pylicę. To gorsze niż mój rak. Pod koniec ledwie mógł oddychać; trafił do szpitala. W końcu do płuc dostała się woda i zakrztusił się na śmierć.

- Bardzo mi przykro.

- To było straszne. Najgorsze, że Bobby nigdy go nie odwiedził. Już nie mam syna.

Wayne i Alice świata nie widzieli poza swoim synem Bobbym. Nigdy go nie lubiłam. Starszy ode mnie o parę lat, był strasznie dokuczliwy. Słyszałam, że przeniósł się do Kingsport i pije. Niedawno ożenił się po raz czwarty.

- Oczywiście, że masz syna. Bobby tylko zblądził, i tyle.

- To dobre słowo - chichocze Alice. - Zblądził.

- Co mówi doktor Daugherty?

- O mnie? Niewiele.

- Jakiego masz raka?

- Był w piersi, teraz przerzucił się na kość. To dlatego, że nie pozwoliłam odciąć piersi - urodziłam się z nimi i z nimi umrę.

- Bardzo cię boli?

- Ledwie sypiam, tak mi dokucza w nocy. Nie mogę znaleźć odpowiedniej pozycji.

- Co jadasz?

- Rzadko bywam głodna. Kilka ciastek i coca-colę.

- Ciociu Alice? - Na dźwięk mojego głosu ciotka sztywnieje.

- Tak?

- Nie zgadzałyśmy się...

- Nie, nie wyciągajmy tego teraz. To już nieważne.

- Nie byłam miła.

- Temperament i tyle. Jesteś Włoszką. Oni tak mają. - Ta gadanina, zamiast przygnębić, rozbawia mnie. Słusznie mówi. Włosi tak mają.

- Chciałabym ci pomóc. Mogę wpaść od czasu do czasu?

Idę do spożywczego i robię zakupy dla ciotki Alice. Kupuję podstawowe rzeczy, takie jak jajka, chleb, ser i wędliny. Zupa. Makaron. Naleśniki. Biorę czasopisma i krzyżówki. Nellie Goodloe stoi przy sąsiedniej kasie, płaci.

- Cześć, Ave Maria. Jak minęło lato?

- Dobrze.

- Zdaje się, że Jack Mac jest bardzo zajęty.

- Jasne - mówię. - Ma mnóstwo pracy.

- Skończyli to centrum rekreacji w Coeburn?

Nagle dzieje się coś dziwnego. Czuję się osaczona. Może dlatego, że jest poniedziałek, ludzie robią zakupy, ale to nie wszystko. Nie potrafię tego sprecyzować. Kółko krawieckie metodystów już się przygląda: pani Shoop, pani Quillen, pani Grubb, pani Zander i pani Messer, każda ma lśniący wózek, ustawiły się niczym wagoniki na torach. Uśmiechają się słodko, jakby bardzo cieszył je mój widok. Czemu jednak wszystkie tak pilnie słuchają?

- Jakiś czas cię nie było. Miesiąc, prawda? - pyta pani Quillen.

- Tak, proszę pani.

- Na długo rozstałaś się z mężem - wtrąca pani Shoop.

- On też tak uważa - odpowiadam z uśmiechem.

- Włochy są tak daleko. A mogło zdarzyć się coś ważnego - mówi słodkim, śpiewnym głosem pani Messer, jakby żartobliwie mnie besztła.

- Myślę, że mój mąż ze wszystkim daje sobie radę.

- O, na pewno - włącza się do rozmowy Nellie. - Na pewno. Spogląda znad okularów na pozostałe kobiety.

- Cóż, miło było panie znowu widzieć. - Pakuję zakupy i wynoszę się stąd do diabła. W drodze do Cadet uświadamiam sobie, o co chodzi: panie chciały zobaczyć, jak Ava Marie znosi zdradę męża. Wyczuły zapach krwi i przyszły obejrzeć ofiarę. Może myślały, że runę na kasę i zacznę się dźgać szczypcami do grilla, które są tu na wyprzedazy.

Alice drzemie, gdy do niej docieram. Robię makaron z serem i gotuję brokuły. Wkrótce ciotka dołączy do mnie w kuchni.

- Ładnie pachnie.

- Siadaj. - Prowadzę ją do stołu. Jest taka chudziutka, czuję jej żebra pod palcami. Stawiam przed nią talerz, a ona od razu bierze się do jedzenia. Przełyka makaron i rozgniata widelcem zielone różyczki.

- Dziękuję za wszystko. - Klepie mnie po dłoni.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Ściskam ciotkę. Dotąd nigdy tego nie robiłam. Długo nie wypuszczam jej z objęć.

Fleeta ma sporo roboty. Nie chce zrezygnować z pracy za kasą, ale i nie opuszcza bufetu. Robi jedno i drugie, to ją wykańcza. Upiera się, żeby przygotować na grillu kanapki dla mnie, Ivy Lou i Pearl. Wkrótce koniec pracy, więc jej na to pozwalamy.

- Zgadnijcie, kogo odwiedziłam? - pytam.

- Ja zacznę: chyba nie pojechałaś do Coeburn?

- Fleeta! To nie było miłe! - strofuje ją Iva Lou.

- Nie jestem miła - wyjaśnia Fleeta.

- Chyba powinniśmy wprowadzić pewną zasadę - mówi Pearl. - Nigdy nie mówimy o Coeburn.

- Skąd ty wiesz o Karen Bell? - pytam ją.

- Słyszałam w Norton.

- A kogo w Norton to interesuje?

- Każdego klienta z Big Stone Gap.

- Rany boskie. - Siadam na taborecie za ladą.

- Mówiłam ci, że cała okolica jest pełna żmij. Z nogami. Rozповідаją o wszystkim, co się zdarzy w okolicy. Jeśli nie chcesz, żeby zdrady twojego męża wyszły na światło dzienne, musisz zabić ją i jego, a potem wysłać ciała na północ, żeby Włosi się nimi zajęli. - Fleeta zsuwa na nasze talerze złociste grillowane kanapki z serem.

- Co? Bez żadnego garnirunku? - drażni się z nią Pearl.

- Poszłam do Alice Lambert - oznajmiam.

- Po co zawracasz sobie głowę? - chce wiedzieć Iva Lou.

- Ona umiera.

Fleeta, Iva Lou i Pearl przez chwilę trawią tę informację.

- Lepiej wyślij do niej wielebnego Bowersa, żeby mogła się wypowiedzieć, inaczej będzie się smażyła w piekle jak skórka słoniny - mówi Fleeta, strząsając z fartucha okruszki po chipsach. - Mówię to tylko dlatego, że on chodzi na wizyty domowe.

- Fleeta, upiecz jej ciasto z karmelem. Iva Lou, Alice potrzebuje książek do czytania.

- Własnym uszom nie wierzę! - wykrzykuje Iva Lou.

- Ja też nie. - Fleeta kręci głową.

- Sprawdź, jakiego lekarstwa potrzebuje, dostanie je od nas za darmo - mówi cicho Pearl.

- Mam nadzieję, że kiedy ja będę zaniedbana, spuchnięta i chora na raka, też dacie mi lekarstwa za darmo. Pracuję tutaj, a mam z tego tylko dziesięć procent rabatu. - Fleeta gasi papierosa w umywalce.

- I tyle Estée Lauder, ile zdołasz podebrać. - Pearl puszcza do niej oko.

Etta z wielkim entuzjazmem podchodzi do szkoły i nowego życia towarzyskiego, które polega na spotkaniach z koleżankami, wspólnym malowaniu paznokci i wydzwanianiu do chłopaków. To bardzo irytujące, ale próbuję zachować cierpliwość. Powtarzam sobie, że to tylko faza wychowywania dziecka, jak ząbkowanie. Wejście w epokę chłopaków na pewno nie należy do spokojnych.

Jack wraca do domu w doskonałym nastroju.

- Chodźmy dzisiaj do Zagrody - proponuje.

- Nie mogę. Dziś jest piżamowe party dziewczynek z błyszczkiem.

- A co z Fleetą?

- Wstydzę się ją znowu prosić.

- Przecież uwielbia Eттę. - Jack chwyta mnie i obraca.

- Czy na moim tyłku jest twoja dłoń? - pytam.

- Tak sędzę. Nie chcę ci tego mówić, ale będzie jeszcze gorzej.

- Całuje mnie.

- Dobrze, dobrze. Dzwonię do Fleety.

I dzwonię. Rzecz jasną, trochę narzeka, chce obejrzeć reportaż o wyrzucaniu staruszek na bruk, ale kuszę ją, że tu w kotlinie antena lepiej odbiera.

W końcu przychodzi.

Zagroda Carterów pęka w szwach. O tej porze roku wszyscy się tu spotykają, by słuchać muzyki i tańczyć. Jack chciał przyjść, bo usłyszał, że pojawi się jeden z braci Stanleyów. I faktycznie przybył, muzyka jest więc znakomita. Nigdy nie słyszałam równie zręcznej gry na skrzypcach. Tańczymy tak dużo i wytrwale, że moja dzinsowa koszula jest całkiem mokra.

Lew Eisenberg okazał się najlepszym tancerzem w chodakach w południowo-zachodniej Wirginii. Pokazuje mi dwa kroki, przypominają mu horę, którą wiele lat temu tańczył na swojej bar micwie. Bardzo nas to bawi.

- Skarbie, musisz ochłonać - mówi do mnie Iva Lou, kiedy siadam.

- Nieźle się bawię.

- Jak ci się układa z mężem?

- Bardzo dobrze, dziękuję. Dobrze, że już po wszystkim.

- Żartujesz? To cudownie. To najlepsze, co się mogło zdarzyć. To triumf prawdziwej miłości nad prymitywnym pożądaniem. To opowieść o przebaczeniu i odkupieniu, złotko. Mam mówić dalej?

- Nie.

- Wobec tego kończę. Sama dziś mam co świętować. Lyle znowu przestał chlać i jesteśmy przy forsie.

- Macie szczęście, oboje.

- Może z tą astrologią to prawda. Może planety ustawiają się w szeregu i dzięki temu wszyscy naraz mają szczęście.

- Całkiem prawdopodobne.

Kółko krawieckie metodystów zebrane przy wejściu nie przestaje trajkotać.

- Jezusie Nazareński, co się tak podnieciły? - mruczy Iva Lou.

- Pewnie ktoś ma lepszy przepis na mus jabłkowy.

Nagle kółko krawieckie milknie. Kobiety rozstępują się i stają w półkolu.

- A może niekoniecznie - mówi Iva Lou tonem, który sprawia, że patrzę w tamtą stronę. - O rany.

W drzwiach stoi Karen Bell ubrana w spodnie z czarnej skóry, białą bluzkę, pasek-łańcuch i biały kowbojski kapelusz zsunięty na tył głowy. Przygryza wargę, jakby chciała urwać kawałek odstającej skórki. Wydaje się przejęta, ma głęboką zmarszczkę między oczami. Pewnie, że jest przejęta. Przecież ja tu jestem, prawda? Rozglądam się w poszukiwaniu swojego męża; nie dostrzegam go, ale mówił, że idzie na hot doga z chili. Zastanawiam się, czy i ona go szuka. Widzę po kółku krawieckim metodystów, że zadaje sobie to samo pytanie. Głowy pań kręcą się na szyjach jak łby gęsi szukających miejsca do lądowania.

- Zaraz wracam - mówię do Ivy Lou.

Nie zwracam uwagi na jej okrzyk: „Dokąd idziesz?”. Ta Druga, Inna Kobieta, Ladacznica z Coeburn, nie wie, że do niej zmierzam, ale to jedyna osoba w tym pomieszczeniu, która nie jest świadoma mojej obecności. Wszystkie oczy wlepione są w wojowniczą żonę, która będzie walczyć do pierwszej krwi, w tę biedaczkę, czyli mnie. Reedy Creek Band Joego Smiddy'ego gra starą balladę, robiąc podkład do moich kroków; czuję, że wszyscy na mnie patrzą. Kółko krawieckie zamienia się w nerwowy grecki chór, szepcząc o krwawej jatce, którą urządzi wkurzona Ave Maria. Wyczuwam nerwowe napięcie tłumu, które płynie do Tej Drugiej. Nie przerywam marszu.

- Karen?

Odwraca się powoli. Kiedy usiłuje połączyć mnie, prawdziwą osobę, ze swoim życiem, przeżywa moment surrealistycznego niedowierzania. Jestem tą, której twarz próbowała zapamiętać po jednym spotkaniu. Może gdyby dostrzegła we mnie jakieś wady, czułaby się usprawiedliwiona, próbując zabrać mi męża. Ale przed nią stoi spocona Włoszka umalowana dobrą szminką. Nie kojarzy mnie, więc jej pomagam.

- Jestem Ave Maria. Nie wiem, czy mnie pamiętasz.

Patrzy na mnie dziwnie, wysuwa szczękę, jakby zamierzała walczyć. Wytrąciłam ją z równowagi, zmarszczka pomiędzy jej brwiami jeszcze się pogłębia.

- Poznałyśmy się w kościele metodystów - przypominam jej.

- Tak. Jakiś czas temu. - Odwraca wzrok. Rozumiem, że ma dosyć kontaktu wzrokowego'.

- Chciałam ci podziękować za to, że latem byłaś taką dobrą przyjaciółką dla mojego męża.

Nie wie, co powiedzieć. Jest zdenerwowana, kowbojski kapelusz zsuwa się z czubka jej głowy i opada na plecy. Sznupek od kapelusza wrzyna się w jej gardło.

- Nie ma za co - bąka.

Odwracam się i idę ku trybunom, mijam szepczące, dobrodusze chrześcijanki i siadam obok Ivy Lou.

- Dziewczyno, skąd na Boga wzięłaś tę odwagę?

- Od Bette Davis. W *Jezebel* jest scena, w której Bette idzie na bal w czerwonej sukni, choć wszystkie grzeczne dziewczęta powinny pojawić się w bieli. Wyobraziłam sobie, jak w takim stroju kroczę przez parkiet, stawiając czoło wszystkim. Nikt nigdy nie zadzierał z Bette Davis i, na Boga, ze mną też nikt nie zadrze.

- Powiedziałaś, że skopiesz jej tyłek, jeśli jeszcze kiedykolwiek zaczniesz uganiać się za twoim mężem?

- Jasne.

- Dzielna dziewczynka. - Iva Lou przechyla głowę i popija piwo. - Przez te wszystkie lata, gdy romansowałam z żonatymi, przeżyłam tylko jedną konfrontację.

- Tylko jedną?

- Tak. Billie Jean Scott wpadła na mnie kiedyś w Skeen's Ridge, tuż po moim spotkaniu z jej mężem. Zajechała mi drogę, potem wyszła z auta i popatrzyła na mnie surowo. „Iva Lou Wade, byłaś z moim Hankiem?” - zapytała. Wiedziałam, że wpadłam, więc się przyznałam. „Tak, proszę pani” - szepnęłam. A ona na to: „Bardzo ci dziękuję. Od czterdziestu jeden lat usiłuję się go pozbyć. Dałaś mi cudowny pretekst do wykopania sukinsyna”.

Śmiejemy się tak głośno, że kółko krawieckie patrzy na nas jak na wariatki. Może ma rację, kto wie.

Rozdział jedenasty

Kiedy ludzie mówią, że w Big Stone Gap najlepiej jest nowożeńcom i umierającym, wcale nie żartują. Alice Lambert została potraktowana niczym mąż stanu. Panie z miasteczka tłumnie najechały jej różowy dom nad brązową rzeką. Wymyły okna, odkurzyły i wywoskowały parkiet w kuchni; piorą jej ubrania, myją ją, na zmianę przynoszą jej również nieprawdopodobne przysmaki. Wpadła Ethel Bartee i obcięła ciotce włosy. Wszyscy powtarzają, że Alice Lambert jest słodka jak miód. To prawda.

Doktor Daugherty twierdzi, że zostało jej zaledwie kilka dni. Nie wie ile, właściwie ja też nie chcę wiedzieć. Codziennie ją odwiedzam (inne panie też), o dziwo, są to chyba najszcześniejsze dni jej życia.

Siedzę w salonie z ciocią. Ethel uczesała ją w kok, z którego wymykają się kosmyki, jak u wielkiej Loretty Lynn w Grand Old Opry. Alice nawet delikatnie umalowała usta. Słysząc pukanie do drzwi, to Speck.

- Moja żona zrobiła ci ciasto, Alice. Lubisz rabarbarowe? - pyta.

- Uwielbiam. Podziękuj jej ode mnie - mówi Alice.

- Co tam słysząc, dziewczynki? - Speck siada.

- Wszystko w porządku - odpowiadam.

- Alice, chcę ci coś powiedzieć.

- Tak?

- Bobby czeka przed domem.

- Mój Bobby?

- Tak jest. Twój syn. Pojechałem do Kingsport i go przywiozłem. Po pierwsze: jest trzeźwy. Po drugie: czuje się parszywie przez to, że nie przyjechał wcześniej. Po trzecie: nie ma po trzecie. Po prostu chce z tobą porozmawiać. Jesteś na to gotowa?

Alice twierdząco kiwa głową.

Speck nie rusza się z krzesła, po prostu wrzeszczy:

- Bobby, włącz!

Bobby Lambert, chudy czterdziestosiedmiolatek, staje w drzwiach. Jest niski jak Alice, ale ma twarz swojego ojca, długą i smutną, oczy z opadającymi kącikami, pełne wargi, nisko osadzone uszy i bujną czuprynę, która zasłania mu czoło, a także pożyłkowany nos pijaka. Jest bardzo zdenerwowany, przestępuje z nogi na nogę. Włożył najlepsze ubranie, ale jego bawełniana koszula pożółkła, rąbki spodni są wystrzępione tam, gdzie materiał opiera się o buty. Najwyraźniej i czwarta żona go zostawiła.

- Witaj, mamó - mówi, przytrzymując się framugi.

- Chodź tutaj i uściskaj mamusię! - odpowiada Alice niskim głosem, którego nigdy u niej nie słyszałam.

Nagle Bobby zaczyna mówić tak szybko, jakby prowadził licytację. Zarzuca matkę informacjami o tej czy innej transakcji, o nowym samochodzie, o świetnej skrzyni biegów, o modnej i niemodnej skórzanej tapicerce, a ja patrzę na Specka, on na mnie, i myślimy o tym samym: facet to akwizytor pierwsza klasa.

Alice jednak jest zachwycona tą gadaniną i Bobbym. To jej jedyny syn, naprawdę go uwielbia. Spojrzenie ciotki wędruje po jego twarzy, jakby Alice natrafiła na drogocenny kamień, w którym odnajduje siebie. Nie może oderwać oczu od twarzy Bobby'ego, bardzo go kocha. Przysypia, a on ciągle gada. Nagle Bobby klęka i ten widok syna u stóp matki, niemo błagającego o wybaczenie, to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie widziałam w życiu. Nieważne, co zrobił Bobby, ona mu przebaczy. Niezależnie od okoliczności, zawsze będzie mógł tu wrócić: dotąd nie robił tego ze wstydu. Teraz, gdy widzi, że matka nie przestała go kochać, będzie mógł tu zostać. I zostaje, aż do samego końca.

Po trzech dniach Alice na dobre trafia do łóżka. Fleeta pomaga mi ją tam zanieść. Podejrzewa, że Alice ma problemy ze strawieniem knedli z jabłkami od Annie Hunter i dlatego kiepsko się czuje. Mówię jej, że to nie kwestia diety, tylko rak. Nowotwór jest dziwną chorobą: dopada człowieka, czasem odpuszcza, a potem rzuca się na niego ze zdwojoną siłą i go zabiera. Tak właśnie było z Alice. Bobby pomaga nam ułożyć poduszki. Proszę Fleetę, żeby pojechała po doktora Daugherty'ego.

Bobby siedzi na brzegu łóżka, trzymając matkę za rękę. Widzę w jego twarzy to, przez co sama przechodziłam, gdy umierała moja mama. Wielki smutek rozłąki z kobietą, która sprowadziła nas na świat, poczucie winy, że zbyt mało dla niej zrobiliśmy (zawsze za mało robimy dla swoich matek), i rozpaczliwa nadzieja, że ból będzie do zniesienia. Bobby z trudem powstrzymuje się od łez.

- Bobby, skarbie, chcę zostać na chwilę z Avą. - Nie poprawiam jej. Zawsze źle wymawiała moje imię, trudno. Wychodząc z pokoju, Bobby spogląda na mnie z sympatią.

- Tak, ciociu Alice?

- Wiesz, dlaczego przyszłam na pogrzeb twojego dziecka?

- Nie.

- Sama straciłam syna. Spoglądam na nią ze zdumieniem.

- Nie Bobby'ego. Calvina. Umarł, kiedy miał cztery miesiące.

- Nie wiedziałam.

- Urodził się mniej więcej w tym samym czasie co ty. Nigdy się z tym nie pogodziłam. Niektórzy twierdzą, że przez to zgorzkniałam. Już sama nie wiem.

- Ciociu Alice, zrobisz coś dla mnie? Kiwa głową.

- Kiedy już tam będziesz, mogłabyś zatroszczyć się o mojego Joego?

- Dobrze, zajmę się nim.

Słyszę trzaśnięcie drzwi. Na pewno przybył doktor Daugherty. Całuję Alice w czoło, a potem wszystko dzieje się jak we śnie. Lekarz przychodzi z Bobbym; Speck staje w drzwiach. Czuję się tak, jakbym opuściła swoje ciało i obserwowała wydarzenia z oddali. Patrzę, jak Alice odchodzi. Zostawia swoje życie, problemy, ból i sekrety. Kiedy leży, umierając, opuszcza ją wielki ciężar. Na jej twarzy pojawia się uśmiech, wynika ze spokoju i zasłużonej samotności.

W ostatnich chwilach myśli o swoich synach, Bobbym i Calvinie. Czy tak postępuje każda dobra matka? Czy przez całe życie troszczymy się tylko o tych, których wydałyśmy na świat, niezależnie od tego, czy odwzajemniali naszą miłość, byli dla nas dobrzy i rozumieli nasze wady? Alice zostawia wszystko za sobą, ja robię to samo. Zostawiam swoje błędy, nieosiągalne ideały, do których chciałam dopasować męża, córkę i siebie, swoją gorycz, która tak mnie raniła; przede wszystkim zostawiam dumę: miała mnie wzmocnić, a niemal mnie zabiła. Tak bardzo chciałam być taka jak należy, doskonała. Można z tego wyciągnąć tylko jeden wniosek: odpuść. A kiedy myślisz, że odpuściłaś, zrób to raz jeszcze. Ciocia Alice odeszła z takim wdziękiem. Naprawdę zrobiła to w wielkim stylu.

- Umarła. - Bobby szlocha i tuli matkę.

Doktor Daugherty odwraca się do mnie. Ale ja już wiem. Zamykam z uśmiechem oczy. Ciocia Alice odnajdzie mojego synka i dopilnuje, żeby nie stało mu się nic złego.

Johnny Teglas z „The Post” poprosił mnie o napisanie nekrologu Alice Mulligan Lambert. Przy okazji wiele się o niej dowiedziałam. Była członkinią korpusu kobiet podczas drugiej wojny światowej; skończyła tyle kursów w college’u Empire Community, że mogła dostać dyplom z zarządzania (kto by pomyślał?), i miała sztuczną szczękę (o tym nie napiszę). Wspominam jednak o maleńkim Calvinie i o Bobbym, rzecz jasna. Piszę na maszynie historię jej życia i wkładam tekst do koperty. Wrzeszczę do Fleety w bufecie, że wychodzę i że zobaczymy się jutro. Na ulicy dopada mnie pierwszy chłodny powiew jesieni. W poniedziałek mamy Święto Pracy¹.

¹ W Stanach Święto Pracy przypada w pierwszy poniedziałek września.

Wrzucam nekrolog do skrzynki na pocztę. Stary Johnny pewnie trochę się zdziwi, kiedy przeczyta o Alice Lambert.

Po powrocie do domu czuję aromat świeżego masła i czosnku. Podążam za tym zapachem do kuchni. Jack, bosy, tylko w dżinsach i bluzie, przyrządza nam kolację.

- Cześć. - Patrzy na mnie z uśmiechem.

- Co robisz? Boski zapach.

Jedną z zalet małżeństwa z Jackiem jest jego umiejętność gotowania. Lepiej zna się na włoskiej kuchni niż ja. Całuję go czule.

- Linguini carbonara z szynką. Kim jest Pete? - pyta.

- Jaki Pete? - Próbuję się nie zakrzusić.

- Pete Rutledge.

- A, ten. Poznaliśmy się we Włoszech.

- Czy to facet, o którym ciągle mówi Etta? Ten od marmuru?

- No tak. Opowiadała ci o nim? - pytam od niechcienia, ale ton głosu mnie zdradza. Piszczę. Co za dzieciak! Musi o wszystkim donosić ojcu?

- Tak.

- A czemu pytasz?

- Dzwonił.

- To miło.

- Jest w miasteczku.

- Co?

- Jest tutaj.

Nie wiem, co powiedzieć. Myślałam, że facet mnie polubił, całowaliśmy się i tyle. Po co przyjechał?

- Ave, skarbie, mów, co się dzieje.

- Nic się nie dzieje. Kocham cię. - Cholera, wyznanie „kocham cię” to chyba najlepsza wskazówka, że coś się jednak działo w Alpach.

- Tu masz jego numer. Jest w motelu Na Szlaku.

Jack kładzie kartkę na stole, zupełnie jakbym miała natychmiast zadzwonić do Pete'a Rutledge'a z telefonu w naszym domu, w którym mieszkamy jako szczęśliwe małżeństwo. Nie chcę dzwonić.

- Jutro zatelefonuję.

- Zrób to teraz. Zaproś go na kolację, będzie sporo jedzenia.

Jack wrzuca czosnek na patelnię. Wybałuszam oczy. Mówi poważnie? Mam zaprosić Pete'a na kolację? To wróg, idioto. Chciał, żebym została z nim we Włoszech na wieczność. Podrzyj ten numer, jeśli masz choć odrobinę rozumu.

- No już, zadzwoń.

Podchodzę do telefonu i wykręcam numer. Conley Barker, nocny recepcjonista (a także taksówkarz przywożący gości z lotniska), w końcu odbiera i mnie łączy.

- Tak? - Na dźwięk głosu Pete'a ogarnia mnie radość, ale po sekundzie pryska.

- Cześć. Tu Ave Maria.

- O, dziękuję, że oddzwoniasz.

- Co tu robisz? - pytam.

- Wędruję Szlakiem Appalachów, zapomniałaś? Mówiłem ci, że przyjadę jesienią. I wiesz co? Jest jesień.

- Wspaniale!

- Tak. Chciałbym się z tobą zobaczyć.

- Jasne, czemu nie.

- Świetnie. Gdzie mieszkasz?

Dochodzę do wniosku, że łatwiej będzie mi go zabrać z miasteczka niż tłumaczyć mu, jak do nas dojechać. Kiedy zbliżam się do motelu Na Szlaku, Pete czeka na mnie przed wejściem. Opiera się o jedną z kolumn i czyta lokalną gazetę. Wygląda jak mieszkaniec Big Stone Gap. Jest równie przystojny o zmierzchu w południowo-wschodniej Wirginii, jak był o zmierzchu w północnych Włoszech.

- Cześć! - mówię głośno i zbyt entuzjastycznie.

- Jak się masz, mała? - Pete całuje mnie w policzek. - Mieszkasz w niezwykłym miejscu. Zdumiewającym i bardzo pięknym.

- Dziękuję. Niestety, to nie moja zasługa. Te góry były tu na długo przede mną.

Po drodze pokazuję mu kilka atrakcji turystycznych. Postanowiłam być przewodnikiem, postanowiłam również, że nie będziemy rozmawiali o alpejskich pocałunkach ani tańcach. Pete odnosi się do mnie z szacunkiem, ulżyło mi. Kiedy wysiadamy z jeepa, Etta czeka na nas na werandzie.

- Pete! - piszczy i biegnie ku nam. Rzuca się w jego ramiona. - Nie ma Chiary. Została we Włoszech. Jestem tylko ja.

Co ona ma na ustach? Na litość boską, to czerwona szminka z salonu Moderna w Piccolo Lago. Moja córka wygląda jak portowa dziwka.

Jack wita nas przy drzwiach. Jak to dobrze, że jest taki miły i serdeczny dla Pete'a. Kot Sio wybiega spod krzesła, gryzie gościa w nogę i czmycha. Oglądamy kostkę Pete'a, ale krew prawie nie leci. Sądząc po ataku kota i zachowaniu mojej córki, wieczór zapowiada się interesująco.

Jack prowadzi Pete'a (i rzecz jasna Ettę, która drepcze za nimi) do kuchni. Zamierzają się napić piwa. Nie zdziwię się, jeśli moje dziecko posmakuje dziś swojej pierwszej w życiu whisky z lodem. Dzwoni telefon; Etta pędzi odebrać.

- Dotąd nigdy nie biegała do telefonu. - Jack Mac wzrusza ramionami. - Teraz albo do niego leci, albo na nim wisi.

- To się nazywa dorastanie, skarbie.

- Mamo, wujek Theodore.

Przepraszam ich i z ulgą wychodzę z rozgrzanej kuchni. Zamykam drzwi sypialni, zdejmuję telefon z nocnej szafki i siadam na podłodze, tak żeby nikt nie mógł mnie usłyszeć.

- Dzięki Bogu, że to ty.

- Co się stało?

- On tu jest.

- Kto?

- Pete.

- *Inamorata?* - Theodore wybucha śmiechem. - Niemożliwe.

- To nie jest zabawne! Wędruje po okolicy i wpadł do miasteczka, zadzwonił, a Jack zaprosił go na kolację. Chciałabym umrzeć.

- Co zrobisz?

- Okropna sytuacja. Tak mi wstyd.

- Wyobraź sobie, co czuje Jack Mac.

- On nic nie wie.

- Jasne, pewnie kryjesz się pod łóżkiem i szepczesz przez telefon, ale twój mąż niczego nie podejrzewa.

- Nie, naprawdę nie. Byłoby miło, gdybyś poprawił nieco moje samopoczucie w tej sytuacji.

- Jak on wygląda?

- O rany. Nawet lepiej niż we Włoszech.

- To kłopot.

- Czuję się jak nastolatka. Dlaczego nie przerobiłam tego w liceum? Nie, teraz mnie to spotyka - pani w średnim wieku musi sobie radzić z tymi głupotami.

- Na łące pełnej niezapominajek to nie było takie głupie.

- Dzwonków.

- Musisz powiedzieć Jackowi.

- Nigdy mu nie powiem! Nigdy.

- Nie myślisz, że będzie się zastanawiał, dlaczego zachowujesz się jak wariatka?

- Powiem mu, że jestem chora albo coś.

- Napięcie seksualne to nie choroba.

- Nie pomagasz mi.

- Zadzwon później. - Śmieje się. - Powodzenia.

Nie mogę uwierzyć, że jem kolację ze swoim mężem i niedoszłym wakacyjnym amantem, który przez swoje niezwykle pocałunki niemal zatrzęsł w posadach życiem rodziny MacChesneyów. Patrząc na nich, porównuję. Mimo różnic obaj wyglądają na chłopców. Od razu przypadli sobie do gustu (jakie to dziwne!) i najwyraźniej nie brak im tematów do rozmowy. Etta przerywa im, jak tylko zdoła wymyślić cokolwiek, co zwróci na nią uwagę Pete'a. Moja córka z całą pewnością nie zostanie starą panną. Nie może się doczekać dorosłości. Oczekuje na pierwszy okres, jakby miał uchylić jej wrót do prawdziwej kobiecości.

Nagle w salonie błyskają reflektory samochodu. Ktoś podjechał od strony kuchni.

- Spodziewasz się gości? - Jack patrzy na mnie.

Kręcąc przecząco głową i wyglądając przez okno. To Iva Lou.

- Przepraszam, że przeszkadzam - mówi, otwierając drzwi bez pukania.

- Cześć, skarbie. Mamy gościa. Przyjechał Pete Rutledge.

Iva Lou kiwa głową, jakby usiłując skojarzyć nazwisko, a kiedy załapuje, wybałusza oczy. Szybko daje jej znak, żeby zachowywała się jakby nigdy nic (mój pierwszy błąd), a na jej twarzy pojawia się sztuczny, niemal upiorny uśmiech.

- Cze-eść. Miło cię poznać, Pete.

- Tego lata we Włoszech spędziłam z Pete'em dużo czasu - mówi Etta tonem, którego nikt nie słyszał do występu Grace Kelly w *Wyższych sferach*.

- Taaak, zazdroszczę ci. - Iva Lou mruga do Pete'a.

- Iva, zjesz coś?

- Nie, nie. Przed chwilą kupiłam hot doga z chili w aptece. Wpadłam po drodze do domu, żeby powiedzieć wam, co ze Speckiem.

- Coś się stało?

- Jutro będzie miał w trybie pilnym wykonywany potrójny pomost omijający w Ośrodku Kardiologicznym Holston Valley.

- O Boże.

- Nie przejmujcie się. Nic mu nie jest. Sam zresztą tam pojechał w wozie Brygady Ratowniczej. Powiedział, że w razie czego będzie w stanie podać sobie własny tlen. No dobra, muszę jechać.

- Odprowadzę cię.

Iva Lou żegna się i dołącza do mnie na korytarzu.

- A niech mnie, coś takiego! - szepcze. Pokazuję jej, żeby ucichła, dopóki nie wyjdziemy.

- Co on tu robi?

- Zamierza pokonać Szlak Appalachów.

- Powiedz mu, żeby przyszedł do mojej przyczepy i zaczął od góry Iva Lou.

Wypycham Ivę Lou przez drzwi; kiedy jest taka ożywiona, nigdy nie wiadomo, co jej strzeli do głowy.

Odwożę Pete'a do motelu. Chciałam, żeby towarzyszyła nam Etta, ale Jack kazał jej zostać i odrobić lekcje. Nie chcąc wzbudzać podejrzeń, nie nalegałam. Dziwnie się czuję w swoim jeepie z Pete'em Rutledge'em. Nie potrafię cieszyć się jego towarzystwem; jest ściśle związany z moimi europejskimi marzeniami.

Staję przed motelem. Za ladą recepcji widzę fragment czupryny Conleya Barkera.

- Cóż, miłej wędrowki.

- Dzięki. Chcesz wejść? - pyta.

- Nie - odpowiadam głośno, niemal wrzeszczę.

- Nie musisz.

- Nie mogę. Ale dziękuję - mówię ze spokojem, o który się nie podejrzewałam.

- Myślałaś o mnie?

- Pete!

- Chociaż trochę?

- Potrafię wyjaśnić to tylko w jeden sposób. Mieszkam w górskiej kotlinie, gdzie przez większość czasu sprzyja nam pogoda. Z rzadka jednak przychodzi okropna burza i wszystkim wstrząsa. Kiedy mija, pojawia się niezwykle błękitne niebo, a wszystko jest czyste i wtedy lepiej widać; z mojego pola przed domem niemal dostrzegam liście na drzewach w Tennessee. Bez tej burzy nie miałabym takiej jasności spojrzenia. Ty przetoczyłeś się przez moje życie jak huragan.

Potrząsnąłeś mną, przyjrzałam się sobie, temu, czego pragnę i co muszę wybrać. Część mnie żałuje, że nie rzuciłam się na ciebie na tej łące, że nie kochałam się z tobą najbardziej dziko pod słońcem, dla dreszczu emocji. Ale dreszcz szybko znika, oboje to wiemy. Dobrze zrobiliśmy. Jestem szczęśliwa z Jackiem MacChesneyem. Kocham go. I cieszę się, że jesteś moim przyjacielem.

- Dobra, mała. Wiem, kiedy przegrywam. - Pete otwiera drzwi jeepa i wystawia długie nogi. Odwraca się, patrzy na mnie. - Dzięki za kolację. Podziękuj też Etcie i Jackowi. Naprawdę go polubiłem.

- Nachyla się i całuje mnie w policzek. Potem odchodzi.

- Pete? - wołam za nim. - Powodzenia.

- Dzięki. - Macha do mnie z uśmiechem.

Patrząc, jak wchodzi do recepcji motelu Na Szlaku. Musi opuścić głowę pod markizą nad wejściem. Trochę przypomina mi Gary'ego Coopera - przyjechał do tego miasteczka, wyjaśnił pewne sprawy, a teraz znika.

Kiedy wracam do domu, kuchnia jest posprzątana. Etta leży w łóżku, a Jack w naszej sypialni siedzi w fotelu i czyta „The Post”.

- Odjeżdża jutro rano. Spotka się w Asheville z innymi turystami.

- Świetnie. - Jack odkłada gazetę. - Dlaczego byłaś taka zdenerwowana?

- Wiadomość o Specku tak mnie poruszyła.

- Nie, wcześniej. Nie chciałaś zadzwonić do Pete'a. Dlaczego?

- Jack patrzy na mnie, a ja myślę, że małżeństwo przypomina wielką pralkę. Wrzucasz tam, co się da, sypiesz proszku, napływa woda i wierzysz, że wszystko się wypierze. A gdy po odwirowaniu otwierasz pralkę, na samym wierzchu znajdujesz coś, co chciałaś ukryć, czemu pragnęłaś zaprzeczyć, o czym wolałaś nie myśleć. Prawda o Pete'u Rutledge'u musiała wyjść na jaw, bo kiepska ze mnie kłamczucha. Co ważniejsze, nie chcę już niczego ukrywać przed mężem. Prawda jest o wiele łatwiejsza (Kolejna rzecz, której uczyła mnie Mama, okazała się prawdziwa).

- Skarbie, kiedy byłam we Włoszech z Etta, usiłowałam o tobie zapomnieć. To bardzo bolało. Nie jestem z siebie dumna. Byłam tak zmęczona tym nożem w brzuchu, że chciałam go wyciągnąć. Obciąłam włosy.

- W porządku - śmieje się Jack.

- Wiem, że to zabrzmiało niedorzecznie, ale poczułam się innym człowiekiem. Słyszałam szczęk nożyczek, zobaczyłam swoje włosy na podłodze i to mnie odmieniło.

- Jak? - Jack słucha uważnie.

- Tego wieczoru wyszłam z domu i poznałam Pete'a. Dobrze się czułam, zapomniałam o naszych problemach i tańczyłam. Właśnie wtedy zobaczył mnie Pete. Chyba poczuł się mną zauroczony. Ale nie miałam z nim romansu.

- Dlaczego? - pyta z napięciem.

- Chciałabym powiedzieć coś szlachetnego, coś o przysiędze małżeńskiej. Prawda jest jednak taka, że nie poszłam z nim do łóżka, bo uważałam, że jestem doskonała, i jako ktoś, kto przez całe życie pracował na tę doskonałość, nie chciałam pozbyć się tego złudzenia. Gdybym miała romans, okazałabym się kłamczuchą. A ja chciałam pozostać na piedestale; w innym wypadku byłabym kolejną łatwą zdobyczą Amerykanina we Włoszech.

- Skarbie? - Jack siada obok mnie na łóżku.

- Co?

- Jak to dobrze, że się nią nie stałaś.

- Pewnie. - Obejmuję męża. - Chcesz wiedzieć, dlaczego... zbliżyłeś się do Karen? Bo przeze mnie czuleś się źle. Nie wspierałam cię, kiedy zamknęli kopalnię, nie interesowała mnie twoja firma; nie przyszło mi do głowy, że dzieje się coś poważnego. Zlekceważyłam twój kryzys. Uważałam, że jesteś odpowiedzialny za rzeczy, na które nie miałeś żadnego wpływu, bo musiałam zwalić na kogoś winę. Tak jak podczas choroby Joego winiłam cię, bo chciałam, żebyś był bohaterem, który wszystko naprawi, a ja nie będę musiała się martwić. Byłam wobec ciebie okropna. Teraz jednak rozumiem, co robiłam. To się więcej nie powtórzy.

- A jeśli się powtórzy, będziemy mogli to nazwać. Przez długi czas nie potrafiliśmy. - Jack całuje mnie z czułością. - Czyli to już wszystko z Pete'em, tak? Może napijesz się herbaty?

- A może Jacka Danielsa? Czy Etta wykończyła butelkę?

- No właśnie, miałem cię zapytać, o co chodzi z tą szminką?

- Witamy w świecie kobiet.

- Cudownie - jęczy Jack. Obejmuje mnie, gdy wchodzimy do kuchni.

Potrójny pomost omijający Specka ostatecznie powiększył się jeszcze o dwa by-passy. Kiedy doktor Turner go otworzył, zobaczył „tyle świństwa, że przepełniłoby pudełko na buty” (To określenie Specka, nie moje). Stąpając ostrożnie korytarzami Ośrodka Kardiologicznego Holston Valley, spo-

dziewam się najgorszego. Balony z życzeniami powrotu do zdrowia, które kupiłam w kwiaciarni L.J. Hortona, zahaczają o zabezpieczone preszpanem przewody na suficie. Ściągam balony i w końcu trafiam do sali 456.

- Speck, słuchaj no. Nie będę się tobą dzieliła z żadną cholerną dziwką. Musisz wybierać, ja albo ona, i już. Nie po to jestem z tobą od piętnastego roku życia, żeby na starość iść w odstawkę, cholera. Jeśli chciałeś mnie rzucić, trzeba było to zrobić wtedy, kiedy mogłam sobie kogoś znaleźć. Mam sześćdziesiąt cztery lata. Kto zechce babę w moim wieku? Równie dobrze możesz mnie podpalić i patrzeć, jak płonę. Taka jest prawda, do cholery!

Przez tę kłótnię wciąż tkwię na korytarzu. Nagle słyszę plaskanie tenisówek na linoleum.

- Cześć, Leola.

- Cześć, Ava.

Leola ma natapirowane żółte włosy i wielkie okulary od Oscara de la Renty. Zasłaniają większość jej drobnej twarzy. Niezapalony papieros dynda jej z ust. Jest szczuplutka, widać, że w młodości miała świetną figurę. Była również piersiasta, teraz jednak biust zwisa jej smętnie. Ma na sobie różowe spodnie na szelkach, pasują do różowych liter na jej za dużym podkoszulku z napisem MAMA Z MYRTLE BEACH.

- Wszystko w porządku?

- Muszę zapalić. Ładne balony. - Leola oddała się korytarzem. Speck leży na łóżku podłączony do rozmaitych rurek. Ma na nosie okulary przeciwsłoneczne, co wydaje mi się dziwne.

- Cześć, Speck. Słyszałam, że wszystko świetnie poszło. Speck podnosi pięć palców.

- Ja też. Pięć. Doktor Turner rozciął mi klatkę piersiową na pół. To dobry lekarz. Blizna jest bardzo cienka, ale długa. - Po czym szepcze: - Poszła sobie?

- Leola?

Potakuję.

- Wyszła zapalić.

- Przyłapała mnie - mówi cicho, z powrotem kładąc głowę na poduszce.

- Jak to?

- Tak to. Twyla była tu wczoraj. Odwiedza mnie.

- O nie.

- I Leola mnie przyłapała.

Od lat Speck prowadzi podwójne życie. Spotyka się z Twylą Johnson, swoją dziewczyną z dośkoku, i jednocześnie jest mężem Leoli, z którą ma piątkę dzieci. Twyla pracuje w Banku Rolniczo-Górnicy w Pennington. To drobna brunetka o wspaniałym uśmiechu i bardzo dyspozycyjna (banki pracują od dziesiątej do trzeciej). Ma teraz z sześćdziesiąt lat, ale dla starego Specka wciąż jest dżierlatką.

- Na pewno Leola myśli, że widziała więcej, niż naprawdę widziała. Prawda?

- Nie, widziała wszystko.

- Czyli co?

Speck nie odpowiada.

- Czy Twyla całowała cię albo coś w tym rodzaju? - naciskam.

- Nie.

- Trzymała cię za rękę?

- Nie za rękę.

- No nie.

- No tak, hm, wiesz, co robiła. Przeżyłem bardzo stresujące chwile. Bardzo. A Twyla przyjechała z tak daleka i chciała, żebym się dobrze poczuł.

- Och, Speck.

- Wiem. To jak najgorszy koszmar. Jakby przyłapała cię własna matka. Człowiek natychmiast traci wigor. Wiesz, co mam na myśli.

- Wiem.

- No właśnie. Czy to takie złe? Czy pociecha to coś złego? Powiedzmy, że miałbym tu umrzeć, sami mówili, że omal nie wykorkowałem. Praktycznie już byłem trupozem. Wszystkie drogi do serca miałem zapchane, Ave. Mało brakowało, a wyciągnąłbym kopyta. I gdybym miał wybierać, jak spędzę ostatnie chwile, to na pewno nie chciałbym ich poświęcić moim żalonym dzieciom i okropnej żonie, która gapi się na mnie jak ryba w akwariium. Chciałem mojej Twyli. - W jego głosie pobrzmiwa żal.

- I co teraz będzie? - Siadam na łóżku, potrącając płataninę rurek, które sterczą z chorego niczym mosty nad Cieśniną Appalaską.

- To się zobaczy. Od tamtej pory Leola nie wychodzi ze szpitala. Biedna Twyla wybuchnęła płaczem i uciekła. Nie widziałem jej już, nawet nie zadzwoniła.

- Pewnie się boi.

- Co za burdel.

- No tak.

- Co mam robić?

- A co chciałbyś zrobić?

- Chcę wyjść ze szpitala. I być szczęśliwy.

- A co cię uszczęśliwia?

- Chcesz znać prawdę?

- Tak.

- Twyla.

- No to musisz być z Twylą.

- A co z Leolą?

- Znajdzie sobie kogoś.

- Myślisz?

- Tak.

- Ale zajmowała się mną, kiedy chorowałem.

- To jej zapłać.

- Nie wierzę, że to mówisz. Przecież jesteś katoliczką i w ogóle. Nie powinnaś popierać rozwodów.

- Wiesz, Speck, znamy się od bardzo dawna. I chyba dobrze. - Nie chcę mówić, co myślę, ale coś mnie do tego zmusza. - Speck, myślę, że zasłużyłeś na więcej niż masturbacja na szpitalnym łóżku. Powinieneś być szczęśliwy przez cały czas.

Speck jest nieco oszołomiony moją śmiałością. Docenia ją jednak i kręci wenflonem od kropłówki jak igłą w poduszczyce.

- Dobrze powiedziane. Dobrze powiedziane. - Nie widzę, na co patrzy przez ciemne okulary. - Dziękuję. - Wygląda przez okno.

- Speck, przeczytałam kiedyś zdanie, które bardzo mi pomogło.

- No?

- Czasem trudno odróżnić prawdziwą miłość od pożądania.

- Co prawda, to prawda.

- Chcesz wiedzieć, na czym polega ta różnica?

- Przydałoby się - mamrocze.

- Prawdziwa miłość dodaje ci energii; pożądanie cię wyczerpuje.

- A kobiety rujnują ci życie.

- Tego nie było w tej książce, Speck.

- A szkoda.

Rozdział dwunasty

Pearl Grimes i doktor Taye Bakagese biorą dziś wieczorem ślub na scenie Teatru pod Chmurką. Pearl wybrała piątek po Święcie Dziękczynienia, bo wie, że większość ludzi ma dzień wolny od pracy i może bawić się aż do rana. Biegam po domu, prasuję koszulę Jacka, szukam rajstop Etty, próbując przy tym nie odłupać lakieru na świeżo pomalowanych paznokciach u stóp.

- Theodore?

- Co? - pyta Theodore z łazienki.

- Są tam rajstopy Etty?

Podaje mi je przez szparę pod drzwiami. Przyjechał do nas na Święto Dziękczynienia. Przekonałam go, żeby został na ślubie Pearl. Zaproszono całą obsadę teatru, wszyscy chcą się z nim zobaczyć.

Etta łapie rajstopy. Kończę prasować koszulę i wyciągam wałki z włosów. Jack przychodzi z kuchni.

- Ładną masz fryzurę.

- Dzięki.

Postanawiamy jechać autem Theodore'a, bo jest czterodrzwiowe. Wkoło teatru zgromadził się tłum jak na premierze. Pearl Grimes poznała sporo ludzi: poszła do college'u, potem otworzyła drugą aptekę w Norton, trzecia wkrótce powstanie w Pound. Przy drzwiach siedzi Otto i żąda biletów. Wszyscy kwitują to śmiechem.

- Nie mogę uwierzyć, że moja wnusia wychodzi za męża.

- Życie jest cudowne, prawda? - Ściskam go.

- Właściwie nie jest moją wnuczką, mój syn tylko ożenił się z jej matką. Ale mogę ją tak nazywać, prawda?

- Jasne, że tak.

Ceremonia na scenie jest prosta i elegancka. To mieszanka obrzędów indiańskich i *bluegrass*, dwóch kultur, które mają ze sobą wiele wspólnego, na przykład miłość do przyrody i rodziny. Leah promienieje w długiej sukni z czerwonego aksamitu, stoi przy Worleyu, który włożył nowy garnitur. Albert Grimes, z przylizanymi włosami, w szarych spodniach, granatowym swetrze i krawacie, kręci się nerwowo w rzędzie za Leą. (Myślę, że spadł mu kamień z serca dzięki opinii zakładu ubezpieczeń, iż pożar wybuchł przez wadliwą instalację elektryczną).

Taye spogląda na Pearl z taką miłością, że najtwardsi z nas się rozklejają. Nellie Goodloe biegnie po dodatkowe chusteczki (a może jest roztrzęsiona, bo tłum okazał się większy, niż sądziła, i za braknie miętówek).

Skromna suknia Pearl jest bardzo elegancka, z okrągłym dekoltem i długimi, rozkloszowanymi rękawami. Drobnutkie perełki na stanie lśnią. Włożyła szal, który przywiozłam jej z Włoch. Miękkie włosy dziewczyny spływają jej na ramiona niczym wstążki, powtykała w nie gałązki gipsówki. Gdy Taye wsuwa obrączkę na jej palec, Otto trąca mnie w bok.

- To obrączka mojej Destry.

Obejmuję Ottona. Ma łzy w oczach, gdy myśli o miłości swojego życia, pięknej dziewczynie, która zmarła przy narodzinach Worleya. Pearl spogląda na obrączkę i ją poprawia. Sędzia pokoju ogłasza Taye'a Bakagese i Pearl Grimes mężem i żoną, a oklaski roznoszą się wśród gór.

Na karku czuję oddech Fleety.

- Będą mieli brązowe dzieci - szepcze.

- I piękne - odpowiadam.

- Owszem - potakuje. Odwracam się i patrzę na nią. Czyżby zmięła po tych wszystkich latach?

W namiocie oświetlonym niebieskimi lampkami odbywa się uczta złożona z potraw południowo-zachodniej Wirginii i hinduskich. Kto przypuszczał, że jarmuż smażony na maśle tak dobrze smakuje z kebabem jagnięcym?

- Cześć, Ava! - Słodka Sue Tinsley klepie mnie po plecach. W Big Stone Gap nie wysyłamy zaproszeń na śluby; oznajmia się o nich w gazecie, każdy, kto chce, może przyjść. Słodka Sue Tinsley najwyraźniej prenumeruje „The Post”, dzięki czemu wie na bieżąco, co się u nas dzieje, i trzyma rękę na pulsie. Przyglądam się dawnej dziewczynie Jacka. Starzeje się tak, jak myślałam: bardzo korzystnie. Obcięła króciutko włosy, sterczą jej na głowie. Włożyła białą sukienkę bez ramiączek i czerwony skórzany pasek.

- Jak tam Kingsport?

- Chłopcy uwielbiają miasto. Mike pracuje w fabryce papieru.

- Świetnie.

- A co u ciebie?

- Mam mnóstwo pracy, ale poza tym wszystko w porządku.

- Zostałam babcią, wiesz?

- Co ty powiesz! - Patrzę na Słodką Sue. To niemożliwe, żeby miała wnuki.

- Tak, mój starszy syn, Chris, zakochał się w koleżance z liceum. Zaszła w ciążę. Mały Michael ma trzy miesiące.

- Gratulacje. Jesteś najseksowniejszą babcią, jaką kiedykolwiek widziałam - mówię jej szczerze.

- Dzięki, złotko. Bardzo mi miło, naprawdę. Sama nieźle wyglądasz.

Słodka Sue przeprasza i idzie się przywitać z dawnymi przyjaciółmi. Wracam do bułki z masłem. Może i dobrze wyglądam, ale przykro pomyśleć, że mogłabym już być babką.

- Dam ci sto dolarów, jeśli teraz ze mną zatańczysz - szepcze mi do ucha Theodore.

- Jem.

- To przejdiesz na dietę. - Łapie mnie do wolnego tańca, którego grają Jerome Street Ramblers.

- O co chodzi?

- Sara Dunleavy zagięła na mnie parol.

- Jest nieszkodliwa.

- Ma czterdzieści lat.

- A ty czterdzieści pięć.

- Ale to nie ja postawiłem sobie za zadanie upolować męża i zająć w ciążę w najbliższym półroczu. Ona ma misję.

Nagle, zupełnie jak kiedyś, pojawia się Jack.

- Chciałbym zatańczyć z żoną - mówi z uśmiechem.

- A ja bym wolał, żebyś zatańczył z Sarą Dunleavy.

- Mowy nie ma! - Wyślizguję się z ramion Theodore'a wprost w objęcia Jacka. Theodore idzie do stołu z kanapkami, a Jack wiruje ze mną pod lśniąca plandeką (tą samą, której używamy co roku na balu absolwentów liceum Powell Valley).

- O co chodziło?

- O nic.

- Dlaczego nam przerwałeś?

- Nie wiem. Czasem trzeba zatańczyć z własną żoną.

- Nie chcesz tańczyć z Sarą Dunleavy?

- Jest za chuda.

- Ale jest cicha, i recytuje Szekspira.

- Lubię hałas i nienawidzę Szekspira.

- Hm, Jack?

- Tak, kochanie?

- Skarbie, czy to twoja... - Kiedy wirujemy po parkiecie, ostrożnie przesuwam rękę Jacka ze swojej pupy na talię.

- Moja, na szczęście - mówi on.

Pearl i Taye całują się obok orkiestry; Speck wbija widelec w wiśniowe ciasto Nellie Goodloe; Leola poszła zapalić z Fleetą (na pewno jej wszystko relacjonuje); Iva Lou i Lyle, pochyleni nad stołem z gorącymi potrawami, zastanawiają się, co wybrać; Theodore zajął ostatnie miejsce przy stole Ricka i Rity Harmon oraz ich dzieci, żeby nie siedzieć obok Sary Dunleavy, choć obok stoją dwa puste krzesła. Etta macha do mnie z kąta namiotu, gdzie dzieci jedzą miętówki w cukrze i opowiadają sobie głupie dowcipy. Też macham, uśmiecha się do mnie.

Gdy zegar wybija północ, Pearl i jej świeżo poślubiony małżonek wychodzą na parkiet, żeby zatańczyć po raz ostatni. Garstka gości, którzy pozostali, ustępuje im miejsca. Otto ustawił pod namiotem dwa przenośne grzejniki, dzięki temu jest ciepło. Scena Teatru pod Chmurką, zalana różowym światłem, jest teraz pusta.

- Twoje buty - mówi mój mąż, wręczając mi sandały na rzemyki, które zdjęłam mniej więcej w dziesiątej minucie przyjęcia. - Po co nosisz niewygodne buty?

- Bo są ładne.

Jack kręci głową i kiwa na Ettę. Theodore czeka przy wejściu do namiotu.

- Było pięknie, prawda? - pytam go, kiedy spoglądam na Pearl i Taye'a na parkiecie lśniącem pod plandeką.

- Całkiem nieźle. Byłoby lepiej, gdybym nie musiał się ukrywać przed Sarą Dunleavy.

Etta siada z przodu obok Theodore'a. Ja i Jack sadowimy się z tyłu.

- Mamo, tatuś się upił?

- Nie, skarbie, jest bardzo szczęśliwy z powodu Pearl i doktora B.

Theodore z uśmiechem spogląda na mnie w lusterku wstecznym.

Po okrążeniu ślepej uliczki wjeżdżamy na Shawnee Avenue i zatrzymujemy się na światłach przy zjeździe na Beamontown Road.

Czarne bramy cmentarza Glencoe lśnią w oddali tam, gdzie droga dochodzi do rzeki. Chcę poprosić Theodore'a, żeby skręcił, po chwili jednak zmieniam zdanie.

- Cracker's Neck? - pyta Theodore.

- Tak.

Jack kładzie głowę na moich kolanach, a Etta opowiada Theodore'owi o małym starciu na weselu pomiędzy jej przyjaciółką Tarą i jakimś przystojniakiem o imieniu Chad.

Wkrótce światła Big Stone znikają, a my pędzimy w ciemnościach do domu.



T L R